

Zbigniew NIENACKI

Tom ósmy

**PAN SAMOCHODZIK
I
FANTOMAS**



„DIGG” - 2004



O dziesiątej wieczorem - jak zwykle, gdy na niedzielę przyjeżdżała ze szkoły w Tours - czternastoletnia Yvonne minęła most zwodzony i znalazła się na ogromnym prostokątnym tarasie, gdzie ongiś wznosił się zamek rodu Marquise'ów, po którym pozostała tylko wielka baszta, zwana donżonem¹. Na tarasie stało kilkanaście ławek. Siedziała na nich hałaśliwa grupa amerykańskich turystów, oczekujących na zapadnięcie zmroku. To ich ogromny autokar widziała Yvonne przed bramą parku okalającego zamek. Nocą w Le Château de Six Dames - Zamku Sześciu Dam, w każdą sobotę i niedzielę, za dwa i pół franka oglądać można było widowisko zwane „Dźwięk i światło” - iluminację zamku połączoną z muzyką, płynącą z rozmieszczonych w parku głośników.

Gdy Yvonne przebywała w zamku, to ona obsługiwała aparaturę widowiskową, zainstalowaną w donżonie. Lubiła to zajęcie, bo oświetlony reflektorami zamek i wydobywające się jakby spod ziemi dźwięki muzyki działały na jej wyobraźnię. A zresztą, kustosz zamku, pan Armand Durant często się mylił, za wcześniej lub za późno uruchamiał taśmę z dźwiękiem, reflektory zaś włączał nie w tej kolejności, w jakiej przewidywał specjalnie opracowany scenariusz. Co innego jego syn, piętnastoletni Robert. To był prawdziwy mistrz w tej dziedzinie. Gdy dyrygował widowiskiem, każdy guzik w aparaturze był przyciśnięty z dokładnością

¹ Donżon (franc. *donjon*) – baszta, wieża.

do pół sekundy, jak mawiał baron Raoul de Saint-Gatien, właściciel zamku.

Yvonne otworzyła drzwiczki w donżonie i weszła do małego pokoiku, w połowie zajętego przez pulpit z różnokolorowymi pokrętlami i guziczkami. Robert już tam był - stał pochylony nad magnetofonem. Przewijał taśmę z dźwiękiem.

- Spóźniasz się, Yvonne - powiedział nie odwracając głowy od pulpitu. - Za półtorej minuty rozpoczynamy widowisko.

- Czy wiesz, co się stało? Stryj znowu dostał list.

- List? Dostaje codziennie sporą pocztę - mruknął Robert.

- To był list od niego. Znowu żąda okupu i wyznacza miesięczny termin na zebranie pieniędzy. Grozi, że ukradnie obraz Renoira².

- *Plażę Renoira?* - przeraził się Robert. - To piękny obraz... I twój stryj zapłaci okup?

- Nie - wzruszyła ramionami Yvonne. - Przecież wiesz, że nie ma pieniędzy.

- To co będzie? On ukradnie ten obraz... - westchnął Robert.

Yvonne tupnęła nogą.

- Mówisz tak samo, jak wszyscy. Z rezygnacją. Jakby to była zwykła rzecz, że on potrafi przeniknąć przez mury i dostać się do strzeżonej galerii. A system alarmowy? Fotokomórki? Czy myślisz, że on jest niewidzialny?

- A jednak ukradł jeden obraz. Z innych galerii również kradnie. Policja jest bezradna. Sama o tym wiesz.

Yvonne zamyśliła się.

- Słuchaj, Robert - odezwała się po chwili. - Może do galerii prowadzi jakieś tajne

² **Auguste Renoir** (1841-1919) - francuski malarz i rzeźbiarz, jeden z głównych przedstawicieli impresjonizmu. Charakterystyczne dla jego obrazów są kolory pastelowe, zwłaszcza odcienie różu i błękitu. Za życia, podobnie jak wielu innych malarzy impresjonistów, nie cieszył się wielkim uznaniem. Dziś jego obrazy na międzynarodowych aukcjach osiągają ogromne ceny: ponad sto tysięcy dolarów za obraz.

przejście, o którym wie tylko on? Tę galerię budowała Katarzyna Medycejska³.

- Sądziysz, że baron nie wiedziałby o tym przejściu? Albo mój ojciec? - powątpiewał Robert.

Nagle zerknął na zegarek.

- O Boże, spóźniliśmy się o trzy sekundy! - zawołał.

I przycisnął na pulpicie czerwony guziczek.

Promienie trzech silnych reflektorów wydobyły z ciemności szeroko rozlaną rzekę. Ukazał się srebrny nurt, spływający pod czarne luki kamiennych przesł. Potem zapalił się reflektor po drugiej stronie rzeki i oświetlił długą sylwetkę galerii. Później trzy reflektory zainstalowane w parku wyłuskały z ciemności wieżyczki na zamku i dwa zwodzone mosty.

W nocnej ciszy rozległ się cichy, jakby płynący z oddali tętent kopyt końskich i turkot kół niewidzialnej karocy. Tętent narastał, jakby zbliżał się. Potem zmienił się jego ton - to niewidzialna karoca wjechała na most zwodzony.

Dziewcyńce wystarczyło przymknąć oczy, aby wyobrazić sobie, że oto powraca do swej siedziby królewska faworyta, Diana de Poitiers. Albo że przybywa tutaj Franciszek I czy Maria Stuart, tak jak to opisano w kronikach historycznych Francji. A czyż nie wspanialszy był wjazd Karola IX?

Robert przycisnie za chwilę zielony i żółty guziczek na pulpicie, z głośników popłynie rzewna melodia. A nieco później rozlegną się wesołe głosy niewidzialnych biesiadników. Rozpocznie się królewskie przyjęcie, jedno z najwspanialszych, jakie pamięta historia. Wydał je tutaj, na zamku, Henryk III, a kosztowało go ono sto tysięcy liwrow. Najpiękniejsze damy dworu z rozpuszczonymi włosami usługiwały gościom razem z córkami kró-

³ **Katarzyna Medycejska** (1519-1589) - królowa Francji, żona Henryka II. Pochodziła z książęcego rodu włoskiego Medyceuszów. Bezwzględna, często zmieniająca orientacje polityczne, była inspiratorką słynnej Nocy św. Bartłomieja i rzezi hugenotów. Posądzono ją o liczne spiski, otrucia, mordy polityczne. W sztuce francuskiej ugruntowała wpływy włoskie

lowej, Katarzyny Medycejskiej...

Tak, ongiś głośno było o tym zamku.

Wyglądał dziwnie, a zarazem wspaniale. Zbudowano go na potężnych fundamentach starego młyna i na łukach kamiennego mostu, który spinał brzegi niedużej rzeki, dopływu Loary. W słoneczny letni dzień jego renesansowa bryła zdawała się przegradzać szeroko rozlaną rzekę z białymi mieliznami łąch piaszczystych i zielonymi, porośniętymi wikliną brzegami. Srebrzysty nurt jednak jakby go nie zauważał - zaledwie muskał filary kamienne, z cichym bełkotem przepływając pod mrocznymi łukami ogromnej galerii, w której z romantycznym pejzażem i blaskiem słońca wpadającym przez renesansowe okna sąsiadowały rozwieszane na ścianach szeregi obrazów nowoczesnych malarzy: Picassa⁴, Matisse'a⁵, Renoira i wielu, wielu innych. Zbiór tych obrazów i ów tak odmienny krajobraz widziany z okien starej budowli tworzyły razem jakby nowy, zadziwiający świat, w którym piękno zdawało się być czymś najwspanialszym, najbardziej godnym uwagi.

Zamek Sześciu Dam należał ongiś do rodu Marquise'ów, którzy na fundamentach starego młyna na prawym brzegu wzniesli ponure zamczysko z wielką basztą. Utracjusze i hulacy, w 1512 roku sprzedali zamczysko podskarbiemu królewskiemu Thomasowi Bohier, którego żona Catherine Brigonnet, dama wrażliwa na piękno, upodobała sobie ten cichy zakątek, kazała zburzyć stary budynek i pozostawiwszy tylko potężną basztę, wzniosła tuż obok piękny zameczek z wieżyczkami w czterech rogach. Po jej śmierci zamek przeszedł na

⁴ **Pablo Picasso** (1881-1973) - wielki malarz współczesny pochodzenia hiszpańskiego, od roku 1904 zamieszkały we Francji. Na jego twórczość wywarł wpływ realizm hiszpański, neoimpresjonizm, symbolizm. Picasso był jednym z najbardziej aktywnych i wszechstronnych twórców XX wieku. Jego malarstwo budzi żywe dyskusje. Uważany jest za prekursora kubizmu i innych nowych kierunków.

⁵ **Henri Matisse** (1869-1954) francuski malarz i grafik, główny przedstawiciel kierunku zwanego fowizmem, będącego reakcją na wrażeniowe malarstwo impresjonistów. Charakterystyczne dla twórczości Matisse'a są jaskrawe zestawienia barwne. Najsłynniejsze obrazy: *Kobieta w kapeluszu*, *Radość życia*, *Taniec*, *Przepych*, *Spokój i rozkosz*, *Siedząca odaliska*

własność królów francuskich. Henryk II ofiarował go swej faworycie, słynnej z urody Dianie de Poitiers. Jej to zamek zawdzięczał most przez rzekę i piękny duży ogród na prawym brzegu.

Gdy umarł Henryk II, Katarzyna Medycejska odebrała zamek pani de Poitiers, zazdrosna o wpływ, jaki Diana miała na króla. Ale nienawiść, jaką nosiła w sercu do pięknej Diany, nie objęła zamku. Katarzyna Medycejska lubiła przepych i wystawność, łącząc je ze znakomitym poczuciem piękna. Na moście zbudowała dwupoziomową galerię, poszerzyła nieco zamek i sprowadziła do niego z Włoch piękne meble, posągi i książki.

Po latach Katarzyna Medycejska darowała zamek swej pasierbicy, Ludwice Lotaryńskiej, małżonce Henryka III. A gdy Henryk w czasie walk religijnych został zamordowany przez katolickiego mnicha Jacques Clementa, niepokieszona Ludwika przez jedenaście lat - aż do śmierci - opłakiwała tu swego małżonka. Nazywano ją Białą Damą lub Białą Królową, bo od śmierci męża przywdziała na zawsze obowiązujący na dworze biały strój żałobny. Jej komnata, łożo, dywan i fotele - wszystko było w kolorze białym. Legenda mówi, że w rocznicę zamordowania króla Biała Dama pojawia się w oknach zamku.

W następnych latach losy zamku toczyły się nie nazbyt ciekawie, aż do chwili, gdy otrzymał go zarządca dóbr królewskich, Dupin. Jego żona, madame Dupin, przyjaciółka artystów, prowadziła znany w historii salon literacki. W zamku spotykali się najszlachetniejsi ludzie tamtej epoki. Wiele czasu spędził tu Jean Jacques Rousseau⁶, który był nauczycielem synów państwa Dupin. To właśnie z tej rodziny pochodziła Aurora Dupin, znana jako George Sand⁷, przyjaciółka Fryderyka Chopina.

⁶ **Jean Jacques Rousseau** (1712-1778) - francuski pisarz i filozof wieku oświecenia, głoszący hasło powrotu do natury. Najbardziej znane jego książki: *Emil, czyli o wychowaniu*, *Wyznania*, *Nowa Heloiza*.

⁷ **George Sand**, właśc. Aurora Dudevant (1804-1976) - pisarka francuska. Odegrała doniosłą rolę w życiu literackim i artystycznym epoki romantyzmu. Bliskie stosunki łączyły ją z wieloma wybitnymi ludźmi.

W 1864 roku właścicielką zamku została madame Pelouze, która za cel swego życia postawiła sobie odrestaurowanie, nadwątlonej przez czas, potężnej budowli. Przywróciła zamkowi świetność i wspaniałość, która pozostała do dziś.

Sześciu kobietom zawdzięcza zamek swoją urodę, dlatego nazwano go Zamkiem Sześciu Dam.

Jego los związany był z ich losem, jego mury - jak najwierniejszy przyjaciel - były powiernikiem ich uśmiechów i westchnień.

Pani Bohier, Diana de Poitiers, Katarzyna di Medici, Ludwika Lotaryńska, pani Dupin i pani Pelouze. Każda z nich była inna, każda piętno swej indywidualności pozostawiła na zawsze w kształcie tej budowli. A przecież powstała z tego piękna całość, zadziwiająca i zarazem wspaniała.

- Uwaga, Yvonne! - krzyknął Robert. - Za piętnaście sekund włącz reflektor na prawej wieżycze.

Dziewczynka ocknęła się z marzeń. Turystom należało się efektowne zakończenie widowiska. Mnóstwo jest bowiem pięknych zamków w dolinie Loary, a pięćdziesiąt z nich posiada iluminację świetlną, połączoną z muzyką. Jeśli chciało się do leżącego nieco na uboczu Zamku Sześciu Dam ściągnąć wycieczki, widowisko musiało być rzeczywiście wspaniałe.

Włączyła reflektor na prawej wieżycze. Potem na lewej. Strugi światła rozjaśniły park i ogród Diany de Poitiers, osrebrzyły wody rzeki i kanału opływającego stary donżon.

Z głośników spłynęły łagodne dźwięki menueta...

I raptem...

Taniec został przerwany. Głośniki zamilkły.

Czyżby zepsuło się coś w aparaturze dźwiękowej?

Robert i Yvonne rzucili się do magnetofonu. Tarcza z taśmą obracała się wolno. Ale gło-

śniki milczały.

- Do licha! I to na samym końcu - burknął Robert. - Gotowi zażądać zwrotu pieniędzy.

W głośnikach coś zachrypiało. A potem rozległ się donośny głos:

„Mówi Fantomas. Uwaga! Mówi Fantomas! Jeśli nie otrzymam okupu, za miesiąc zginie obraz Renoira. Jeszcze raz przypominam: za miesiąc zginie *Plaża Renoira!*”

Nastąpiła cisza. A po chwili, jak gdyby nic się nie stało, zabrzmiał znowu rytm menueta.

- Słyszałeś? - Yvonne chwyciła Roberta za ramię.

- Jak mogłem nie słyszeć? Wydierał się na cały park.

- Ale gdzie on się włączył? Gdzie on jest? - pytała rozgorączkowana dziewczynka. - Przewody biegną po całym parku. Chodźmy go szukać. Trzeba go schwytać, zawiadomić policję! - zawołała.

Chłopiec wzruszył ramionami. I wskazał obracające się wolno talerze magnetofonu.

- On jest tutaj.

- Gdzie? - nie rozumiała.

- Na naszej taśmie z muzyką. Wkleił do niej kawałek taśmy z nagraniem swego głosu.

- Jakim sposobem? Przecież aparatura jest cały dzień zamknięta.

- Nie wiem, kiedy to zrobił - zastanawiał się chłopiec. - Myślę jednak, że stało się to przed dwiema godzinami. Pamiętasz, że trzynasty głośnik trochę chrypiał? Ojciec wezwał specjalistę z Tours. Był tu przed dwiema godzinami. Głośnik naprawił. I tu, do aparatury też zaglądał.

- Pozwoliłeś mu tutaj zostać samemu?

- Przecież nie wiedziałem, że to jest on! A zresztą, wysłał mnie pod głośnik do parku, żeby sprawdził, czy już nie chrypi. Wtedy mógł wkleić kawałek taśmy. W dowolnym miejscu, rozumiesz?

Do pomieszczenia w donżonie wpadł ojciec Roberta, kustosz, pan Durant.

- Co to było? Co to ma znaczyć? - wołał wzburzony. - Czy wy stroicie sobie głupie żarty? Dziewczynka wskazała magnetofon.

- To był głos złodzieja, proszę pana. Wklejono jego słowa na taśmę z podkładem muzycznym.

Kustosz zbliżył się do magnetofonu. Ale taśma wciąż jeszcze przesuwała się na talerzach. Widowisko kończyło się dopiero za pięć minut.

- A więc to taaak... - mruknął.

- Fantomas! - prychnęła pogardliwie dziewczynka. - To bardzo głupio wybierać sobie taki przydomek, prawda?

Chłopiec zaprzeczył:

- To nie jest głupiec. I przekonasz się, Yvonne, że jeśli baron nie zapłaci okupu, to on naprawdę skradnie obraz Renoira.

Kustosz wybiegł na taras, aby po zakończeniu widowiska przeprosić turystów za dziwny głos, który usłyszeli.

Ale to było zupełnie zbyteczne.

- Złodziej, który wam grozi? Fantomas, który uprzedza o kradzieży? - sceptycznie odniósł się do tej sprawy jakiś gruby Amerykanin.

- Nie bujajcie nas. Znamy się na reklamie. To taki wasz nowy trick, żeby ściągnąć turystów.

To mówiąc wypluł gumę do żucia pod zwodzony most na kanale.

ROZDZIAŁ I

• niespodziewana wizyta • Gołąb czy jastrząb • Kim jest Fantomas • O dziwnych kradzieżach • W drodze do Orleanu • W „wielkim ogrodzie Francji” • Kto nas śledzi • Błękitny helikopter • Kim była Joanna d’Arc • List od Karen i co z tego wynikło • Na tropie nowej przygody

W Paryżu, w Hotel du Nord, gdzie spędziłem pierwszą noc po przyjeździe do Francji, późnym rankiem zapukał do mnie jakiś mężczyzna.

- Monsieur Thomas? - zapytał, gdy otworzyłem drzwi. Był to średniego wzrostu brunet o wyglądzie małomiasteczkowego fryzjera. Miał czarne wąsiki, jak słynny amant Clark Gable, i długie baki. Wiek przybyłego był trudny do określenia: mógł mieć czterdzieści, a nawet pięćdziesiąt lat.

- Tak, jestem Tomasz - odrzekłem uprzejmie. - A z kim mam przyjemność?

- Czy jest pan owym Panem Samochodzikiem, który przyjechał z Polski? - upewniał się jegomość.

- Tak mnie nazywają przyjaciele - odparłem niechętnie. - Ale nie lubię tego przezwiska, bo brzmi bardzo dziecinnie. Bardzo pana przepraszam, z kim mam przyjemność?

- Nazywam się Gaspard Pigeon - wyciągnął do mnie małą wypielegnowaną dłoń. - Jestem detektywem jednej z wielkich agencji ubezpieczeniowych i podobnie jak pan muszę dziś jechać do zamku barona de Saint-Gatien. Niestety, dzisiejszej nocy skradziono mi w Paryżu samochód. Czy w związku z tą przykrą sprawą mógłbym skorzystać z okazji i zabrać się z panem do Zamku Sześciu Dam? Nazywam się Gaspard Pigeon - powtórzył swoje nazwisko, pilnie zaglądając mi w twarz, jakby w oczekiwaniu, że dostrzeże na niej ironiczny

uśmieszek.

„Gaspard” to po polsku Kasper. „Pigeon” - gołąb. A więc ten pan nazywa się Kasper Gołąb. Biorąc zaś pod uwagę, że z zawodu był detektywem, niejednemu zapewne wydawała się zabawna myśl o gołębiu tropiącym drapieżców przestępczego świata.

Wskazałem mu uprzejmie krzesło i pozwoliłem sobie na zdziwienie:

- Skąd pan wiedział o moim przyjeździe, zatrzymaniu się w Hotel du Nord i przezwisku Pan Samochodzik?

Uśmiechnął się z dumą.

- Po pierwsze, jestem przecież detektywem, a po drugie, o pana przyjeździe pisały gazety.

To mówiąc podał mi jakiś paryski brukowiec z dzisiejszą datą i wskazał niewielką notatkę następującej treści:

W związku z kradzieżami obrazów z galerii barona de Saint-Gatien przybył wczoraj do Paryża i zatrzymał się w Hotel du Nord znany w Polsce specjalista do walki ze złodziejami dzieł sztuki, noszący przydomek Pan Samochodzik. Przyjechał on do Francji na zaproszenie barona de Saint-Gatien, któremu złodziej zagroził kradzieżą słynnego obrazu „Plaža” Renoira. Czy specjalista z Polski zdoła ustrzec barona przed nową kradzieżą i zdemaskować zloczyńcę, który przybrał pseudonim Fantomas?

Agencja Ubezpieczeniowa, w której baron ubezpieczył swoje obrazy, ściągnęła z Londynu swego najzdolniejszego detektywa, pana Gasparda Pigeona, aby wyjaśnił zagadkę kradzieży. Cała sprawa zapowiada się tym bardziej ciekawie, że złodziej właśnie na dzisiejszą noc zapowiedział kradzież obrazu Renoira. Czy zdoła wykonać swą groźbę, skoro aż dwóch detektywów będzie strzegło galerii w Zamku Sześciu Dam?

Nie omieszkamy poinformować o tym czytelników naszej gazety.

Przeczytałem uważnie notatkę i wruszyłem ramionami.

- No cóż - stwierdziłem - dziennikarze są, jak z tego widać, świetnie poinformowani. Czy wiedzą również, że panu skradziono samochód?

- Nie. I wolałbym tej sprawie nie nadawać rozgłosu. To trochę kompromitujące. Muszę panu wyznać, że o tej kradzieży nawet nie powiadomiłem policji.

- Dlaczego? - zdziwiłem się.

- Samochód się znajdzie. Jutro albo pojutrze będzie stał na którejś z bocznych paryskich uliczek. Komuś zależało na tym, abym opóźnił swój wyjazd do zamku.

- Ma pan jakieś konkretne podejrzenia?

- Oczywiście. Na parkingu stało trzydzieści samochodów. Lepszych, piękniejszych, łatwiejszych do ukradzenia niż mój. A jednak zginął tylko mój humber.

- Rozumiem - skinąłem głową. - Czy domyśla się pan, kto był sprawcą?

- Jasne! - roześmiał się triumfująco, jakby już kładł swą małą dłoń na ramieniu przestępcy. - Dlatego powinniśmy się śpieszyć, proszę pana. Muszę jak najszybciej znaleźć się w zamku. Pan pewnie wie, o co chodzi, prawda?

- Tak.

- Aż z Polski wezwano pana w tej sprawie - podrapał się za lewym uchem, zatroskany, że nie okazano całkowitego zaufania jemu, słynnemu detektywowi, Gaspardowi Pigeonowi. - Czy pracuje pan w polskiej policji?

- Nie. W Ministerstwie Kultury i Sztuki. W Naczelnym Zarządzie Muzeów. Z wykształcenia jestem historykiem sztuki.

- Ach, więc sprawami kryminalnymi zajmuje się pan tylko z amatorstwa? - wyraźnie ucieszył się pan Pigeon.

- Owszem - przytaknąłem. - Ale i w Polsce, podobnie jak w wielu innych krajach, działają fałszerze dzieł sztuki, złodzieje zabytkowych przedmiotów, ludzie zajmujący się nielegalnym handlem antykami. Kilkakrotnie udało mi się z nimi rozprawić. Jako rzeczo-

znawca dzieł sztuki współpracowałem z milicją.

- No, tak. Rozumiem - pokiwał głową bardzo z siebie zadowolony - ale bardzo wątpię, czy dotychczasowe doświadczenie przyda się panu w tej sprawie. Co do mnie, drogi panie - rozsiadł się wygodnie na krześle - mam na swym koncie wielu schwytanych przestępców. Trzeba panu wiedzieć, że w związku z kradzieżą w Zamku Sześciu Dam moja Agencja Ubezpieczeniowa odwołała mnie aż z Londynu, gdzie zajmowałem się sprawą zaginięcia za-
bytkowych klejnotów, należących do lady Pembroke. Agencja Ubezpieczeniowa uznała, że nikt inny poza Pigeonem nie zdoła rozwikłać tej nowej zagadki. Jak panu zapewne wiadomo, w ostatnich miesiącach dokonano kilku zuchwałych kradzieży obrazów w zamkach nad Lo-
arą.

- Wiem. W Angers, w Chambord i w Amboise.

- Ach, został pan o tym poinformowany? - zdziwił się.

- Wiem tylko to, co pisała o tym francuska prasa - wyjaśniłem.

- Obrazy z tych trzech zamków ubezpieczone były w innej, konkurencyjnej agencji ubezpieczeniowej, więc nic mnie one nie obchodzą. Ale gdy w Zamku Sześciu Dam skradziono obraz Cézanne'a⁸, za który nasza Agencja musi baronowi wypłacić ogromne odszkodowanie, a na domiar złego złodziej zapowiedział kradzież obrazu Renoira, Zarząd Agencji wziął sobie tę sprawę mocno do serca. Śpieszmy zatem do Zamku Sześciu Dam.

Zabrałem się do pakowania swoich rzeczy porzucanych w pokoju hotelowym, a pan Gaspard Pigeon, który odetchnął z wyraźną ulgą, gdy dowiedział się, że w detektywi-

⁸ **Paul Cézanne** (1839-1906) - malarz francuski, którego twórczość miała przełomowe znaczenie dla rozwoju malarstwa XX wieku. Wraz z przyswojeniem sobie zdobyczy impresjonizmu zmierzał Cézanne do przewyżczenia jego jednostronności. Za życia Cézanne był malarzem mało znanym, lekceważonym, nawet wyśmiewanym. Obecnie na międzynarodowych aukcjach obrazy Cézanne'a osiągają bardzo wysokie ceny. Na jednej z ostatnich aukcji zapłacono za jego obraz 350 tysięcy marek zachodnioniemieckich.

stycznym fachu jestem tylko amatorem, rozgadał się nie szczędząc sobie pochwał. Z wyglądu i zachowania coraz bardziej przypominał mi postać z powieści kryminalnych Agaty Christie, słynnego detektywa pana Poirota. Tylko że tamten nie pracował na zlecenie Agencji Ubezpieczeniowej.

- Drogi panie - mówił - noszę wprawdzie nazwisko Gołąb, ale bez fałszywej skromności muszę panu powiedzieć, że w całej Europie na dźwięk mego nazwiska drżą przestępcy zajmujący się kradzieżą dzieł sztuki. Powinienem się nazywać „Jastrząb” lub „Orzeł”, albowiem jak każdy z tych ptaków niespodziewanie, z góry spadam na swoją ofiarę i pakuję ją za kratki. Współpracując ze mną, przyglądając się mojej robocie, wiele pan się zdoła nauczyć. Tym bardziej że sprawa, którą mi powierzono, jest niezwykle trudna. Kryje się za nią Fantomas.

- Fantomas? - lekceważąco wzruszyłem ramionami. - To brzmi śmiesznie. Jeśli mnie pamięć nie myli, Fantomas to postać literacka.

- Z brukowej literatury - dorzucił pan Pigeon. - Bodaj przed pięćdziesięciu laty dwaj francuscy dziennikarze opublikowali powieść w odcinkach, której bohaterem był niejaki Fantomas. Jak wskazuje rdzeń tego nazwiska, pochodzi ono od słowa „fantom”, czyli „widmo, widziadło, duch”. Fantomas w tej powieści to człowiek-widmo, przenikający mury i ściany.

- Oglądałem filmowe wcielenie Fantomasa - dorzuciłem.

- A tak - skinął głową pan Pigeon. - W filmie zrobiono z niego demonicznego przestępcę, posługującego się najnowocześniejszą techniką, mistrza charakteryzacji. Jednym słowem, człowieka o stu twarzach.

- A Fantomas z zamków nad Loarą? - zapytałem ostrożnie.

- To oczywiście człowiek, który poza pseudonimem, jaki sobie przybrał, oraz podobną metodą działania nie ma nic wspólnego z tamtymi postaciami. Listy z pogróżkami do właścicieli galerii podpisuje nazwiskiem Fantomas i podobnie jak tamten przenika przez mury

strzeżonej galerii. Nie pozostawiając żadnych śladów zabiera najcenniejszy obraz, a na jego miejscu wieszka falsyfikat. Ale tym razem trafił swój na swego. Udaowało mu się, dopóki miał do czynienia z innymi detektywami. Teraz ja, Pigeon, ruszam do walki z Fantomasem. On zdaje sobie sprawę, jakie mu grozi niebezpieczeństwo i dlatego tak boi się mego przyjazdu do zamku hrabiego de Saint-Gatien. Skradł mój samochód? To nic. Skoro raz wpadnę na trop Fantomasa, już nic nie zdoła mnie z niego sprowadzić - zakrzyknął pan Gaspard.

I mnie jak gdyby udzielił się jego zapał. Chwyciłem podróżny neseser i powiedziałem z mocą:

- A więc w drogę! Do walki!

Albowiem nie należę do ludzi, którzy dają się zwodzić pozorom. Pan Pigeon pochodził chyba gdzieś z południa Francji i jak większość południowców był gadatliwy oraz zdradzał skłonności do fanfaronady. Niemniej mogła to być tylko maska, kryjąca spryt i inteligencję. Przestępca, który pochopnie osądził pana Pigeona jako skłonnego do przechwałek głupca, zapewne rychło trafiał za kratki. Poważna Agencja Ubezpieczeniowa nie zatrudniałaby fanfaroną, a tym bardziej nie wysyłałaby go w tak trudnej sprawie.

W hallu hotelowym boy w błękitnej liberii podał panu Pigeonowi jego podróżny neseser i płaszcz-prochowiec, które to rzeczy pozostawił u niego detektyw, zanim poszedł do mnie na górę. Wyszliśmy przed hotel i skierowaliśmy się na pobliski parking.

- Co to za pudło? - z dużą dozą zdziwienia zapytał pan Gaspard, gdy zatrzymałem się przy swoim wehikule.

Nie byłem zaskoczony tym pytaniem. Wprawdzie w Paryżu niejedno widziano i byle czym nie zadziwi się Francuza, ale w długim szeregu lśniących lakierem wspaniałych wozów mój wehikuł wyglądał rzeczywiście szkaradnie. Widok tego czółna skrzyżowanego z namiotem mógł zaskoczyć nawet tych, którzy przywykli już do panującej na Zachodzie mody jeżdżenia bardzo starymi gratami. Bo to nie był grat jakiejś określonej starej marki,

lecz dziwny stwór, jakby jakaś larwa wybałuszająca oczy wypukłych reflektorów. I ten jego śmieszny, zadarty kuper. I ta karoseria młotkiem wyklepana...

Wyjaśniłem sucho:

- Ten wóz zrobił mój wujek, zapoznany wynalazca. Budowa wehikułu to było jego hobby. Gdy zmarł, otrzymałem wóz w spadku. Służy mi zresztą znakomicie.

- No tak, to najważniejsze - zgodził się pan Pigeon i podrapał się za lewym uchem.

Ale mimo to z dużą nieufnością zasiadł w wehikule, jakby obawiając się, że ten potwór nagle pęknie, kichnie albo wybuchnie i wyrzuci nas w przestworza. Oczywiście, w kawałkach.

Z Paryża, po długim kluczeniu i wypytywaniu o drogę, lawirując wśród setek samochodów mknących ulicami tego niezwykle ruchliwego miasta, wyjechaliśmy na szosę do Orleanu, odległego o 116 kilometrów od stolicy Francji.

* * *

Był trzeci lipca, dzień słoneczny, choć bardzo wietrzny. Wyjeżdżaliśmy z Paryża przez słynną Bramę Orleańską. Szosa biegła tu na lewym stoku doliny Bièvre, opadającej ku znanemu, ślicznemu miasteczku Bourg-la-Reine. Potem wóz wspiął się na niewysokie płaskowzgórze i wkrótce ujrzeliśmy wieże Montlhéry z XIII i XV wieku. Po przebyciu małej doliny Linas, ukazały się po prawej stronie zadrzewione wzgórza leśne. I znowu doliny l'Orge. Szosa prowadziła dalej między dwoma malowniczymi stokami i gwałtownie opadała do Etréchy, gdzie znajduje się piękny kościół z XIII wieku.

Dla turysty wiele jest do zwiedzania w drodze z Paryża do Orleanu, jak choćby miasteczko Etampes, rozciągające się w pięknej dolinie, gdzie u stóp pagórka ozdobionego starą królewską basztą Guinette z XII wieku łączą się z sobą rzeki Juine i Charlette. Warto też obejrzeć romański portal w kościele Świętego Bazylego i wspaniały kościół Notre Dame du

Fort z XII wieku, górujący nad okolicą swoją wysoką na sześćdziesiąt dwa metry wieżą.

Lecz nam spieszno było do zamku hrabiego de Saint-Gatien i nie zatrzymaliśmy się nigdzie, nawet by wypić filiżankę czarnej kawy, w którymś z przydrożnych moteli czy restauracji.

Oto płaskowzgórze Beauce, niezwykle żyzne, zwane spichlerzem Paryża. A potem po lewej ręce ukazała się na horyzoncie długa, ciemna smuga przepastnych Borów Orleańskich, obejmujących obszar trzydziestu czterech tysięcy hektarów. Blisko już był i sam Orlean, poprzedzany rozległymi przedmieściami.

Pan Gaspard Pigeon, świadom, że jestem cudzoziemcem, który po raz pierwszy zawitał w te strony, czuł się w obowiązku zabawić mnie opowieściami charakteryzującymi te okolice. A trzeba stwierdzić, że umiał opowiadać barwnie i ze swadą.

- Jedziemy, panie Tomaszu, w dolinę rzeki Loary, w krainę, którą Francuzi nazywają „wielkim ogrodem Francji”. Skądkolwiek byśmy tam nie przyjechali, czy to od strony płaskowzgórza Beauce, czy od żyznego Berry albo od zielonej, lesistej Gatine Mancelle, otoczą nas winnice, białe domki i kwiaty. Lecz niech pan nie sądzi, że to istny raj na ziemi, pełen kwiatów i owoców. Są tu i dzikie, niegościnnie, jałowe wzgórza sąsiadujące z dolinami pełnymi słońca. Jak mówią niektórzy: okolice Loary to „puszysty dywan, złotymi frędzlami ozdobiony”, Loara zaś, panie Tomaszu, jest dużą rzeką, pełną szerokich zakrętów. W zależności od konfiguracji terenu, to płynie wolno, to znów rwie jak koń uderzony ostrogą. Rzeka posiada liczne dopływy i niesie ku morzu żyzny namuł, który od dawna wykorzystują rolnicy. Zamienili oni wyschnięte odnogi Loary we wspaniałe ogrody. Tu nie pracuje się pługiem ani broną, ale łopatą i grabiami. Ziemia podzielona jest na malutkie działki, na których rolnicy osiągają astronomiczne wprost zbiory warzyw i owoców. W okolicach Blois rosną najwspanialsze szparagi. W Turenni - arbuzy, pomidory i kapusta o niezwykłym smaku. W Andegawenii - brzoskwinie i czereśnie. Powinien pan obejrzeć wspaniałe ogrody różane i

szkółki owocowe w pobliżu Angers i Orleanu. I łańcuch wzgórz i pagórków, ciągnący się od Blois, gdzie jest bardzo wiele winnic. Właściciele winnic wykorzystują naturalne grotty we wzgórzach wapiennych do przechowywania beczek z winem. Ach, cóż to za wspaniały widok te stoki wzgórz i pagórków, gdzie tak pięknie rosną glicynie, wśród których widnieją otwory do piwnic z winem.

Winiarze mieszkają w najbliższym sąsiedztwie swego bogactwa, nazywają ich „jaskiniowcami”, bo poszerzyli grotty, robiąc w nich pomieszczenia na stajnie i wozownie. Nie jest im ani za zimno zimą, ani za gorąco latem. Naprawdę to baśniowa kraina, jak pisał Teofil Gautier⁹. Lecz najpierw opowiem panu o tutejszych winach. Zrobię to, zanim posmakuje ich pan własnym podniebieniem - to mówiąc pan Pigeon głośno cmoknął, jakby już na języku czuł smak wina z okolic Blois.

Lecz nagle przerwał swą opowieść. Sięgnął do nesesera i wyjął z niego lornetkę polową.

- Czy nie sądzi pan, że jesteśmy śledzeni? - zapytał.

Spojrzałem we wsteczne lusterko. Szosą z Paryża do Orleanu jechało mnóstwo ogromnych jak hipopotamy, obładowanych bagażem ciężarówek. I dziesiątki wozów osobowych. Ponieważ jednak nie przekraczałem szybkości sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, wszystkie te wozy, duże i małe, wyprzedzały mnie i po chwili ginęły z oczu. Żaden z nich nie jechał za mną przez dłuższy czas, co mogłoby wzbudzić podejrzenia.

- Nie, proszę pana, nic takiego nie zauważyłem - odrzekłem spojrzawszy w lusterko.

Szosa za mną była w tej chwili zupełnie pusta.

- W górę! W górę niech pan spojrzy! - zawołał pan Pigeon.

⁹ **Théophile Gautier** (1811-1872) - pisarz francuski, poeta i prozaik, przedstawiciel tzw. „drugiej generacji” romantyzmu francuskiego. Polakom czytelnikowi znany jest przede wszystkim jako autor popularnej awanturkowej powieści *Kapitan Fracasse*.

Odkręcił boczną szybę i wychylił się przez okno.

No tak, miał rację. Od pewnego czasu leciał za nami mały, błękitny helikopter. To oddalał się od szosy i niknął nam z oczu, to znów zbliżał się do niej, aby po jakimś czasie znowu się oddalić. Nie zwracałem na niego uwagi, bo nie przyszło mi do głowy, że we Francji latają prywatne helikoptery i mogą one, tak samo dobrze jak samochód, służyć do śledzenia jadącego szosą pojazdu.

Gdy pan Pigeon wychylił się przez okno, błękitny helikopter znajdował się tuż nad nami. Leciał nisko, najwyżej dwieście metrów nad szosą. I chyba zauważono z niego pana Pigeona, helikopter bowiem nagle zaczął się wznosić coraz wyżej, a później odleciał szybko w bok, w stronę Borów Orleańskich.

- No, widzi pan - stwierdził triumfująco pan Pigeon i podrapał się za lewym uchem. - Śledzono nas.

Musiałem przyznać, że zachowanie helikoptera wyglądało podejrzanie. Co lotnikowi przeszkadzało, że Pigeon go ogląda? Dlaczego nagle odleciał?

- Fantomas nie spuszcza nas z oka - powiedział radośnie pan Pigeon.

Zapewne świadomość, że jest śledzony przez Fantomasa, schlebiała jego próżności.

Odezwała się we mnie nutka przekory:

- Jest pan pewien, że to Fantomas? A cóż mu przyjdzie ze śledzenia nas? Przecież to nie jest tajemnica, że jedzie pan do zamku hrabiego de Saint-Gatien. Wnosząc z mapy samochodowej, będziemy tam za dwie godziny. Po co, śledząc nas, wypala aż tyle wysokooktanowej benzyny?

- A właśnie. Pan nie zdaje sobie sprawy z grozy sytuacji - westchnął pan Gaspard.

- Sytuacja jest groźna? - zapytałem z powątpiewaniem.

- Wiezie pan ładunek dynamitu. To znaczy mnie, Gasparda Pigeona - wyprężył się dumnie i pogładził swoje wąsiki. - Fantomas uczyni wszystko, aby nie dopuścić mnie dziś do

zamku. Zapowiedział przecież kradzież obrazu Renoira. Do tej pory obrazu nie ukradł. Dowiedział się jednak, że jadę do zamku, więc jedyna szansa dla niego to ukraść obraz dzisiejszej nocy, a mnie gdzieś w drodze zatrzymać. Do jutra, pan rozumie?

- Zaczynam rozumieć - stwierdziłem.

Na tym zakończyła się nasza rozmowa, bo wjechaliśmy w ulice Orleanu. Gdy znaleźliśmy się w centrum, w pobliżu placu du Martroi, pan Gaspard poprosił, abym zaparkował wóz obok wychodzącego na chodnik kawiarnianego tarasu. Zachęcił mnie do wypicia filiżanki czarnej kawy, on bowiem miał coś do załatwienia w orleańskim oddziale Agencji Ubezpieczeniowej.

Zanim usiadłem na tarasie i zamówiłem kawę, przespacerowałem się kilkanaście kroków po placu i sąsiednich uliczkach. Ta krótka wędrowka wystarczyła, aby się zorientować, że Orlean to miasto, w którym niepodzielnie panuje kult Joanny d'Arc, zwanej Dziewicą Orleańską¹⁰.

Na centralnym placu miejskim du Martroi wznosi się ogromny posąg konny, wykonany przez Denisa Foyatiera. Przed wspaniałym ratuszem również zobaczyć można figurę modlącej się Joanny d'Arc, wykonaną na zlecenie księżnej Marii Orleańskiej. Trzecia statua znajduje się w pobliskim ogrodzie: żołnierz, zwycięzca z 1918 roku, składa laury u stóp Joanny. Czwarta rzeźba Joanny d'Arc ustawiona jest na krańcu ogromnego kamiennego mostu nad Loarą.

Turystę prowadzi się w tym mieście przede wszystkim do interesującego Muzeum Joanny d'Arc, mieszczącego się w pięknym renesansowym gmachu, i na ulicę Tabour, gdzie znajdują się bardzo stare siedziby. W domu pod numerem 35 wielmożny pan Jakub Boucher,

¹⁰ **Joanna d'Arc** (1412-1431) - bohaterka narodowa Francji. Podczas wojny stuletniej między Anglią i Francją, stając na czele wojsk francuskich, oswoiła Orlean. Pojmana przez Anglików, została spalona w Rouen na stosie jako czarownica. Beatyfikowana w 1909 r., a w 1920 ogłoszona świętą.

skarbnik księcia Orleańskiego, podejmował Joannę d'Arc.

Królowie francuscy uważali Orlean za drugie miasto Francji po Paryżu. Nic więc dziwnego, że wiadomość o oswobodzeniu Orleanu obleganego przez Anglików w 1429 roku stała się sygnałem do powstania przeciw nim całego francuskiego królestwa. Podobną rolę odegrała w Polsce w czasach szwedzkiego potopu wieść o obronie Częstochowy.

Orlean to duże, piękne, ruchliwe, prawie sto tysięcy mieszkańców liczące miasto, usytuowane na prawym brzegu Loary.

Zasiadłem na tarasie kawiarni i przyglądając się przechodniom popijałem mocną kawę, oczekując na powrót pana Gasparda Pigeona.

Od czasu do czasu przymykałem powieki i nagle otwierałem je szeroko, aby po raz któryś upewnić się, że jednak jestem na ulicy Orleanu, a nie siedzę za swoim biurkiem w Naczelnym Zarządzie Muzeów. Zaproszenie od barona przyszło przed dwoma tygodniami, potem wszcząłem starania o paszport. Ale nawet trzymając paszport w ręku nie mogłem uwierzyć, że wyruszam do Francji, być może po nową przygodę. Znaleźć się miałem nie tylko w innym kraju, ale i jakby w zupełnie innym świecie. Byłem skromnym urzędnikiem Ministerstwa Kultury i Sztuki w państwie, w którym zlikwidowana została wielka własność prywatna i przywileje rodowe. Muzea, zamki, galerie dzieł sztuki - wszystko to stało się w moim kraju własnością państwową i zarządzane było przez władze państwowe. Jechałem zaś do kraju, gdzie większość wspaniałych zabytkowych pałaców i zamków znajdowała się w rękach prywatnych właścicieli. W zamkach tych były wspaniałe prywatne galerie obrazów starych i nowych mistrzów. Czy będę umiał dostosować się do sytuacji w tym jakże różnym świecie?

Zaproszenie od barona de Saint-Gatien dostałem wraz listem od Karen Petersen. Pisała, że jej ojciec, sympatyczny poszukiwacz skarbów, kapitan Petersen, przyjaźni się z hrabią Raulem de Saint-Gatien, właścicielem przepięknego Zamku Sześciu Dam. Przyjaźń ta narodziła się w czasie wojny, gdy kapitan Petersen pływał w angielskich konwojach i uratował

zycie rozbitkowi, oficerowi francuskiego okrętu. Był nim baron de Saint-Gatien. Karen i kapitan Petersen bywali kilkakrotnie w Zamku Sześciu Dam i podczas ostatnich odwiedzin dowiedzieli się o kradzieży obrazu Cezanne'a z galerii barona. Kradzież poprzedził list z żądaniem okupu w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Jeśli baron nie złoży okupu - groził tajemniczy osobnik - obraz Cezanne'a zostanie skradziony.

Baron okupu nie złożył. A po pewnym czasie okazało się, że obraz Cezanne'a zniknął z galerii, a ściślej - zamiast oryginału zawisła tam jego kopia. Policja wszczęła śledztwo, ale utknęło ono na martwym punkcie. Sprawcy kradzieży nie schwytano.

Minął jakiś czas i baron znowu dostał list z żądaniem okupu tej samej wysokości. Tym razem okup dotyczył obrazu Renoira. Jeśli baron nie zapłaci okupu - groził ten sam tajemniczy osobnik - obraz Renoira zostanie skradziony przed upływem miesiąca, a zamiast niego baron będzie musiał zadowolić się kopią.

Po otrzymaniu drugiego listu z żądaniem okupu, Karen napisała do mnie i załączyła zaproszenie do Francji.

„Opowiadałam baronowi o Tobie, Tomaszu - pisała Karen - o Twoich sukcesach w poszukiwaniu zaginionych zbiorów muzealnych i walce z najróżniejszymi falszermi i złodziejami antyków. Baron błagał mnie, abym Cię zaprosiła do jego zamku. Oczywiście, traktuj ten wyjazd jako zwykłą wycieczkę do Francji na zaproszenie przyjaciół. Ale wiem z góry, że wciągnie Cię ta nowa przygoda. Przyjedź, proszę Cię, choćby ze względu na naszą przyjaźń. Zdradzę Ci jeszcze jedno: być może wkrótce wejdę do rodziny de Saint-Gatien, jestem bowiem zaręczona z bratankiem barona, Vincentem, przeuroczym malarzem, mającym pracownię w Paryżu, na Montmartre. Vincent to prawdziwy artysta, choć jeszcze nie zyskał sobie sławy. Jest dziedzicem zamku i tytułu barona, ale nie myśli o przyjęciu spuścizny po stryju. Żyje bardzo biednie, nie chce jednak zmienić swej ubogiej pracowni na wspaniałości Zamku Sześciu Dam.”

W tym miejscu następował szczegółowy opis wszystkich duchowych zalet malarza Vincenta. Opis ten, rzecz jasna, daruje Czytelnikom, choć sylwetka nakreślona przez Karen prezentowała się bardzo sympatycznie. Czyż mogłem odmówić prośbie Karen, która namawiała mnie na ten wyjazd, by zyskać jeszcze większą sympatię przyjaciela swego ojca i stryja swego narzeczonego?

Wyznaję szczerze: przyjąłem zaproszenie, bo jako historyka sztuki pociągała mnie uroda słynnych zamków w dolinie Loary. Przyjąłem je również dlatego, iż wabiła mnie nowa przygoda.

ROZDZIAŁ II

• O serach z Olivet i Madame Pompadour • Czym jeździ Fantomas • Co powinien umieć detektyw • Nagroda sto tysięcy franków • List od tajemniczego „przyjaciela” • W zrujnowanej winnicy • O smaku win słów kilka • Złodzieje samochodów • Ryk osła czy wołanie o pomoc

Z Orleanu, ulicą Królewską, wyjechaliśmy na potężny most kamienny, zbudowany nad Loarą w XVIII wieku. Zobaczyłem stąd panoramę miasta ze wspaniale rysującą się gotycką sylwetą katedry Świętego Krzyża, noszącej ślady różnych stylów, jakie występowały od XIII do XVIII wieku. I po raz pierwszy w życiu ujrzałem Loarę, rzekę znacznie mniejszą niż nasza Wisła, lecz rozlewającą się tutaj dość szeroko.

Kapryśna to rzeka. W ostatnim stuleciu aż cztery wielkie powodzie pustoszyły dolinę, którą płynie. Ma bardzo wiele zakoli i zakrętów tworzących malownicze pejzaże. To o tej niebieskiej, kapryśnej rzece pisał Pierre Ronsard¹¹ i Joachim du Bellay¹². To w tej dolinie nagromadziło się wiele wspaniałych zamków, tak ją sobie dawni Francuzi upodobali.

Kiedyś tworzyła dogodny trakt komunikacyjny, pływały po niej statki i barki. Dziś trasami komunikacyjnymi są asfaltowe szosy, a na wodach Loary pływają łodzie rybaków i turystów.

Cztery kilometry jazdy i oto miejscowość Olivet z mostem nad krótką, niewielką rzeczką

¹¹ **Pierre Ronsard** (1524-1585) - poeta francuski, najwybitniejszy przedstawiciel francuskiego odrodzenia. Przepiękna jest jego liryka miłosna. W polskim przekładzie, w wyborze Artura Sandauera, ukazał się w 1956 r. *Wybór poezji* Ronsarda.

¹² **Joachim du Bellay** (1522-1466) - poeta francuski, odegrał dużą rolę w rozwoju literatury francuskiej, wprowadzając nowe formy poetyckie: epopeję, ode, elegię, sonet.

Loiret. Ta rzeczką o bardzo przejrzystych wodach wytryskuje z ziemi nie opodal, w parku otaczającym piękny Pałac Źródłany z XVII wieku. Obfite źródło w bliskim sąsiedztwie Loary nasunęło przypuszczenie, że rzeka Loiret jest jej podziemnym dopływem. Tu, nad Loiret często przesiadują wędkarze, a miejscem ich ulubionych spotkań są wiejskie gospody w uroczym, małym miasteczku Olivet, które słynie również z produkcji wspaniałych serów.

Lecz oto już inne miasteczko, a raczej osada Cléry-Saint-André ze wspaniałą bazyliką Notre Dame, zbudowaną w XV wieku przez Ludwika XI, jako wyraz złożonego przezeń ślubowania. W bazylice znajduje się piękny grobowiec tego króla, zrobiony z białego marmuru; król jest przedstawiony w postaci klęczącej przed wizerunkiem Madonny.

Droga znowu skręca ku Loarze. I oto długi, czterystuczterdziestometrowy most o dwudziestu sześciu łukach prowadzi do uroczego Beaugency, bardzo starego francuskiego miasteczka. Chłubi się ono starym opactwem, średniowiecznym zamkiem i wieżą Cezara z XI wieku - kwadratową, surową budowlą z epoki rzymskiej.

Lecz nie zapominajmy, że dolina Loary to kraina zamków. Oto tuż za Beaugency znajduje się zamek Ménars, zbudowany w XVIII wieku dla markizy de Pompadour¹³. Stąd starą, wysadzaną ogromnymi topolami, jedenastokilometrową promenadą z przepięknym widokiem na dolinę Loary dojść można do wspaniałego zamku Chambord.

My jednak pojechaliśmy prosto i wkrótce znaleźliśmy się w Blois, stanowiącym centrum gospodarcze i przemysłowe tego rejonu Francji.

Przemknąwszy ulicami miasta, wkrótce wydostaliśmy się na szosę do Tours.

- Jaka szkoda, panie Tomaszu - westchnął Pigeon, drapiąc się za lewym uchem - że nie mamy czasu, aby odwiedzić słynny zamek w Blois. W szesnastym wieku był dla Francji

¹³ **Jeanne Antoinette Poisson, markiza de Pompadour** (1721-1764) - faworyta króla francuskiego Ludwika XV. Wywierała znaczny wpływ na jego życie i politykę. Wykształcona i utalentowana, protegowała uczonych, pisarzy, artystów.

tym, czym później stał się Wersal. Na pierwszym piętrze znajduje się gabinet Katarzyny Medycejskiej, gdzie odkryto przeróżne schowki na precjoza i trucizny. Powiadają, że jeszcze nie wszystkie tajemnice jej gabinetu zostały zbadane. Jest pole do popisu dla historyków sztuki. Tu, w Blois, zamordowano księcia Henryka de Guise. Ale czemu pan jedzie tak wolno? Czy naprawdę nie można przyspieszyć? Obawiam się, że jadąc w takim tempie, nie zdołamy dotrzeć przed nocą do Zamku Sześciu Dam.

Jechałem rzeczywiście bardzo wolno, zaledwie czterdziestką.

- Tak, tak - znowu westchnął pan Pigeon - od razu widać, że w detektywistycznym fachu jest pan tylko amatorem.

- Dlaczego?

- Prawdziwy detektyw, jeśli chce walczyć z Fantomasem, musi mieć szybki i niezawodny samochód. Fantomas jest przeciwnikiem niebezpiecznym. Co by było, gdyby wypadło panu go ścigać? Przecież pan wciąż jedzie zaledwie czterdziestką. Chyba strasznie długo podróżował pan z Polski. Jak dyliżansem. I nie denerwuje pana taka jazda?

- Nie. Mogę rozglądać się po okolicy.

- Ach, tak - mruknął pan Gaspard. - Bo ja mam humbera. To niezawodny i szybki wóz.

Nie mogłem opanować złośliwości.

- Pan miał humbera, proszę pana.

- Co znaczy: miałem? - zdziwił się.

- No, bo go panu ukradziono.

- A tak, rzeczywiście - zgodził się. - Ale przyzna pan, że to znakomity samochód.

- Co po samochodzie, którego już nie ma - wzruszyłem ramionami. - Może nim teraz jeździ Fantomas?

- Sądzi pan, że on jeździ moim samochodem? - oburzył się pan Gaspard. - A to łajdak! Tak, tak, ma pan rację. Wszystko możliwe. Nawet i to, że on teraz rozpiera się w moim wo-

zie, a ja muszę trząść się w pańskiej landarze. Ale on zapłaci mi za wszystko. Czy wie pan, jaką premię wyznaczyła nasza Agencja Ubezpieczeniowa za zdemaskowanie Fantomasa? Sto tysięcy franków! Za taką sumkę mógłbym sobie kupić mały domek na południu Francji i hodować róże. To moje marzenie.

- Sto tysięcy franków! - jęknąłem.

- To wcale nie tak dużo. Czy pan wie, na jak ogromne straty naraził już Fantomas inne agencje ubezpieczeniowe? On grasuje od trzech lat. I to tutaj, w tej okolicy. Zaczęło się od zamku w Amboise. Zażądał okupu za obraz Memlinga¹⁴, a gdy mu go nie wypłacono, w galerii zamiast oryginału znalazła się kopia. A przecież w Amboise są urządzenia elektrownowe, galerii dzień i noc strzegą strażnicy. Nie było jednak śladów włamania. Potem, proszę pana, podobna historia wydarzyła się w starym rycerskim zamku w Angers. Skradziono obraz Caravaggia¹⁵, zostawiając kopię. Trzecia kradzież nastąpiła w zamku Chambord, gdzie oryginał obrazu Watteau¹⁶ okazał się falsyfikatem. A ostatnio galeria w Zamku Sześciu Dam... Wszystkie te galerie są znakomicie strzeżone. Nigdzie nie odkryto śladów włamania. I za każdym razem to samo: najpierw żądanie okupu, potem mija jakiś czas i stwierdza się zamianę oryginału na falsyfikat. To szatan, nie człowiek. Jak duch, jak widmo przenika

¹⁴ **Hans Memling** (ok. 1440-1494) - jeden z najwybitniejszych malarzy niderlandzkich. Dzieła jego cechuje liryzm, spokój, wytworność. Malował obrazy religijne oraz portrety. Do najbardziej znanych należy ołtarz *Sąd Ostateczny*, znajdujący się w Muzeum Pomorskim w Gdańsku, oraz ołtarze: *Trzech Króli*, *Świętego Jana*, *Świętego Krzysztofa*.

¹⁵ **Michelangelo Merisi da Caravaggio** (1573-1610) - malarz włoski, jeden z głównych przedstawicieli wczesnego baroku. Malował sceny mitologiczne, rodzajowe i dzieła o tematyce religijnej. Do najwybitniejszych należą: *Obrazy z dziejów świętego Mateusza*, *Nawrócenie świętego Pawła*, *Śmierć Marii*, *Bacchus*, *Chłopiec ugryziony przez jaszczurkę*. Malarstwo Caravaggia odznacza się niezwykłym napięciem dramatycznym i siłą wyrazu. W Polsce jego rysunki oglądać można w Muzeum Pomorskim w Gdańsku.

¹⁶ **Jean Antoine Watteau** (1684-1721) - francuski malarz i rysownik. Malował portrety, sceny z życia arystokracji. Przedstawiające pozornie szczęśliwy, bez troski świat, zabarwiał swe dzieła nastrojem melancholii, smutku, subtelnej ironii. Do najbardziej znanych jego obrazów należą: *Gilles*, *Obojętny*, *Odjazd na Cyterę*, *Święto Miłości*.

przez mury, aby porwać oryginał i zawiesić kopię. I choć od momentu, gdy wyznacza okup, czujność strażników jest stokroć większa, potrafi przeniknąć przez ściany i dokonać kradzieży. To niemal geniusz zła, proszę pana! - zawołał z zachwytem pan Gaspard.

Uśmiechnąłem się. Jego zachwyt dla Fantomasa, zachwyt graniczący niemal z uwielbieniem, był dla mnie zrozumiały. Prawdziwi myślicy zawsze z zachwytem i podziwem opowiadali o zwierzyńcu, którą trudno im było upolować. Zresztą, podnosząc niezwykle właściwości naszych przeciwników, tym samym podnosimy i siebie.

Dojeżdżaliśmy do Amboise, dziesięcioletniego miasteczka z potężną twierdzą, wspaniale rysującą się na lewym brzegu Loary. Potężne to zamczysko zbudował Karol VIII, była tu rezydencja króla Ludwika XI. Zdołałem tylko rzucić okiem na groźną sylwetkę zamku, gdy dopędził nas motocyklista w głębokim kasku na głowie.

Wyprzedzając nas, dał znak ręką, abym się zatrzymał.

- Czy monsieur Thomas? - zapytał, nie gasząc silnika.

- Tak - odparłem zdziwiony.

Bez słowa wręczył mi kopertę z listem i nie czekając na pytanie z naszej strony, ostro ruszył z miejsca i zniknął w uliczkach miasteczka.

List, napisany na maszynie, zawierał tylko kilka zdań:

„W związku z misją, jaką ma Pan do spełnienia w Zamku Sześciu Dam, gotów jestem udzielić Panu kilku cennych informacji. Proszę po wyjeździe z Amboise skręcić na drogę nr GC-31. Po kilku kilometrach zobaczy Pan po prawej stronie wzgórze ze zrujnowaną winnicą. Tam będę na Pana czekał. Przyjaciół.”

- Cóż to za list? - zainteresował się pan Pigeon, podejrzliwie ruszając wąsikami.

W tym momencie zauważyłem, że lewy wąsik pana Gasparda dziwnie obsunął się ku dołowi. To mnie tak zdumiało, że aż zaniemówiłem. A on, zaintrygowany moim spojrzeniem, dotknął palcami swoich wąsów, zamrugał powiekami, a potem roześmiał się:

- Odkleił mi się lewy wąs, co? Pan się dziwi, prawda?

To mówiąc sięgnął do kieszeni, wyjął z niej tubkę z klejem i posmarował wąsik, po czym starannie go przykleił.

- Niestety, muszę się zamaskować - stwierdził z westchnieniem i podrapał się za lewym uchem. - Chyba pan nie sądzi, że uwielbiam takie idiotyczne fryzjerskie wąsiki? Noszę je z konieczności. Żeby zmylić Fantomasa.

Śmieszny był ten Pigeon. Czy naprawdę sądził, że przyklejając sobie wąsik, zdoła uśpić czujność Fantomasa?

Długą chwilę przyglądałem mu się z rozbawieniem.

- Co pan tak na mnie patrzy? - zirytował się w końcu. - Czy pan myśli, że czuprynę też mam fałszywą? Otóż tak. Noszę perukę. Czarną perukę. W rzeczywistości jestem blondynem, a nawet albinosem.

Nie wiedziałem: mówi serio czy żartuje?

Sięgnąłem do kieszeni w samochodzie i wyjąłem mapę.

- Skręcimy na drogę numer trzydzieści jeden - poinformowałem Pigeona. - Wyznaczono mi spotkanie w starej winnicy.

- Co takiego? Ależ to jakaś pułapka Fantomasa! - zawołał pan Gaspard. - Chyba nie zamierza pan tam jechać? Niech pan kieruje się wprost do zamku. I proszę pokazać mi ten list.

Posłusznie wręczyłem list Pigeonowi. Tajemniczy „Przyjaciel” nie prosił o dyskrecję. A poza tym, skoro Pigeon siedział w moim wehikule i odbywał ze mną podróż do Zamku Sześciu Dam, siłą rzeczy nie mógłbym się go pozbyć na czas spotkania w starej winnicy.

- Ciekawe! - mruknął po zapoznaniu się z treścią listu. - Może to pułapka ze strony Fantomasa, a może rzeczywiście ktoś chce panu udzielić jakichś ciekawych informacji.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mamy wyboru. Trzeba zaryzykować i jechać na spotkanie. Zapewne opóźni to tro-

chę nasz przyjazd do Zamku Sześciu Dam, ale przecież jesteśmy już niedaleko, za godzinę i tak znajdziemy się w zamku.

Wyjechaliśmy z miasteczka. Znalazłem drogę numer 31 i po chwili jechaliśmy nią, rozglądając się po okolicznych wzgórzach.

Jak już wspominałem, od Blois ciągnie się łańcuch niewysokich pagórków wapiennych, pełnych grot i zagłębień.

Było południe, świeciło słońce. W złotym blasku pławiły się na stokach wzgórz zielone winnice. Tu i ówdzie, na większych stromiznach, rosły prześlizne glicynie, wśród których czerniły się wejścia do grot. Winiarze przechowywali w grotach beczki z winem, a czasem mieli tam również stajnie, chlewnie, nawet izby mieszkalne. Niektóre groty miały drzwi i okna. Tu i ówdzie, ponad szczyty pagórków i okrywającą je zieleń winorośli wystrzelały kominy, z których sączył się dym. Zapewne winiarze gotowali obiad.

- O, to chyba tam - wskazałem palcem wzgórze po prawej ręce.

Najpierw zauważyłem na wpół zrujnowany komin, sterczący ze stoku wzgórza. Na pochyłości krzewy winorośli były rzadsze, zniszczył je zapewne grad albo jakaś choroba. Może zresztą i ziemia była tu bardziej kamienista i jałowa niż gdzie indziej? W pobliżu rozwalonego komina ział czernią otwór wiodący do groty niegdyś chyba użytkowanej, bo zostały jeszcze framugi po drzwiach.

Zatrzymałem wehikuł na skraju drogi. Do groty było chyba ze trzysta metrów wspinaczki po dość dużej pochyłości.

- Pójdzie pan ze mną? - zapytałem pana Gasparda, choć wcale nie pragnąłem jego towarzysztwa.

- Naturalnie. Przecież muszę pana bronić, jeśli to pułapka - odrzekł.

Gdy opuścił wehikuł, zamknąłem drzwiczki i ruszyłem pierwszy, odkrywając wiodącą w górę starą, kamienistą ścieżkę. Idąc rozglądałem się bacznie na wszystkie strony.

Okolica była piękna, ale wydawała się bezлюдna. Było upalnie, a o takiej porze tutejsi mieszkańcy woleli chyba swoje chłodne groty niż spacerować w słońcu. Jedyny odgłos, jaki docierał do mych uszu, to szmer białych wapiennych kamieni pod nogami i głośnie stąpnięcia podkutych butów pana Gasparda, który włożył się o trzy kroki za mną. Od czasu do czasu ocierał chusteczką spocone czoło, co świadczyło, że detektyw nie był wysportowany, a już na pewno nie lubił marszów w ostrym słońcu.

- Może tutaj zaczekamy? - zaproponowałem przed wejściem do mrocznej groty. - Zdaje mi się, że tajemniczy „Przyjaciel” jeszcze nie przybył na spotkanie.

- I nie przybędzie - mruknął pan Pigeon, niespokojnie rozglądając się na wszystkie strony. - Powiadam panu, że to pułapka.

Okolica wyglądała spokojnie, a nawet sielankowo. Przeczyste, błękitne niebo nad głowami i szybujące w górze stado białych gołębi. Niżej głęboka zieleń winnic, a w oddali, pośród wzgórz białe ściany wiejskich domków, zbudowanych z łupku. I cisza. Taka cisza, że aż w uszach dzwoniło. Jakby to leciutkie dzwonięcie wywoływały potoki słońca, spływające na ziemię.

- Tutaj jest za gorąco - stwierdził pan Pigeon, ocierając spocone czoło. - W jaskini będzie chłodniej.

I pomaszerowałem do groty, z której powiało stęchlizną. Poszedłem w ślad za detektywem i znalazłem się w przedsionku ogromnej piwnicy, tonącej w mroku. Ściany były wygładzone ręką ludzką, na ziemi wały się połamane deski i odrobina gnijącej słomy, w której buszowały myszy.

Było tu jednak chłodno i dlatego przyjemnie. Pan Gaspard dostrzegł w kącie próchniejącą beczkę po winie i usiadł na niej okrakiem.

- Zapali pan? - wyciągnął do mnie pudełko gauloisów.

- To bardzo dobre papierosy - rzekłem przyjmując poczęstunek. - U nas w Polsce są o po-

dobnym smaku. Nazywają się extra mocne. Gdy znudzi mi się fajka, zawsze po nie sięgam.

- Tak, tak, gauloisy to znakomite papierosy - stwierdził pan Pigeon.

Ale odniosłem wrażenie, że z wielkim niesmakiem wypuścił z ust dym gauloisa. Czyżby palił jednak inne?

- Och, cóż dałbym teraz za szklaneczkę wina, które było kiedyś w tej beczulce - puknął palcem w klepki rozpadającej się beczulki i mlasnął głośno językiem. - Czy pan wie, jakie wina produkuje się w tych stronach? Już słynny pisarz Rabelais¹⁷, proszę pana, zachwycał się tutejszym wrześniowym moszczem winnym. Wedle podania, sztukę podcinania winorośli, aby wydały lepsze owoce, wprowadzili mnisi z Marmoutier w czasach świętego Marcina. A było to tak: pewnego dnia osły z pastwiska uciekły do winnicy i zżarły liście i pędy wina. Mnisi uznali, że winnica została doszczętnie zniszczona, i pozostawili ją swemu losowi. Jakież jednak było ich zdumienie, gdy w następnym roku winnica ta obrodziła najwspanialszym gronem. I od tego czasu, proszę pana, stosuje się podcinanie młodych winorośli. Najlepsze ich odmiany spotkać można na pagórkach pod Vauvray i Montlouis, noszą one nazwę „pineaux”. Inny zaś gatunek, pochodzący z okolic Bourgueil i Chinon, nazywa się „breton” i znany jest ze specyficznego malinowego aromatu. Dobre, młode wino, proszę pana, które opiewa Anatol France¹⁸ ustami Coignarda, odznacza się piękną barwą, pachnie winoroślą i niegroźne jest w skutkach dla tych, którzy zbyt chętnie spełniają kielichy.

W tym momencie pan Pigeon znowu głośno mlasnął językiem, jakby na nim poczuł aro-

¹⁷ **François Rabelais** (1494-1553) - wybitny pisarz francuskiego renesansu, humanista, lekarz. Autor słynnego dzieła *Gargantua i Pantagruel*, przełożonego na język polski przez Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Charakterystyczna dla twórczości Rabelais'go jest radość życia i specyficzny, rubaszny humor.

¹⁸ **Anatol France**, właśc. Franciszek Thibault (1844-1924) - znakomity pisarz francuski. Jego dzieła cechuje ogromna erudycja, sceptycyzm i pogodna ironia. Najbardziej znane książki: *Tais*, *Zbrodnia Sylwestra Bonnard*, *Gospoda pod królową Gęsią Nóżką*, *Wyspa pingwinów*. Tu mowa o powieści *Poglądy księdza Hieronima Coignarda*.

matyczny malinowy smak wina z okolic Chinon.

- Nie używam alkoholu - powiedziałem.

Pokręcił głową z dezaprobatą:

- Skaut - stwierdził. I dodał: - A „Przyjaciół” jakoś nie przybywa. Może rozejrzemy się po tej pieczarze? - zaproponował drapiąc się za lewym uchem. - Nie zwiedzał pan nigdy takich jaskiń? Podziemne korytarze ciągną się niekiedy setki metrów. Bywają ogromne pieczary pełne beczek.

Zrobił kilka kroków w głąb, ale w mroku potknął się o jakąś deskę i zrezygnował. Bez latarki elektrycznej lub świecy nie można było ryzykować zwiedzania podziemi.

Nagle drgnąłem. Głośny ryk rozdarł ciszę i głośnym echem odbił się w grocie. Po czym powtórzył się kilkakrotnie. Mogłoby się wydawać, że jakiś okropny potwór znalazł się na drodze obok naszego wzgórza i stwierdziwszy, że do jego jaskini przyszli intruzi, wściekłym rykiem usiłował ich stąd wypędzić.

- Co to takiego? - przeraził się pan Pigeon. Wypadliśmy z jaskini w ostre promienie słońca.

- To nic. To tylko mój samochód. Ktoś się do niego dobiega - zawołałem zbiegając po stoku wzgórza. A za mną, śmiesznie podskakując, pędził pan Gaspard.

Szose, która wiała się w dole, zasłaniał mi stromy stok. Swoją wehikulę zobaczyłem dopiero wtedy, gdy znalazłem się w połowie pagórka.

Klakson wciąż wył, a koło samochodu kręciło się dwóch mężczyzn w motocyklowych kaskach. Oczywiście było, że usiłowali otworzyć drzwiczki i zapuścić silnik. Ryk syreny zaskoczył ich, teraz próbowali znaleźć mechanizm sygnalizacyjny i unieruchomić go.

Nagle jeden z nich zauważył mnie, zbiegającego ze wzgórza. Tracił w ramię drugiego złodziejaska i obydwaj błyskawicznie wskoczyli na motocykl, który - dopiero teraz to zauważyłem - stał przed wehikulą. Silnik motocykla przez cały czas pracował na wolnych

obrotach, by w każdej chwili mogli odjechać.

A wehikuł, gdy tylko przestano manipulować przy zamku w drzwiczkach, natychmiast zamilkł. Wóz stał cichy i niemy na szosie, jakby przed chwilą nic się tu nie działo.

„Poczeiwy brzydal” - pomyślałem o nim z uznaniem. A potem z jeszcze większą sympatią wspomniałem mojego wujka Gromiłę, który zbudował ten wehikuł i wyposażył go w najróżniejsze mechanizmy.

Zbiegłem na dół, a za mną, po dłuższej chwili, znalazł się na szosie również pan Gaspard. Biegł wolniej ode mnie, nie mógł więc widzieć motocyklistów, kręcących się koło mojego wozu. Co najwyżej słyszał warkot motocykla, gdy dawali drapaką.

- Co się stało? - zapytał zdyszany i spocony. - Czemu pan leciał jak oszalały? O mało ducha nie wyzionąłem. Myślałem, że stało się coś strasznego.

- Usiłowano ukraść mój samochód - wyjaśniłem.

- Co też pan mówi! Przecież tu nikogo nie ma!

- Dwaj motocykliści. Nie słyszał pan warkotu ich motoru? Uciekli, gdy wehikuł zaczął mnie wołać na pomoc.

Pan Pigeon odetchnął głęboko. Potem starannie otarł chusteczką spocone czoło.

- Czy panu nie jest za gorąco? - zapytał uprzejmie. - Przecież nie będzie pan usiłował mi wmawiać, że to wył pana samochód? Najwyraźniej słyszałem ryk osła.

- To był klakson mojego wehikułu.

- Nie do wiary. Czyżby trzymał pan osła pod maską swojego wozu? Przecież potrafię odróżnić ryk osła od sygnału samochodowego.

- Mój sygnał dźwiękowy może nie brzmi najpiękniej - stwierdziłem - ale za to jest bardzo donośny.

- Rozumiem - pokiwał głową - i gotów jestem w to uwierzyć. Ale chyba nie będzie usiłował mi pan wmówić, że wehikuł wołał pana na pomoc. Różne rzeczy widziałem na tym

świecie i nawet wydaje mi się prawdopodobne, że ktoś trzyma osła pod maską samochodu. Ale żeby jeszcze do tego miał tam czujnego psa, który w krytycznym momencie gryzie osła w ogon i każe mu głośno ryczeć, w to już nie uwierzę, drogi panie.

Wyjąłem z kieszeni scyzoryk, otworzyłem go i podałem panu Pigeonowi.

- Proszę bardzo. Niech pan spróbuje włożyć ostrze w zamek przy drzwiach mego wozu.

- Po co?

- Proszę, sobie wyobrazić, że jest pan złodziejem, który chce ukraść mój samochód.

Detektyw wziął ode mnie scyzoryk i włożył go w zamek. Syrena natychmiast zawyła tak przeraźliwie, że pan Pigeon odskoczył jak oparzony.

- O Boże! Pan mówił prawdę. To jakaś piekielna machina. Można dostać zawału serca, gdy niespodziewanie zawyje.

Nareszcie mogłem sobie powetować jego drwiny z wehikułu.

- Być może mój samochód wydaje się powolny - rzekłem - ale nie można go ukraść. Pańskim wozem jeździ teraz Fantomas, a moim dojedziemy do zamku.

Pan Pigeon stuknął się palcem w czoło.

- No tak, już rozumiem. A więc miałem rację: to była jednak pułapka. Ten list miał nas zwabić do groty, a w tym czasie Fantomas sprzątnąłby pański wóz. Jak to się kiedyś mówiło: zostalibyśmy spieszeni.

Dosyć sceptycznie odniosłem się do tej myśli.

- Idiotyczny pomysł! Do zamku pozostało co najwyżej trzydzieści kilometrów. Uwzględniając fakt, że znajdujemy się we Francji, a nie na pustyni, i tak przed wieczorem byłibyśmy u celu. Zabralibyśmy się stąd autostopem do najbliższego miasteczka, a tam można przecież wynająć taksówkę.

- Ma pan rację - zgodził się Pigeon i podrapał się za lewym uchem. - W takim razie, jak pan sądzi, po co oni skradli mojego humbera i usiłowali to samo zrobić z pana wehikułem?

- Nie wiem - odrzekłem szczerze - lecz myślę, że wkrótce będę wiedział.

ROZDZIAŁ III

• Historia Zamku Sześciu Dam • Panienska o imieniu Yvonne • Dziwna sprawa przerzutki • Tajemnica pracowni barona • Straszliwa dama, czyli o szybkim samochodzie • Siódma dama zamku • O fałszerzach dzieł sztuki i falsyfikatach

Le Château de Six Dames to jeden z dziesiątków zamków, które jak paciorki różańca zdawały się być nanizane na srebrzystą wstęgę Loary i jej dopływów: Cher, Indre i Yienne. Wznosili je butni baronowie i książęta, przeciwstawiający się władzy królewskiej i tworzący na swych terytoriach udzielne państewka. Budowali je też królowie, gdy udawało im się - niekiedy jednak na bardzo krótko - okiełznać możnych wasali. Zamki i otaczające je latyfundia dawały oparcie wszystkim, którzy dumnie i wysoko nosili głowy w rycerskich hełmach.

Dolina Loary to stara i bogata w tradycje historyczne kraina. To właśnie osiadłe tutaj plemię galijskie pierwsze dało znak do powstania przeciw legionom Cezara. Potem bardzo wcześnie, bo już w III wieku, dotarło tu chrześcijaństwo za sprawą legendarnego świętego Gatiena, a później świętego Marcina. Grobowiec tego świętego, znajdujący się w Tours, już w IV wieku uznano za świętość narodową dynastii Merowingów.

Przez blisko dwa wieki najeżdżali na ten kraj barbarzyńcy. Biskup Saint-Aignan zatrzymał Hunów przed Orleanem, a dwieście lat później, w 732 roku Karol Młot udaremnił Saracenom przekroczenie Loary. Po stu latach wdarli się tu Normanowie i zrabowali cały kraj, plądrując również grobowiec świętego Marcina. Dopiero Robert Mocny, hrabia Blois i Tours, położył kres ich napaściom i rabunkowi.

Ale słabość rządów ostatnich Karolingów wzmocniła panów feudalnych. Prowincje nad Loarą - Turenia i Andegawenia - stały się stopniowo udzielnymi państewkami, w których

monarcha francuski niewiele miał do powiedzenia. Była to epoka potężnych baronów posiadających własne wojska, a niekiedy własne mennice. Jak grzyby po deszczu zaczęły się wtedy wznosić na licznych wzgórzach zamki, zameczki i wieże obronne, w których panowie feudalni znajdowali osłonę walcząc przeciw monarsze i przeciw sobie nawzajem, bo nieustannie się swarzyli. Hrabio wie z Blois mieli zaciętych wrogów w hrabiach andegaweńskich, wśród których najslyniejszy był Fulko Nerra. To jemu po pewnym czasie udało się zagarnąć część hrabstwa Blois, a jego syn, tak samo chciwy jak ojciec, Godfryd Młot, osiadł w Vendôme i zagarnął hrabstwo Tours.

Dynastia Plantagenetów wywodziła się od Godfryda Plantageneta, hrabiego Andegawenii. W 1154 roku jeden z władców andegaweńskich zasiadł na tronie angielskim jako Henryk II i rządził państwem, które rozciągało się od północnej Szkocji aż po Pireneje. Ale i na skłóconych ze sobą Plantagenetów przyszedł kres, zostali pokonani przez Kapetyngów. Filip August odebrał Janowi bez Ziemi wszystkie prowincje i kraj nad Loarą wrócił do królestwa francuskiego.

Król Ludwik IX przekazał władzę nad doliną Loary swemu bratu, Karolowi Andegaweńskiemu, lecz książę ów i jego potomkowie zbyt byli zajęci zdobywaniem królestwa Neapolu, aby troszczyć się o swoje dobra. W tradycji historycznej przetrwała dobra pamięć tylko o ostatnim księciu andegaweńskim, miłośniku sztuki, zwanym Dobrym Księciem René.

Minął wreszcie okres wojny stuletniej, kiedy to władcy angielscy z rodu Lancaster, mający wciąż pretensje dynastyczne do ziem francuskich, opanowali prawie połowę kraju. W myśl traktatu zawartego w Troyes królem Anglii i Francji został Henryk VI Lancaster, małoletnie dziecic, a władzę nad Francją powierzono angielskiemu księciu Janowi Bedford. W tym czasie syn francuskiego króla-szałeńca, Karola VI, delfin Karol VII prowadził w Bourges żywot gnuśny, sam powątpiewając o swych prawach do tronu francuskiego.

I wtedy właśnie na arenie historycznej pojawiła się dziewczyna, córka zamożnego chłopa,

Joanna d'Arc. To ona, gdy uwierzono w jej święte posłannictwo, zdołała wzniecić zapal do walki w wojskach Karola VII, a jemu samemu umożliwiła otrzymanie korony francuskiej. Nic więc dziwnego, że po męczeńskiej śmierci Dziewicy Orleańskiej na stosie, Karol VII głosił jej kult i uznał ją za świętą.

Karol VII - podobnie jak inni Walezjusze - upodobał sobie ziemie nad Loarą. To przede wszystkim Walezjuszom zawdzięcza ta kraina swe najpiękniejsze i największe zamki. Ale z upływem czasu zaczął się zmieniać charakter tych budowli. Potężne donżony, wznoszone ongiś przez panów feudalnych z myślą o obronie - przeważnie czworoboczne, a później okrągłe ustąpiły miejsca zamkom z jasnego kamienia lub różowej cegły. Jeszcze później na stylu wznoszonych zamków odbiły się wyraźnie wpływy włoskie - objaw wielkiego zainteresowania Walezjuszy dla Italii.

Z czasem przestano budować zamki na wzgórzach, straciły one bowiem swój charakter obronny. Stawiano je w cienistych dolinach, nad rzekami, w których odbijały się wieże i wieżyczki zamkowe. W XVII i XVIII stuleciu narodziło się pojęcie pałacu-zamku, gdzie możni przebywali wyłącznie dla przyjemności.

Takim właśnie zameczkiem był Le Château de Six Dames, do którego przybyłem z panem Pigeonem. Z pierwotnego obronnego charakteru budowli pozostał tylko potężny donżon, otoczony tarasem z ławkami dla turystów. Wchodziło się na taras przez most zwodzony na kanale połączonym z rzeką. Z tarasu drugi most zwodzony prowadził do upiękzonego wieżyczkami zamku, z dobudowaną do niego dwupoziomową galerią na moście przerzuconym przez rzekę. Otaczał zamek wielki park i dwa wspaniałe ogrody - Katarzyny Medycejskiej i Diany de Poitiers.

Dozorca otworzył bramę parkową i wjechaliśmy w ogromną aleję wysadzaną starymi plantanami. Po pięciuset metrach znaleźliśmy się obok pierwszego ze zwodzonych mostów. W pobliżu znajdował się parking zamkowy i długa wozownia, zamieniona na garaże.

Postawiłem wehikuł na parkingu. Weszliśmy do zamku. Najpierw znaleźliśmy się w wysokiej sieni, z której szeroko otwarte podwójne drzwi prowadziły do ogromnego hallu, gdzie na jednej ścianie znajdował się wielki, rzeźbiony kominek z czarnego marmuru, a przy drugiej były proste marmurowe schody na galerię obiegającą hall na wysokości pierwszego piętra. Okna z kolorowymi witrażami wpuszczały niezbyt wiele światła, dlatego przez cały dzień w hallu paliły się cztery stojące lampy .

W pobliżu kominka zaścierał kamienną podłogę gruby, puszysty dywan. Stało tu kilka głębokich foteli i niski, okrągły stół ze wspianiałym, kutym w żelazie świecznikiem.

Pod schodami kryły się jakieś drzwi. Wyszła z nich niespodziewanie czternastoletnia pаниenka, niezwykle wysoka i przeraźliwie chuda, o długich i bardzo szczupłych nogach, w czerwonym sweterku i czarnej wiatrówce. Na nogach miała białe skarpetki. Jej długie, jasne włosy splecione były w dwa warkocze. Cerę miała bladą, oczy niebieskie, duże.

- Jestem Yvonne - wyciągnęła do mnie rękę. - Czy mam przyjemność poznać Monsieur la Bagnolette?

Nachmurzyłem się.

- Tak mnie nazywają przyjaciele - powiedziałem. - Ale nie lubię swego przezwiska, bo wydaje mi się dziecinne. Na imię mi Tomasz. Chciałbym zobaczyć się z baronem de Saint-Gatien.

- O, stryj zaraz tu przyjdzie. Już go powiadomiono o pańskim przyjeździe - odrzekła niezwykle chuda pannica. - A co się tyczy pańskiego przezwiska, bardzo mi się ono podoba i dziwię się, że pan go nie lubi.

Potem podała rękę panu Pigeonowi.

- To pan jest tym słynnym detektywem Agencji Ubezpieczeniowej? - upewniła się.

- Owszem, mademoiselle - burknął pan Pigeon i podrapał się za lewym uchem. Nigdy chyba poważnie nie traktował takich młodych panienek, a w każdym razie nie bardzo wie-

dział, jak się wobec nich zachować: odnosić się jak do dzieci, czy jak do osób dorosłych.

Tymczasem panienka wzięła stojące na kominku inkrustowane pudełko z cygarami.

- Czy panowie zapalą? - zapytała, grzecznie dygając patyczkowatymi nogami.

- Wolę papierosy - stwierdził pan Gaspard.

- A może po kieliszku sherry? - zaproponowała panienka.

I z ukrytego w ścianie schowka wyjęła tacę z pękatą butelką i kieliszkami.

Pan Gaspard przejął od razu inicjatywę w swoje ręce i zajął się rozlewaniem sherry do kieliszków.

- Przepraszam, ale ja nie piję - zastrzegła się panienka widząc, że pan Gaspard zamierza napełnić również trzeci kieliszek.

Po chwili, przymrużywszy nieco oczy, powtórzyła:

- A więc pan jest detektywem...

- Tak - mlasnął językiem pan Gaspard. - A po czym to poznałaś, drogie dziecko?

- Bo pan ma sztuczne wąsy - wyjaśniła panienka.

- Ach, tak? Znowu się odkleiły - Pigeon dotknął swych nieszczęsnych wąsów i mocniej przycisnął je palcami do miejsca nad górną wargą.

- A czy któryś z panów umie naprawić przerzutkę? - nieoczekiwanie zapytała panienka.

Milczeliśmy, bardzo zaskoczeni.

- Przerzutkę, he? - z roztargnieniem powtórzył pan Gaspard. - A co to jest przerzutka?

- Przerzutkę w rowerze. W moim rowerze - dodała panienka. - Niejeden już usiłował mi pomóc, ale przerzutka jak źle działała, tak i źle działa. Przepraszam, że się panom narzucam, lecz ilekroć ktoś przyjdzie do stryja, odżywa we mnie nadzieja, że może mi zreperuje przerzutkę.

- Nigdy nie widziałem przerzutki - burknął pan Gaspard.

- Nie jeździł pan rowerem? - zdziwiła się panienka.

- Mam humbera - lekceważąco odrzekł pan Gaspard.

- Nienawidzę samochodów - stwierdziła młoda osoba. - Gardzę samochodami. Uznaję tylko rowery. A pan? - zwróciła się nagle do mnie.

Odrzekłem dyplomatycznie:

- Pan Pigeon nie sądzi, abym to, czym jeżdżę, mógł nazwać samochodem. Wygląda to raczej na skrzyżowanie czółna z maszyną do szycia.

- Widziałam to „coś” - roześmiała się panienka. - Oglądałam wasz przyjazd. Czy pan sam budował swój wehikuł? Pan wybaczy mi szczerość, ale mój przyjaciel Robert, gdy pana zobaczył w tym wozie, to powiedział: „Oho, przyjeżdża jeszcze jeden taki, co ma hopla z przerzutką”.

Roześmiałem się. Ale pan Gaspard zrobił obrażoną minę.

- Przepraszam, ale co to znaczy mieć hopla z przerzutką?

- No tak, pan przecież nie wie, co to jest przerzutka - pokiwała głową panienka. - Przerzutka w rowerze, proszę pana, to jest taki mechanizm, który pozwala przesuwać łańcuch z mniejszych na większe kółka i odwrotnie. W ten sposób można jechać szybciej lub wolniej, jednakowo pedałując.

- A mieć hopla z przerzutką? - dopytywał się naburmuszony pan Gaspard i podrapał się za lewym uchem.

- To znaczy być dziwakiem. Takim dziwakiem, którego dziwactwa narastają w zależności od sytuacji - wyjaśniła panienka.

- Ale pani powiedziała, że przyjechał jeszcze jeden z tą... no, przerzutką - zająknął się pan Gaspard. - Czy mnie panienka też miała na myśli?

- Wąsy - powiedziała.

- Co wąsy? - zaniepokoił się pan Gaspard.

- Wąsy się panu odklejają - rzekła panienka.

Pan Gaspard dotknął palcami wąsów, ale stwierdził, że jednak mocno się trzymają.

- Nieprawda. Są dobrze przyklejone - rzekł i zrobił obrażoną minę.

Ta absurdalna rozmowa trwałaby może Bóg wie jak długo, ale po ogromnych schodach wolno zszedł ku nam wysoki, pięćdziesięcioletni mężczyzna. Domyśliłem się, że jest to baron Raoul de Saint-Gatien.

Trzymał się prosto. Twarz miał ogorzałą, śniadą, siwe włosy gładko przyczesane. Zaskakujący był jednak jego strój - baron wyszedł nam na spotkanie w roboczym kombinezonie, poplamionym oliwą.

- Przepraszam za ten ubiór - bąknął - ale przyszedłem tu prosto z pracowni.

Pan Gaspard okazał ciekawość detektywa.

- A nad czym pan pracuje? - zapytał witając barona.

Arystokrata w kombinezonie wyraźnie się zakłopotał. Chrząknął niepewnie:

- Tak jest, w istocie, nad czym ja pracuję? - i wydało mi się, że jego pełne próby spojrzenie spoczęło na panience.

Ta stwierdziła bez wahania:

- Stryj robi złoto.

- Ach, nie, nie - szybko zaprzeczył baron. - Yvonne lubi żartować. Owszem, mam pracownię i robię w niej to i owo, ale przecież nie złoto.

Dziewczynka westchnęła z ubolewaniem.

- Szkoda, że stryj nie próbuje zrobić złota albo nie fałszuje pieniędzy. Tak by się nam przydało trochę tych franków.

- Yvonne, błagam cię, przestań żartować - baron usiłował zdobyć się na surowy ton, ale to mu się nie udało. Ta młoda panienka zdaje się całkowicie władała jego sercem.

W tym momencie głównym wejściem wpadła do hallu pokojówka w papilotach na głowie.

- Boże, na pomoc! - wołała. - Starsza pani się zabije! Ratunku! Ona zginie!

Jak jeden mąż rzuciliśmy się przez główne wejście na zamkowy podjazd. A tam w straszliwym ryku silnika i obłokach spalin miotał się po żwirze podwórca wspaniały samochód - nowy model alpine renault.

Siedziała w nim stara, wysuszona jak mumia kobieta w wielkim kapeluszu na głowie. Kapelusz przypominał klomb różnobarwnych kwiatów. Brakowało tylko wodotrysku, a byłby to już komplet do każdego trawnika przed zamkiem. Stara dama trzymała niedbale w kąciku ust nie zapalonego papierosa, kapelusz miała zawadiacko zsunięty na tył głowy. I jak huzar rozbrykanego rumaka, ujeżdżała alpine renault.

A trzeba wiedzieć, że alpine renault to ostatni krzyk mody samochodowej. Napędzany czterocylindrowym silnikiem o pojemności 1605 centymetrów, osiąga szybkość do 230 kilometrów na godzinę. Jest to potwór o długości czterech metrów, szeroki na półtora. Posiada hamulce tarczowe, pięć zsynchronizowanych biegów i baterię pięciu lamp diodowych.

To ten wóz właśnie miotał się na dziedzińcu ogrodzonym niewysokim murem, za którym dwa metry dalej płynęła rzeka. Przestrzeń dziedzińca była niewielka, lecz staruszka rozpedzała wóz, z przeraźliwym piskiem hamulców zatrzymując go o kilka centymetrów przed murem. Potem cofając wóz do przeciwległego muru i piszcząc hamulcami znów zatrzymała się raptownie, nieledwie trąciwszy mur tylnym zderzakiem. Towarzyszył tym ewolucjom ryk silnika i chmura spalin.

Staruszka zobaczyła nas stojących przed zamkiem. Nasze przerażone miny sprawiły jej wyraźną przyjemność. Uśmiechnęła się do nas, nie wypuszczając z ust nie zapalonego papierosa.

Wreszcie podjechała pod wejście do zamku i zgasila silnik. Energicznym ruchem otworzyła drzwiczki i wysiadła.

- No i co, Raoul? - zwróciła się triumfująco do barona. - Jak ci się podoba mój samo-

chód? Dałam za niego w Paryżu osiem tysięcy franków.

Baron miał zatroskaną minę.

- Czy nie sądzisz, Eveline, że ten wóz jest trochę za szybki?

Dama poprawiła kapelusz na głowie jak rycerz hełm przed walką.

- Caramba, sacrebleu, porca miseria! - w kilku językach zaklęła dama. - W swoim życiu miałam sto czterdzieści pięć kraks samochodowych. Ale niech mnie rower Yvonne przejedzie, jeśli tym wozem spowoduję jakiś wypadek. Daję ci słowo: tym razem żadnych kraks.

Yvonne, widząc przerażoną minę pana Gasparda, oświadczyła z dumą:

- Ciocia rzeczywiście spowodowała sto czterdzieści pięć kraks samochodowych. Dwanaście razy miała odbierane prawo jazdy. Pięć razy leżała w szpitalu. Rozbiła szesnaście własnych i czterdzieści dwa cudze samochody.

- Zgadza się - kiwnęła głową starsza pani. - Ale nigdy nikomu z mojej winy nie spadł włos z głowy. Nie tak, jak ci piraci drogowi! - pogroziła pięścią komuś niewidzialnemu. - Pod Paryżem jakiś pirat tak zaparkował swój wóz, że porysowałam sobie prawy błotnik.

To mówiąc wskazała małe wgniecenie na prawym błotniku przepięknej maszyny.

Wyobraziłem sobie, jak ten wóz będzie wyglądał za tydzień. Chociaż, kto wie? Z ewolucji, które starsza pani wyczyniała na dziedzińcu, wynikało, że jest ona znakomitym kierowcą. Mimo podeszłego wieku miała świetny refleks.

Starsza pani wyjęła z ust papierosa.

- No i co, panowie? Żaden mi ognia nie poda?

Pośpieszyłem z zapalniczką.

Zaciągnęła się mocno, a potem, prześlizgując się wzrokiem po mojej i pana Gasparda twarzy, zapytała:

- No, który z was jest tym sławnym detektywem? Caramba, porca miseria, czas skończyć

z Fantomasem!

Pan Gaspard bardzo nieśmiało wysunął się do przodu. Dama najwidoczniej napelniała go odrobiną lęku.

- Jestem detektywem Agencji Ubezpieczeniowej - przedstawił się. - Nazywam się Gaspard Pigeon.

- A ja jestem Eveline Brion - powiedziała starszka.

- Pani jest żoną tego słynnego bankiera? - z szacunkiem skłonił się pan Gaspard.

- Byłam. Bo on umarł - stwierdziła spokojnie. - I od razu na wstępie pragnęłabym podkreślić, że pozostaję poza kręgiem podejrzeń. To znaczy, nie jestem wmieszana w te wszystkie kradzieże. Przebywam tu tylko czasowo, bo mam własny dom na Riwierze. Z tym zamkiem i galerią nic mnie nie łączy poza tym, że baron jest moim bratem, a to dziecko pogłaskała po głowie Yvonne - jest sierotą po drugim moim bracie i wymaga mojej opieki. Dlatego tu jestem, ale rychło stąd odjadę.

- Hm - z niedowierzaniem chrząknął baron.

Ale tak naprawdę to tylko jedna osoba zdawała się nie odczuwać strachu przed starszą panią: Yvonne. Powiedziała cicho, ale dobitnie:

- Ciocia wydała osiem tysięcy franków na śmierdzącego benzyną grata. A nas nie stać na to, aby kupić nową maszynę do strzyżenia trawników.

- Nie podoba ci się mój alpine? - zafrasowała się ciotka.

- Nie! - szczerze odparła panienka. - Ciocia wie, że ja lubię tylko rowery.

- Yvonne, co z ciebie wyrośnie, skoro ty nie lubisz samochodów? - zmartwiła się starsza pani. - Zgadzam się, oczywiście, że maszyna do strzyżenia trawników jest bardzo potrzebna. Jeśli tak się przy niej upierasz, mogę tę sprawę jutro załatwić. Tylko błagam cię, nie rób mi wyrzutów z powodu tego samochodu.

- Maszyna do strzyżenia trawników jest już zamówiona - odparła panienka. - Za-

dzwoniłam do sklepu w Tours i kazałam ją przysłać.

- Ależ, Yvonne... - zaniepokoił się baron.

- Niech stryj się nie martwi! Obiecali poczekać z zapłatą do końca roku, a sezon turystyczny dopiero się zaczął. A poza tym... - zawahała się na moment, lecz zaraz dodała: - Będę miała własne, nieduże dochody.

- Z jakiego źródła? - zdumiała się starsza pani

- Ciocia wybaczy, ale mam prawo do własnych tajemnic. Zresztą, może uda mi się wpaść na trop Fantomasa? Za wskazanie tego złodziejaszka, jak doniosła dzisiejsza prasa, wyznaczono sto tysięcy franków nagrody.

To mówiąc młoda i, jak zaznaczyłem, bardzo chuda osoba obróciła się na pięcie i weszła do zamku. Reszta towarzystwa ruszyła za nią. W drzwiach na krótką chwilę zatrzymała mnie madame Eveline:

- Skoro tamten pan jest Pigeonem, to pan jest Samochodzikiem - rzekła półgłosem.

- Nie lubię tego przezwiska - odparłem. - Tomasz jestem.

- A ja bardzo lubię samochody i podoba mi się pańskie przezwisko - stanowczo stwierdziła starsza pani. I dodała zniżając głos do szeptu:

- Gdyby pan coś wykrył, Panie Samochodziku, i miał pan dla mnie jakieś bardzo niebezpieczne zadanie, to proszę na mnie liczyć. Chętnie panu pomogę.

W hallu zamkowym Yvonne uprzejmie zwróciła się do pana Gasparda:

- Zapewne pragnie pan przede wszystkim obejrzeć galerię, urządzenia alarmowe oraz obraz, który zamierza skraść Fantomas. Jeśli pan pozwoli, zaprowadzę tam pana.

- A tak, tak. Tak będzie najlepiej - uradował się baron de Saint-Gatien. - Yvonne wprowadzi panów we wszystkie sprawy naszego zamku. Panowie pozwolą, że wrócę do swojej pracowni.

I skłoniwszy się nam grzecznie, zaczął się wspinać po wspaniałych marmurowych

schodach na piętro.

Pigeon trzymał wciąż w ręku swój podróżny, dość duży, ale płaski, prostokątny nesoser. Zwróciła na niego uwagę madame Eveline.

- Yvonne - odezwała się do dziewczynki - może jednak wpierw zaprowadzisz pana Pigeona do jego pokoju, aby mógł tam pozostawić swój nesoser?

- Ach, nie, nie - gorąco zaprotestował detektyw. - W neseserze mam swoje detektywistyczne przyrządy, przeróżne lupy i aparat do kontrolowania urządzeń alarmowych i fotokomórek. Będzie mi potrzebny w galerii.

Odeszli, a ja, ponieważ miałem już dosyć towarzystwa Pigeona, byłem rad, że zajęła się mną madame Eveline.

- Caramba, porca miseria! - powiedziała. - Pan przyjechał tu aż z Polski i przede wszystkim musi pan trochę odpocząć. Zaprowadzę pana do jego pokoju. Galerię i *Plażę* Renoira zdaży pan jeszcze obejrzeć.

Krętymi schodami wspięliśmy się aż na drugie piętro galerii, zbudowanej na moście przegradzającym rzekę. Było to właściwie poddasze z długim korytarzem i mnóstwem drzwi po lewej i prawej stronie. Okna niewielkich gościnnych pokoi wychodziły na rzekę, a ściślej, rzeka przepływała pod oknami.

Pokój przeznaczony dla mnie umeblowany był bardzo skromnie, stał tam nowoczesny tapczanik, dwa foteliki, szafa i biurczko w stylu empire.

Madame Eveline usiadła w fotelu, zdjęła z głowy swój ozdobny kapelusz i zapaliła papierosa.

- Tu, na piętrze mieścił się niegdyś klasztor, proszę pana. Klasztor żeński - dorzuciła. - Myślę jednak, że to nie ma dla pana żadnego znaczenia.

- Słusznie, madame - przytaknąłem.

- Sądzę też, że jako detektyw jest pan człowiekiem inteligentnym - stwierdziła starsza

pani - i nie muszę chyba panu mówić, że choć zamek ten nosi nazwę Sześciu Dam, wkrótce będzie się nazywał Zamkiem Siedmiu Dam.

- Ma pani na myśli Yvonne?

- No, jasne. To ona wszystkim tu rządzi. Próbowałam jej narzucić swoją wolę, ale to sprawa beznadziejna, caramba, porca miseria. Tak się złożyło, że mój brat, baron, jest starym kawalerem, a ja, niestety, nie mam dzieci. Nasz najmłodszy brat, Marcel, zginął wraz ze swą żoną w katastrofie lotniczej i pozostało po nich dwoje dzieci: Vincent i Yvonne. Obydwoje się tu wychowywali. Vincent - westchnęła i machnęła ręką. - Ach, nie chcę nic złego o nim mówić, ale to malarz, proszę pana. Mieszka w małej klitce w Paryżu i choć mu radziłam, aby malował samochody, maluje różne fiu-bździau, których nikt nie rozumie i nie chce kupować. Niech pan sobie wyobrazi, że on zrzekł się tytułu baroneta na rzecz Yvonne i nawet od swojej starej ciotki nie chce przyjąć ani franka. Dziwak, prawda? Całe szczęście, że zainteresowała się nim ta Dunka, panna Karen Petersen. Może ona zrobi z niego człowieka, bo zdaje mi się, że to nad wyraz rozsądna i sympatyczna osóbką.

- Owszem - skinąłem głową.

- Szkoda tylko, że ze swym ojcem wyjechała nad Morze Karaibskie, aby tam szukać skarbów jakiegoś korsarza. Też dziwne zajęcie, prawda?

- Kapitan Petersen dorobił się na tym dużej fortuny.

- Ma pan rację - kiwnęła głową. - Jedyna pociecha, że Karen udało się pana do nas zaprosić. Wiele dobrego mówiła o panu. No cóż, może zdoła pan schwytać Fantomasa?

- Zrobię, co tylko leży w mojej mocy. Ale to nie będzie łatwe. I lękam się, że mogę ponieść klęskę - powiedziałem szczerze.

Jeszcze raz kiwnęła głową, że mnie rozumie, i wstała z fotela.

- Proszę się rozgościć. Nie będę panu dłużej głowy zawracała, bo wkrótce rozlegnie się gong na obiad, a pan jeszcze powinien trochę odpocząć.

Uśmiechnęła się sympatycznie i wyszła z pokoju.

Nie czułem się zmęczony. Schowałem neseser do szafy i podszedłem do okna.

W blasku popołudniowego słońca ujrzałem niebieską, ruchliwą toń rzeki, biegnącą do moich stóp i niknącą gdzieś w dole, pod filarami kamiennych przęsł. Przez niebieskawą wodę prześwitywały żółte, piaszczyste mielizny, soczysta zieleń brzegów zbliżała się do siebie tuż za zakrętem rzeki, horyzont zamykały wysokie drzewa z zamkowego parku, który rozciągał się po obydwu brzegach.

Nie było mi lekko na duszy. Ze słów starej damy wywnioskowałem, że Karen zaprezentowała mnie tutaj jako kogoś niezwykłego, obdarzonego nadzwyczajną przenikliwością i inteligencją, dla kogo wskazanie przestępcy było sprawą codzienną i prostą. A ja nie czułem się kimś takim. Zbyt pochlebny osąd innych krępował mnie, a nawet paraliżował.

Byłem skromnym urzędnikiem w Naczelnym Zarządzie Muzeów. Uważałem się za zupełnie przeciętnego człowieka, choć tak jak są ludzie posiadający zdolności do muzykowania czy malowania, tak ja miałem chyba żyłkę detektywistyczną. Pracując w Ministerstwie Kultury i Sztuki, kilkakrotnie zetknąłem się z przestępcami, którzy kradli antyki, podrabiali je, usiłowali odnaleźć i przywłaszczyć sobie zaginione podczas wojny skarby kultury narodowej. Ale przestępczość w tej dziedzinie nie jest w naszym kraju tak rozpowszechniona jak w krajach zachodnich, we Francji czy we Włoszech. I to wcale nie dlatego, że u nas ludzie są lepsi czy bardziej skłonni szanować zabytki. Po prostu w wyniku wielu wojen, które nie oszczędzały naszego kraju, a szczególnie podczas okupacji hitlerowskiej wiele bezcennych dzieł sztuki zostało u nas zniszczonych, a te, które przetrwały - są strzeżone jak źrenica oka. Na skutek przemian socjalnych nie ma też u nas milionerów gotowych za największą nawet sumę zdobyć i ukryć w swych prywatnych kolekcjach skradzione dzieła sztuki. A i nasi celnicy są na ogół bardzo czujni pod tym względem.

Czy można porównywać nasz kraj na przykład z Włochami, które są jakby jedną wielką

skarbnicą zabytków i najwspanialszych dzieł sztuki? We Włoszech, jak słusznie pisze prasa zachodnia, niekiedy w malutkich prowincjonalnych kościółkach o drzwiach mających prymitywne, staroświeckie zamki, kryją się dzieła największych mistrzów. Jakież to ułatwienie dla złodziei dzieł sztuki!

Obliczono, że corocznie kradnie się i wywozi z Włoch zabytki o wartości ponad pięciu milionów dolarów. Złodzieje za pomocą najbardziej wymyślnych metod wywożą z Włoch skradzione dzieła sztuki do Stanów Zjednoczonych i krajów zachodniej Europy, i sprzedają je bogatym kolekcjonerom. Jakże znikoma jest możliwość ich odzyskania! Zarówno w USA, jak i w większości krajów Europy zachodniej, prawo do zwrotu skradzionego dzieła wygasa po pięciu latach, a nabywca nie podlega karze, jeśli udowodni, że działał w dobrej wierze.

U nas, w Polsce obowiązują inne prawa. Nabywca skradzionych dzieł sztuki również podlega karze. Istnieją u nas katalogi zabytków, więc ludzie kupujący stare dzieła sztuki nie w sklepie „Desy”, lecz u pokątnego handlarza - mogą się poinformować, z jakich źródeł one pochodzą.

Znajdowałem się jednak nie w Polsce, lecz we Francji i musiałem brać pod uwagę tu-tejsze prawa i warunki. Zdawałem sobie sprawę, że mam do czynienia z przestępcami nie tylko sprytnymi, ale zaprawionymi w swym procederze, mającymi do dyspozycji odpowiednie zasoby materialne i nowoczesną technikę. Co pewien czas prasa alarmowała o coraz bezczelniejszych kradzieżach, dokonywanych przez jakiś, prawdopodobnie międzynarodowy, gang złodziei.

Oto mała miejscowość we Włoszech, wioska Pieve di Cadore, gdzie urodził się słynny malarz Tycjan¹⁹. W małym kościółku przez wiele lat turyści podziwiali obraz największego

¹⁹ **Tycjan**, właśc. Tiziano Vecellio (ok. 1488-1576) - malarz wenecki, jeden z najwybitniejszych artystów włoskiego odrodzenia. Twórczość Tycjana była bardzo różnorodna. Malował obrazy religijne (słynny *Grosz czynszowy*), pełne patosu

syna tej wioski. I oto pewnej nocy obraz Tycjana, oceniony na przeszło półtora miliona dolarów, wycięto z ram i skradziono. Nie zauważeni przez nikogo przestępcy wywieźli go ze wsi ciężarówką.

W tydzień później z bazyliki Santi Giovanni e Paolo w Wenecji złodzieje ukradli w nocy pięć tablic ołtarzowych Giovanni Belliniego²⁰ i Antonio Vivariniego²¹, których wartość oceniono na przeszło cztery miliony dolarów. Zaalarmowana opinia społeczna Włoch spowodowała zorganizowanie specjalnej brygady śledczej pod dowództwem pułkownika Mambora, tak zwane comando Mambora. Odzyskano tablice ołtarzowe z bazyliki w Wenecji, wrócił też do małego kościółka obraz Tycjana.

Ale, jak wspomniałem, walkę z przestępcami utrudniają zbyt skąpe środki, jakie państwa kapitalistyczne łożą na ochronę zabytków oraz zbyt łagodne przepisy prawne. I tak na przykład słynna *Madonna z Dzieciątkiem* pędzla Giorgione'a²², zrabowana kiedyś we Florencji, zdobi dziś w Lugano prywatną galerię znanego milionera Thyssena. Dlaczego? Bo upłynął termin, w którym można było rewindykować skradziony obraz.

We Francji również szeroko rozpisywała się prasa o kradzieżach dzieł sztuki w zamkach

sceny monumentalne, akty kobiece, ukazujące piękno ludzkiego ciała (*Wenus z Urbino*). Nawiązywali do niego wybitni malarze XIX wieku, Manet i Renoir. Tycjan uważany jest za mistrza barwy i światła.

²⁰ **Giovani Bellini** (ok. 1430-1416) - słynny malarz okresu renesansu, twórca weneckiej szkoły kolorystycznej. Pochodził ze znanej rodziny malarzy weneckich (syn Jacopa Belliniego). W Polsce obraz Giovanni Belliniego *Madonna z Dzieciątkiem* oglądać można w Muzeum Narodowym w Krakowie (zbiory Czartoryskich).

²¹ **Antonio Vivarini** (1415-1484) - znakomity malarz wsoki okresu renesansu. Wiele obrazów malował wspólnie ze swym bratem Bartolomeo Vivarinim (1432-1499).

²² **Giorgione**, właśc. Giorgio da Castelfranco (ok 1476-1510) - jeden z głównych przedstawicieli renesansowego malarstwa weneckiego. Uczeń Giovanni Belliniego. Wielostronnie uzdolniony, dążył do stworzenia symbiozy malarstwa, muzyki i poezji. Tworzył obrazy religijne i mitologiczne oraz portrety. Najslawniejsze jego obrazy: *Madonna ze świętym Liberiuszem i Franciszkiem*, *Burza*, *Koncert wiejski*. Ostatnim jego dziełem była przypuszczalnie *Wenus odpoczywająca*, ukończona przez Tycjana. Wokół wielu obrazów od lat toczy się spór na temat ich autorstwa, przypisywanego Giorgione'owi lub Tycjanowi.

nad Loarą. Ale, jak można było sądzić, ów nieuchwytny Fantomas nie miał nic wspólnego z przestępstwami dokonywanymi we Włoszech. Tam po prostu kradziono oryginały, wycinano je z ram. Tutaj zaś dokonywano zamiany oryginału na falsyfikat.

Dlaczego? W jaki sposób Fantomas przenikał mury, omijając fotokomórki i pułapki alarmowe w strzeżonych galeriach?

Oto były pytania, które trapiły mnie od pierwszej chwili pobytu w Zamku Sześciu Dam.

ROZDZIAŁ IV

• Kłopoty barona de Saint-Gatien • Czy Fantomas wykona swoją groźbę • Pomysł Filipa i oburzenie Pigeona • Znowu błękitny helikopter • Tajemnica podróżnego nesesera • „Plaża” Renoira • W okradzionej galerii • Oryginał czy falsyfikat • O złodziejach i fałszerzach obrazów słów kilka

Dobiegł mnie dźwięczny głos gongu, wzywającego domowników i gości na obiad. Spojrzałem na zegarek: była godzina siedemnasta. W wielu krajach obiad spożywa się między godziną trzynastą a piętnastą, w Anglii i w wielu zamożnych rodzinach na Zachodzie, wzorując się na modelu angielskim, w południe jada się lunch - bardzo lekki posiłek, a obiad bardzo późno. U nas w Polsce bywa z tą sprawą różnie. Ci, którzy pracują, jadają obiady po skończeniu pracy, więc również około siedemnastej, a zamiast angielskiej przerwy na lunch mają krótką przerwę w pracy na drugie śniadanie.

Myłem ręce w przymocowanej do ściany staroświeckiej umywalce, gdy do mego pokoju zapukała Yvonne. Nie była pewna, czy usłyszałem gong, a jeśli go usłyszałem, to czy zrozumiałem, że jest to zaproszenie na obiad. Jak dobra gospodyni Zamku Sześciu Dam, chciała mnie osobiście zaprosić do jadalni.

- Cieszę się, że przyjął pan zaproszenie stryja i przyjechał pan do naszego zamku - oświadczyła podobnie jak jej ciotka. - *Plaża* Renoira to podobno bardzo cenny obraz. Jeśli ten okropny Fantomas ogłoci naszą galerię z najcenniejszych dzieł sztuki, turyści będą omijać nasz zamek, bo leży na uboczu głównych tras. To zupełnie zrujnuje stryja.

Zadałem pytanie, które zapewne uznacie za niegrzeczne, lecz wydawało mi się niezbędne.

- Sądziłem, że twój stryj, Yvonne, jest bardzo bogatym człowiekiem. Pomijam nawet ten wspaniały zamek z przepięknym parkiem. Ale w jego galerii, o ile mi wiadomo, znajduje się wspaniała kolekcja obrazów impresjonistów. Każde z tych dzieł przedstawia ogromną wartość.

- Ach, więc pan nic nie wie? - zdziwiła się Yvonne. - Zamek jest trochę zadłużony, jego konserwacja pochłania mnóstwo pieniędzy. A galerię w zamku założył nasz dziadek. Był przyjacielem wielu żyjących wówczas malarzy i choć, być może, nie zachwycał się ich obrazami, kupował je, aby im pomóc, bo podobno większość z nich żyła w wielkiej biedzie. W ten sposób powstała galeria. Potem nazwiska tych malarzy nabrały znaczenia, obrazy poszły w cenę. A dziadek, przez pamięć i przyjaźń dla nich, nie zgodził się nigdy sprzedać żadnego obrazu. W testamencie zastrzegł, że stryjowi Raoulowi również nie wolno sprzedać żadnego obrazu z naszej galerii. Tak więc stryj jest właścicielem tego bogactwa, a zarazem nie jest, bo nie może nim dysponować.

- Rozumiem - mruknąłem.

- O, ciotka Eveline, ona jest naprawdę bardzo bogata. Odziedziczyła po swoim mężu, bankierze paryskim, ogromną fortunę. Tylko że stryj nie przyjąłby od niej finansowej pomocy, bo jest bardzo dumny.

- To zdaje się rodzinne - roześmiałem się. - Twój brat, malarz Vincent, też, jak słyszałem, nie chce ani franka od ciotki.

- Mówiła panu o tym? To prawda - kiwnęła głową dziewczynka. - Tacy już są wszyscy Saint-Gatienowie. W każdym bądź razie przydałoby się nam te sto tysięcy dolarów za wskazanie Fantomasa. Jak pan myśli, czy wspólnymi siłami uda nam się go złapać? - to mówiąc łobuzersko mrugnęła do mnie okiem.

Uśmiechnąłem się.

- Mamy konkurenta. Pana Gasparda Pigeona. On też chce zdobyć nagrodę i kupić sobie

domek gdzieś na południu Francji.

Dziewczynka pogardliwie wzruszyła ramionami.

- Nie wierzę w takich detektywów, którzy mają przyklejone wąsy. Ale zejdźmy już na obiad.

W drodze do jadalni zadałem jej jeszcze jedno pytanie:

- Twój stryj wspomniał coś o swej pracowni, a ty stroiłaś sobie na ten temat żarty. Powiedz mi, nad czym pracuje twój stryj?

Roześmiała się cichutko.

- Tego nikt nie wie, proszę pana. Nikt z nas nie był nigdy w jego pracowni. Tylko nasz lokaj, Filip, jest wtajemniczony w sprawy stryja, bo sprząta jego pracownię. Ale od Filipa trudno coś wyciągnąć, służył na tym samym statku co stryj i jest mu bardzo oddany.

Jadalnia znajdowała się na parterze, tuż za hallem. Ściany pokrywała ciemna, dębowa boazeria, sufit też był belkowany i wyłożony drewnem. Jedną ścianę zajmował wielki kredens, tworzący całość z boazerią. Przy drugiej ujrzałem marmurowy kominek ze wspianym lustrem w rokokowej oprawie. W trzeciej ścianie widniały cztery okna, a w wykuszach między nimi stały drewniane ławy, kryte skórą.

Środek jadalni zajmował długi, prostokątny stół, otoczony krzesłami o wysokich oparciach.

Baron przebrał się do obiadu w ciemny garnitur i białą koszulę z czarną muszką. Wyglądał wytwornie, jak prawdziwy arystokrata. Ciotka Eveline zdjęła na szczęście swój ogromny kapelusz, przypominający klomb. W długiej, ciemnej sukni ozdobionej perłami, z siwymi włosami upiętymi w kok wyglądała także bardzo wytwornie. Kto zobaczyłby ją tu po raz pierwszy, aniby pomyślał, że drzemie w niej straszliwy demon samochodowy. Tylko że wciąż, z byle powodu, przeklinała w różnych językach. „Caramba, porca miseria” - słyszało się często podczas tego obiadu.

Przedstawiono mi kustosza, pana Armanda Duranta, rosłego mężczyznę z ogromną czarną brodą, która sprawiała, że wyglądał jak zbój Madej. Ale łagodne spojrzenie niebieskich oczu i cichy głos przeczyły temu wrażeniu.

Do stołu podawała pokojówka, ale już bez papilotów, i lokaj barona, ów Filip, z pochodzenia Hiszpan. Filip służył na okręcie, na którym oficerem był baron, a potem przyjął służbę u barona. Miał chyba z pięćdziesiąt lat, tyle co baron, długie, siwe bokobrody, krzaczaste brwi i nosił coś w rodzaju liberii, która jednak przypominała nieco bosmańską kurtkę ze srebrnymi guzikami i szamerowaniem.

Rozmowę przy obiedzie rozpoczął baron.

- Jak pan ocenia zabezpieczenie galerii? - zapytał pana Pigeona. - Opinia pana jest bardzo ważna, ponieważ od niej zależy wypłata odszkodowania za poprzednio skradziony obraz. Fantomas zagroził kradzieżą *Plaży* Renoira. Nie wiem, czy mogę być spokojny...

Pan Pigeon lekceważąco machnął ręką, uzbrojoną w łyżkę.

- Owszem, ma pan fotokomórki i w ogóle niezły system alarmowy. W oknach są mocne kraty, dwaj strażnicy na przemian czuwają przy drzwiach wejściowych do galerii. Ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Jeśli Fantomas zapowiedział, że ukradnie obraz Renoira, to z pewnością spełni swoją groźbę.

- Jak to? - zdumiał się baron. - A którądy dostanie się do galerii?

- Ba, w tym sęk! - wzruszył ramionami Pigeon. - On umie przenikać mury.

- Caramba, porca miseria! - zagrzmiała ciotka Eveline. - I to mówi pan, detektyw Agencji Ubezpieczeniowej? Kilku takich detektywów i Agencja pójdzie z torbami. Sądziłam, że skoro pan tutaj jest, Fantomas nie ośmieli się ukraść obrazu.

Pan Gaspard odłożył łyżkę.

- Nie jest moim zadaniem pilnować zbiorów barona. Od tego jest on sam, a także płatni strażnicy, jako też patentowy system alarmowy. Ja mam inne obowiązki.

Wszyscy byliśmy ciekawi, jakie to „inne obowiązki” ma detektyw Agencji Ubezpieczeniowej, ale Filip wniósł na tacy ogromny półmisek z kotletami. Półmisek postawił na stole, tuż przed nosem ciotki Eveline i oświadczył:

- Mam myśl, panie baronie. Czy nie należałoby wejść z Fantomasem w jakieś układy?

- Co ty gadasz, Filipie? - zdumiała się ciotka Eveline.

- W istocie, dziwnie mówisz - stwierdził baron.

- Mam na myśli, panie baronie, że Fantomas mógłby kraść obrazy, a nam wypłacano by odszkodowanie. W ten sposób wzmocnilibyśmy się finansowo. Co nie jest bez znaczenia.

- Chi, chi, chi! - zachichotała Yvonne. - Ja o tym od dawna myślałam. Ale nic z tego, kochany Filipie. Na skutek klauzuli w testamencie stryjowi nie wolno sprzedawać obrazów, a tym samym brać do swej kieszeni odszkodowania, stanowiącego równowartość obrazu. Pieniądze wypłacane przez Agencję Ubezpieczeniową należy przekazać do depozytu bankowego. Jeśli Fantomas pozbawi nas jeszcze kilku najwspanialszych arcydzieł z galerii, przestaną tu przyjeżdżać turyści i zrobimy plajtę. Plajtę na całej linii.

Głos zabrał znowu pan Gaspard Pigeon:

- Państwo wybaczą, ale ja, jako detektyw Agencji Ubezpieczeniowej, po prostu nie mogę słuchać podobnych rozmów. To są przestępcze rozmowy. Ostrzegam, że niejedynemu już próbował wyprowadzić w pole naszą Agencję i źle skończył. Ja się do tego przyczyniłem.

- Caramba! Porca miseria! - zawołała ciotka Eveline. - Z Fantomasem proszę się rozprawić, a nie z nami.

Pan Pigeon sięgnął po kotlet.

- Owszem. We właściwym czasie, łaskawa pani.

I aż do końca obiadu nie odezwał się ani słowem.

Po obiedzie wyszliśmy wszyscy na dziedziniec, a potem na taras przy donżonie. Uwagę naszą zwrócił fakt, że pan Pigeon trzymał w ręku swój, dość dużych rozmiarów, neseser.

- Czyżby zamierzał pan nas opuścić? - zainteresował się baron.

- Owszem - skinął głową detektyw. - Opuścę zamek na krótki czas. Ale potem znowu się pojawię.

Pomyśleliśmy, że pan Pigeon, jak każdy wybitny detektyw, jest podobny do kota, który chodzi własnymi drogami.

Było piękne popołudnie. Usiedliśmy na ławkach dla turystów i oglądaliśmy w milczeniu mocną zieleń starych platanów w zamkowym parku. Białe, piaszczyste łachy w srebrzystej toni rzecznej wyglądały jak rybie łuski.

Pan Pigeon wydawał mi się dziwnie roztargniony. Nasłuchiwał czegoś, co chwila spoglądał w niebo i drapał się za lewym uchem.

Nagle powiedział do barona:

- Nie chciałbym, aby pan źle myślał o Fantomasie. Skoro bowiem i tak nie może pan dysponować obrazami wedle swojej woli, Fantomas, kradnąc obrazy, nie czyni panu krzywdy.

- Ależ, drogi panie, co też pan mówi? To oburzające! - rzekł baron. - Fantomas jest zwykłym złodziejaszkiem.

- I weźmiemy za niego sto tysięcy dolarów - z przekonaniem powiedziała Yvonne.

Pigeon uśmiechnął się. Po raz pierwszy zobaczyłem go uśmiechniętego tak szeroko, od ucha do ucha.

- Obawiam się, że to płonne nadzieje - rzekł.

W tym momencie nad drzwiami parku ukazał się błękitny helikopter. Z warkotem motoru przeleciał nad rzeką i znalazł się tuż nad tarasem. Zawisnął nad nim jak potężna wałka, zniżył się tak bardzo, że znalazł się o trzy metry nad ziemią. Przez chwilę obawiałem się, iż lotnik uderzy śmigłami o mury donżonu. Z helikoptera zrzucono drabinę sznurową.

- Adieu! - skłonił się nam pan Gaspard. - Dziękuję za otwarcie przede mną galerii. Dziękuję również za obraz Renoira. Mam nadzieję, że kopia, którą zostawiłem, jest starannie

wykonana.

Pigeon ze zręcznością młodzieńca wskoczył na drabinkę sznurową. Helikopter błyskawicznie wzniósł się do góry, a pan Gaspard, z neserem w lewej ręce, wspiał się do kabiny pilota. Po chwili straciliśmy helikopter z oczu. Zniknął za drzewami parku.

- Caramba, porca miseria! Nic z tego nie rozumiem - zagrzmiała ciotka Eveline.

A mnie mrowie przeszło po karku. Już otwierałem usta, żeby wyjaśnić sytuację, gdy od strony zamku nadbiegł Filip.

- Panie baronie - wołał zdumiony. - Dzwonił pan Gaspard Pigeon, detektyw Agencji Ubezpieczeniowej. Powiedział, że będzie tu za godzinę, bo zatrzymały go w Paryżu nieprzewidziane okoliczności.

Wszyscy milczeli, jakby im coś zasznurowało usta.

- Fantomas - jęknęła wreszcie Yvonne. - Więc to był Fantomas?

Kustosz złapał się za głowę.

- Obraz! On chyba ukradł obraz Renoira!

I jak szalony pobiegł w kierunku zamku i galerii. A my popędziliśmy za nim.

Galeria, jak już wspominałem, zbudowana została przez Katarzynę Medycejską, na kamiennym moście, wzniesionym w latach, kiedy panią w zamku była Diana de Poitiers. Galeria mieściła się w długiej sali o renesansowych oknach, wychodzących na rzekę przepływającą pod łukami mostu.

Galeria miała trzy poziomy. Dolny składał się z czterech ogromnych komnat w amfiladzie. W ostatniej komnacie znajdowały się starannie zamykane odrzwia, którymi można było wyjść na drugi brzeg rzeki.

Wyżej pozostawała tylko długa i szeroka sień, mająca po obydwu stronach okna. To tutaj, na ścianach ojciec barona de Saint-Gatien zawiesił zebrane przez siebie obrazy współczesnych mu malarzy.

Nad galerią, to jest jakby na drugim piętrze, znajdowały się pokoje gościnne, z których jeden przeznaczono dla mnie.

O ile jednak z najniższego poziomu wiodły drzwi na drugą stronę rzeki, to galeria z obrazami nie miała drugiego wyjścia. Na oknach kraty. Dostać się tu można było jedynie z hallu zamkowego, a ściślej po schodach z hallu wchodziło się do małego pokoiku, w którym dniem i nocą czuwał strażnik. Stąd zabezpieczone systemem alarmowym drzwi wiodły do galerii.

Obraz Renoira wisiał tuż przy drzwiach wejściowych, między pierwszym a drugim oknem po prawej stronie. Był to nieduży olejny obrazek o rozmiarach trzydzieści pięć na trzydzieści centymetrów, w prostej, drewnianej ramie. Przedstawiał fragment normandzkiej plaży, jakby wybrany przypadkowo. Jakaś roznegliżowana kobieta na pierwszym planie, inna, uchwycona przez malarza tylko częściowo, w środku wiele „pustego” miejsca, a w głębi kilka dziecięcych postaci. Ta „przypadkowość” ujęcia była dość charakterystyczna dla impresjonistów, a szczególnie wyraz znalazła w słynnym obrazie Degasa²³, na portrecie pana Lepic z córkami. Mnóstwo żółci, ugru, bieli. Zamglone morze o delikatnej, niebieskiej barwie.

- To on! Renoir - wykrztusił kustosz.

Stanęliśmy całą gromadą przed obrazem Renoira i przyglądaliśmy mu się z uwagą.

- Jest pan historykiem sztuki - zwrócił się do mnie baron. - O ile wiem, zajmuje się pan również stwierdzeniem autentyczności obrazów. Czy to falsyfikat?

Pokręciłem przecząco głową.

- Tu potrzebny jest specjalista, znawca impresjonizmu. Nie znam aż tak twórczości Re-

²³ **Edgar Hilaire Degas** (1834-1917) - malarz, grafik i rzeźbiarz francuski. Malował duże kompozycje historyczne, portrety. W późniejszej twórczości, pod wpływem impresjonistów, dążył do uchwycenia przelotnych wrażeń. Najbardziej znane obrazy Degasa: *Absynt*, *Na giełdzie*, *Klasa tańca*, *Tancerka na scenie*, *Czesząca się kobieta*, *Toaleta*, *Kapiel*.

noira, abym mógł się wypowiedzieć, czy mamy przed sobą kopię, czy też autentyk.

- Ba! - dorzucił kustosz, który też był historykiem sztuki. - Niejednokrotnie zdarzają się fałszerstwa obrazów malarzy jeszcze żyjących. I nawet oni sami, ich twórcy, nie zawsze są w stanie stwierdzić, czy przedstawiony im obraz jest robiony ich ręką, czy też go sfalszowano.

Odezwała się ciotka Eveline:

- Caramba, porca miseria, to jak właściwie jest, panie kustoszu? Ten łajdak ukradł *Plażę* i powiesił falsyfikat, czy też mamy w dalszym ciągu autentyczny obraz Renoira?

- Nie wiem, madame - westchnął bezradnie kustosz.

- Bo jeśli mamy autentyk, to nie ma sobie co głowy zawracać - grzmiała dalej ciotka Eveline. - Lecz jeśli to falsyfikat, w takim razie należy dać znać policji i wystąpić o odszkodowanie. Przypuszczam, że i ten obraz był ubezpieczony?

- Na sto tysięcy franków - dorzucił baron, który stał za moimi plecami.

Kustosz, pełen wewnętrznych rozterek, szarpał palcami swoją czarną brodę.

- Na Boga, nie wiem: autentyk to, czy falsyfikat? Wygląda jak autentyk, jak ten sam obraz, który tu wisiał przed godziną. Ale przysiąc bym nie mógł. Po co byłaby ta cała maskarada Fantomasa, gdyby nie zamierzał ukraść oryginału? Tylko kiedy on to zrobił? Przez cały czas towarzyszyła mu Yvonne i ja...

- Nie cały czas - przerwała Yvonne. - Poprosił pana i mnie, abyśmy sprawdzili, jak działa urządzenie alarmowe przy ostatnich oknach galerii. Pamięta pan?

- Tak.

- Pozostawiliśmy go tutaj samego przy tym obrazie i odeszliśmy w drugi kąt galerii.

- No tak... ale... tu był strażnik - zawołał zrozpaczony kustosz.

- Wysłał go do sieni, aby sprawdził, czy słyszy alarm, który my mieliśmy podnieść - przypomniała Yvonne. - Falszywy Pigeon miał wciąż przy sobie nesesor. Mógł szybko wyjąć kopię w takiej samej drewnianej oprawie, zamienić obrazy i z oryginałem w nesesorze

najspokojniej w świecie opuścić galerię.

- Idę dzwonić do policji - zdecydował baron i wyszedł z galerii. A my przystąpiliśmy od odtworzenia sceny, jaka tu mogła się rozegrać, o ile Yvonne dobrze wszystko pamiętała.

Ja otrzymałem za zadanie zdjęcie obrazu, a ciotka Eveline i kustosz poszli w drugi koniec galerii, aby manipulować przy systemie alarmowym.

Galeria miała ponad osiemdziesiąt metrów długości. Gdy znaleźli się w drugim końcu, zasłoniłem sobą obraz Renoira, zdjąłem go, chwilę manipulowałem przy nim udając, że chowam go do nesesera. Następnie obraz powiesiłem z powrotem na ścianie.

- No i co? - zapytałem, gdy powrócili do mnie.

- Owszem, widzieliśmy, jak pan zdejmował obraz - stwierdził kustosz. - Ale specjalnie patrzyliśmy na pana. Natomiast podczas pobytu fałszywego Pigeona byliśmy zajęci urządzeniem alarmowym przy oknie i chyba nie spoglądaliśmy w jego kierunku.

- Tak - potwierdziła Yvonne. - Zresztą, on przez cały czas dotykał obrazów i coś przy nich robił. Poprawiał je, zdejmował z gwoździ i zawieszał na nowo. Myślałam, że to należy do jego obowiązków jako detektywa, który przyjechał tu, aby zabezpieczyć obrazy przed kradzieżą.

Nadszedł baron.

- Rozmawiałem z komisarzem policji w Tours - oświadczył. - Obiecał wkrótce tu przyjechać i zająć się tą sprawą. Ale dla wszczęcia śledztwa potrzebne jest udokumentowanie faktu, że obraz, który tu wisi, jest falsyfikatem. Komisarz musi mieć opinię eksperta.

- Dobrze - skinął głową kustosz. - Jutro rano pojedę z obrazem do Luwru, do pana Cardinala, największego znawcy dzieł Renoira. I może nasz obraz okaże się oryginalny? - dodał z nadzieją w głosie.

Wszyscy jednak w ponurym milczeniu przyjęliśmy jego słowa. Zdaje się, że każdy z nas z góry wiedział, jaką opinię przywiezie z Paryża pan Durant.

Łłodziej, który sam siebie nazywał nieuchwytnym Fantomasem, nie urządzał chyba maskarady dla czczej zabawy, nie udawał Pigeona z przyprawionymi wąsami, aby w Zamku Sześciu Dam obejrzyć nasze twarze i obraz Renoira. Przybył tu w konkretnym celu i nie miał w gruncie rzeczy żadnych trudności, aby swój cel osiągnąć. Wprawdzie kustosz, ciotka Eveline i Yvonne widzieli moje manipulacje z obrazem, więc musieliby zauważyć, że chowam obraz do nesesera i wyjmuję z niego podobny, lecz dokładniej zauważa się pewne czynności, gdy jesteśmy o nich uprzedzeni. Nie, nikt z nas nie łudził się: dokonano sprytnej kradzieży. Fantomas spełnił swą groźbę.

Wiem, drodzy Czytelnicy, jakie pytanie teraz Was nurtuje.

Jak to możliwe, by historyk sztuki, kustosz mający duży zasób wiedzy fachowej i doświadczenie w dziedzinie malarstwa, raptem stracił pewność, czy obraz, który jeszcze wczoraj jako oryginał wisiał w galerii, nie jest dziś tylko kopią, falsyfikatem? I musi go zawozić do starannej, naukowej ekspertyzy?

Zainteresowanych tą sprawą odsyłam do świetnej, wydanej w przekładzie z niemieckiego, książki Franka Arnau, zatytułowanej „*Sztuka fałszerzy, fałszerze sztuki*”. Jest w niej mowa o genialnych fałszerzach i niezliczonej ilości fałszerstw, dokonywanych na dziełach sztuki starożytnej i nowoczesnej.

Ale ponieważ zdaję sobie sprawę, że nie każdy z Was znajdzie możliwość sięgnięcia po tę książkę, opowiem Wam o tym, co w niej wyczytałem, a także dorzucę co nieco z własnego doświadczenia.

Ograniczę się zresztą tylko do malarstwa, bo ono jest tematem tej opowieści.

Obrazy starych i nowych mistrzów osiągają niekiedy na międzynarodowych aukcjach dzieł sztuki ogromne ceny. Dość wymienić, że w roku 1959 za obraz Picassa *Labelie Hollandaise* zapłacono 660 tysięcy marek zachodnioniemieckich, autoportret Cezanne’a przekroczył sumę 350 tysięcy marek, a za Degasa *Trzy tancerki* uzyskano cenę 250 tysięcy marek.

Obrazy starych mistrzów, takich jak Rembrandt²⁴, Vermeer²⁵, El Greco²⁶, Tycjan, Rubens²⁷, mają wartość znacznie większą. Wystarczy powiedzieć, że pod koniec 1970 roku na aukcji u słynnego marszanda Christie w Londynie za obraz Velazqueza²⁸ zapłacono ponad 5 milionów dolarów, a za obraz Tycjana *Śmierć Akteona* uzyskano w 1971 roku ponad 4 miliony dolarów. Nie dziwnym się więc, że chciwym okiem patrzą na dzieła słynnych mistrzów różnego rodzaju przestępcy, że kradną je z galerii prywatnych i państwowych, a potem

²⁴ **Rembrandt**, właśc. Rembrant Harmenszoon van Rijn (1606-1669) - malarz i grafik holenderski, jeden z największych twórców w dziejach sztuki. Najsłynniejsze jego obrazy: *Lekcja anatomii doktora Tulpa*, liczne autoportrety i portrety jego żony Saskii. Ostatnim jego dziełem jest *Powrót syna marnotrawnego* - przejmująca apoteoza bezinteresownej miłości. Muzea polskie posiadają grafiki Rembrandta. W Krakowie, w zbiorach Czartoryskich obejrzeć można *Pejzaż z miłosiernym Samarytaninem*, w Muzeum Narodowym w Warszawie *Portret Maertena Day*.

²⁵ **Vermeer van Delft**, znany także jako Johannes van der Meer (1632-1675) - malarz holenderski. Malował sceny rodzajowe, wnętrza mieszkalne, portrety, pejzaże. Jego twórczość przez długi czas była zapomniana, odkryto ją na nowo w połowie XIX wieku. Znanych jest około 40 jego obrazów. *Widok Delfi* i *Uliczka* zaliczane są do najpiękniejszych w malarstwie holenderskim. Wyrafinowany kolorysta, jeden z prekursorów impresjonizmu.

²⁶ **El Greco**, właśc. Dominikos Theotokopulos (1541-1614) - słynny malarz pochodzenia greckiego, osiadły w Hiszpanii. Uczeń Tycjana, rozwinął jednak własny indywidualny styl, dążąc do uzyskania w obrazach atmosfery mistycyzmu i ekstatycznego wizjonerstwa. Stosował w swych obrazach odmaterializowane postaci o silnie wydłużonych proporcjach i niezwykle efekty świetlne. Nie znalazł uznania za życia, odkryto go dopiero w XIX wieku. Do najsłynniejszych jego obrazów należą: *Portret Giulia Clovio*, *Chrystus na krzyżu*, *Pogrzeb hrabiego Orgaza*, *Obnażenie z szat*.

²⁷ **Peter Paul Rubens** (1557-1640) - malarz flamandzki, jeden z największych artystów baroku. Założył pracownię malarską. Współpracowało z nim wielu słynnych artystów. W jego malarstwie dominowała tematyka religijna i mitologiczna. Urzekąco piękno nagiego ciała, chętnie przedstawiał kobiety o obfitych kształtach (*Sąd Parysa*) i pulchne, roześmiane dzieci (*Helena Fourment z dziećmi*). Malował również pejzaże o bogatym kolorystyce (*Pejzaż z tęczą*). Do najsłynniejszych jego obrazów należą: *Święto Wenus*, *Trzy Gracje*, *Wenus przed lustrem*, tryptyki *Podniesienie krzyża* i *Zdjęcie z krzyża*, *Sąd Ostateczny*, *Pokłon Trzech Króli*. Muzea polskie posiadają kilka rysunków Rubensa i obrazy z jego pracowni.

²⁸ **Diego Velazquez**, właśc. Diego Rodriguez de Silva (1599-1660) - malarz hiszpański, jeden z najwybitniejszych artystów baroku. Malował obrazy o tematyce mitologiczno-rodzajowej (*Triumf Bachusa*, *Kuźnia Wulkana*), portrety królów i dworzan, akty kobiece (*Wenus z lustrem*). Był jednym z najwybitniejszych kolorystów w dziejach malarstwa. W Muzeum Narodowym w Poznaniu znajduje się obraz z kręgu Velazqueza.

sprzedają na innym krańcu świata. Falszerze zaś starają się wszelkimi sposobami podrobić obrazy wielkich malarzy i uzyskać za nie wysoką cenę.

Niekiedy złodziej i falszerz współdziałają z sobą, tak jak to widzimy w naszej opowieści o Fantomasie. W historii sztuki znane są wypadki, że z bogatych galerii wypożyczano bezcenne obrazy wielkich mistrzów w celu dokonania ekspozycji w innej galerii; do macierzystych muzeów wracały, niestety, zamiast oryginałów genialnie wykonane falsyfikaty. Złodziej i falszerz działali tutaj wspólnie.

Ogólnie rzecz biorąc, falszerzy obrazów można podzielić na dwie kategorie. Na takich, którzy tworzą „nowe” dzieła w stylu wybitnych malarzy i potem z wielkim szumem „odnajdują” je przypadkiem, oraz na kopistów, którzy wykonane przez siebie kopie znanych obrazów sprzedają jako oryginały. Pierwszym ułatwia zadanie fakt, że rzeczywiście co jakiś czas tu i ówdzie na strychach kościołów i w starych rupieciarniach odnajduje się zapomniane dzieła wielkich mistrzów. W Polsce nie tak dawno szeroko rozpisywano się o odnalezieniu na strychu starego kościoła obrazu pochodzącego prawdopodobnie z pracowni El Greco, a w innym kościele odkryto obraz przypisywany Cranachowi Młodszemu²⁹.

Do tego rodzaju falszerzy, o wprost genialnych umiejętnościach imitatorskich, należał słynny Holender Jan van Meegeren, który wypuścił w świat kilka „nowych” obrazów znanego malarza Vermeera i nie mniej słynnego Halsa³⁰. Wykonane przez Van Meegerena ob-

²⁹ **Lucas Cranach Starszy** (1472-1553) - malarz i grafik niemiecki. Tworzył liczne malowidła ołtarzowe, obrazy Matki Boskiej i portrety. W Polsce znajduje się kilka obrazów Cranacha Starszego: w Muzeum Narodowym w Warszawie *Adam i Ewa*, *Lukrecja*, *Portret Księżniczki*, w Muzeum w Sandomierzu i w Częstochowie dwa obrazy *Madonny*. Syn Cranacha, Lucas Młodszy, po śmierci ojca prowadził dalej pracownię malarską. Był również bardzo utalentowany. Do najwybitniejszych jego obrazów należy *Kazanie Jana Chrzciela*.

³⁰ **Frans Hals** (ok. 1585-1666), wybitny malarz holenderski pochodzenia flamandzkiego. Zasłynął jako portrecista. Obok Rembrandta i J. Vermeera jest zaliczany do najbardziej indywidualnych malarzy Holandii. Do najwybitniejszych jego obrazów należą: *Przełożeni domu starców w Haarlemie*, *Malle Babe*, *Śmiejący się kawaler*, *Cyganka*.

razy *Uczniowie z Emaus* i *Ostatnia Wieczerza* zostały tak wspaniale podrobione, iż rzekome autorstwo Vermeera nie budziło zastrzeżeń największych ekspertów. Przekonanie o autentyczności tych dzieł było tak wielkie, że Van Meegeren musiał udowodnić swoje fałszerstwo, malując już w więzieniu nowego Vermeera, tym razem obraz zatytułowany *Jezus wśród uczonych w Piśmie*. I mimo iż sąd wydał wyrok w tej sprawie, wielu znawców sztuki upiera się wciąż przy autentyczności wykonanych przez Van Meegerena „Vermeerów”.

Na szczęście takich genialnych fałszerzy, jak Van Meegeren, jest niewielu. Inni popełniają zazwyczaj jakiś błąd, który zostaje wykryty przy naukowo przeprowadzonej ekspertyzie. Ale nie ludźcie się, dobrze wykonanego fałszyfikatu żaden, nawet wybitny znawca nie odróżni od oryginału na pierwszy rzut oka.

Aby sprawdzić autentyczność dzieła sztuki, trzeba je niekiedy poddać bardzo długiej i dokładnej analizie naukowej, prześwietlić promieniami rentgena, dokonać analizy spektralnej, badać skład chemiczny farb użytych do obrazu, podkład; grafolodzy badają dokładnie podpis mistrza, historycy sztuki styl i ruchy pędzla charakterystyczne dla każdego malarza. Lecz mimo tych wszystkich zabiegów nie zawsze udaje się rozproszyć wątpliwości. Do dziś w najznakomitszych galeriach są obrazy, których autorstwa nie da się z całą pewnością ustalić. A co dopiero mówić o zwykłym kustosz gallerii, który dla stwierdzenia autentyczności obrazu ma do dyspozycji co najwyżej lupę lub mikroskop, a dokonanie najprostszej analizy chemicznej budzi w nim lęk przed zniszczeniem lub uszkodzeniem dzieła sztuki.

Drużga kategoria fałszerzy to ci, którzy kopiują już istniejące dzieła sztuki i sprzedają je jako oryginały. I w tej grupie istniało i istnieje wielu wybitnie uzdolnionych fałszerzy. Dlatego co jakiś czas świat historyków sztuki przeżywa sensację: okazuje się, że dwóch wybitnych kolekcjonerów, a niekiedy dwie galerie w różnych krajach posiadają dwa identyczne obrazy tego samego mistrza. Który z nich jest kopią, a który oryginałem?

I znowu rozstrzyga ekspertyza naukowa.

Jest ona najczęściej niezawodna tam, gdzie w grę wchodzi obraz dawnych mistrzów. Były one często malowane na deskach, a trudno podrobić stare drewno, gdyż ma charakterystyczne spękania, spowodowane upływem czasu. Falszerze posługują się więc obrazami mniej znanych malarzy z tej samej epoki, w której żył autor podrabianego przez nich dzieła. Lecz promienie rentgena łatwo wykrywają fałszerstwo. Poza tym dawni malarze używali farb, których skład chemiczny niekiedy bywał ich tajemnicą; analiza chemiczna zdemaskuje fałszerza.

Ale jak rzecz się przedstawia ze współczesnymi malarzami, których obrazy także uzyskują wysokie ceny?

Ile krąży po świecie fałszywych obrazów Van Gogha³¹, Utrilla³², Renoira, Picassa i wielu, wielu innych? Jak je rozpoznać, skoro malarze ci używali farb dostępnych każdemu i dzisiaj, malowali na płótnie lub na papierze dostępnym i dzisiaj? Niekiedy nie na wiele się zdaje analiza rentgenologiczna, analiza farb i podkładu, analiza grafologiczna podpisu mistrza, bo bywało i tak, że na przestrzeni lat mistrz wielokrotnie zmieniał swój podpis. Nawet odwołanie się do samego mistrza (jeśli jeszcze żyje), aby stwierdził, który obraz on namalował, a który jest falsyfikatem, niewiele pomaga. Na procesach o fałszerstwo malarze, których obrazy podrabiano, nie umieli autorytatywnie stwierdzić: ten obraz ja malowałem, a ten

³¹ **Vincent van Gogh** (1853-1890) - słynny malarz holenderski, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli postimpresjonizmu. Początkowo tworzył realistyczne rysunki, akwarele i obrazy o ciemnym kolorycie. Pod wpływem impresjonistów rozjaśnił i wzbogacił paletę barw. Do najbardziej znanych obrazów należą: *Słoneczniki*, *Most w Arles*, *Pokój artysty*, *Arleżjanka*, *Białe róże*, *Milosierny Samarytanin*.

³² **Maurice Utrillo** (1883-1955) - francuski malarz i grafik, syn znanej malarki S. Valadon. Osiągnął własny styl, pełen melancholii i poezji. Początkowo tworzył naiwne, ciemne w kolorycie pejzaże miejskie. Tematem jego dzieł były uliczki Montmartre'u (*Lapin Agile*). Po przejściowych związkach z impresjonizmem w jego obrazach zaczęły dominować tonacje biało-szare. Później wzbogacił paletę, stosował barwy żywe, niekiedy krzykliwe. Malował miejskie widoki, portrety, martwe natury.

jest falsyfikatem. Tak było na procesie słynnej fałszerki Claude Latour, która podrabiała obrazy Utrilla. Sam Utrillo nie mógł z całą pewnością wskazać, które obrazy on malował, a które są sfalszowane. Podobnie malarz Maurice de Vlaminck³³ nie umiał rozstrzygnąć, które z prac sygnowanych jego nazwiskiem są falsyfikatami.

Rzecz jasna, że i w tej dziedzinie naukowa ekspertyza udoskonala wciąż metody i raz po raz demaskuje fałszerzy. Wielkie znaczenie dla odkrycia falsyfikatów ma tak zwana analiza porównawcza, bardzo drobiazgowa i żmudna. Nie zdoła jej dokonać żaden kustosz z prywatnej galerii. W przypadku gdy zrodzą się w nim wątpliwości, musi odwołać się do ekspertów, których zatrudniają ogromne muzea, takie jak na przykład Luwr.

Nie dziwcie się więc, że ani ja, ani kustosz pan Durant nie mogliśmy dać baronowi de Saint-Gatien zdecydowanej odpowiedzi.

³³ **Maurice de Vlaminck** (1876-1958) - malarz i grafik francuski, jeden z przedstawicieli tzw. fowizmu. Tworzył pejzaże (*Czerwone drzewa*, *Krajobraz z Chatou*), martwe natury, kwiaty. Potem odszedł od fowizmu, stosował zwartą i wyważoną kompozycję. Jego pierwsze obrazy odznaczają się bardzo jaskrawymi barwami, później stosował ciemniejszą gamę kolorystyczną.

ROZDZIAŁ V

• Co wiemy o impresjonizmie • Tajemniczy pan François Burges • Domysły w sprawie Fantomasa • Madame Eveline ofiarowuje pomoc • Przybycie detektywa • Kto jest pyszałkiem • Od czego są detektywi • Pigeon składa mi wizytę • Czy baron jest złodziejem • Narada z Yvonne • List od Fantomasa

Czy lubicie współczesne malarstwo? Albo zapytam inaczej: czy przemawia ono do Was, budzi Wasze zainteresowanie?

A może należycie do tej dość licznej rzeszy ludzi, którzy współczesne malarstwo uważają za dziwactwo?

W galerii Zamku Sześciu Dam znajdowały się dzieła sztuki nowożytnej. Najstarsze obrazy pochodziły z końca ubiegłego stulecia, z okresu impresjonizmu. Najmłodsze powstały w latach dwudziestych naszego stulecia. Należały do nich płótna Picassa, Chagalla³⁴, Paula Klee³⁵. Zobaczyłem również kilka wspaniałych płócien Salvadora Dali³⁶.

³⁴ **Marc Chagall** (1887-1985) - współczesny malarz i grafik rosyjski, mieszkający we Francji. Początkowo malował obrazy naiwno-relatywistyczne (*Sabbath*), potem zbliżywszy się do nowych kierunków: symbolizmu, ekspresjonizmu, surrealizmu, rozwinął całkowicie indywidualny styl, tworząc własny, pełen liryzmu świat fantazji, snu i baśni, świat poetyckiej metafory. Do najbardziej charakterystycznych jego obrazów należą: *Ja i wieś*, *Skrzypek*, *Urodziny*, *Rewolucja*, *Król Dawid*.

³⁵ **Paul Klee** (1879-1940) malarz szwajcarski, działał głównie w Niemczech. Podlegał wpływowi kubizmu, dadaizmu, surrealizmu. Twórczość jego, akwarele i rysunki niedużego formatu, cechuje skłonność o groteski, łączenie barw i delikatnej, ruchliwej kreski z symboliką znaczeniową.

³⁶ **Salvador Dali** (1904-1989) - współczesny malarz hiszpański, znany ze swej ekscentryczności. W celu uzyskania atmosfery niezwykłości i grozy wykorzystuje w swych obrazach wizje senne, halucynacje, koszmary, przypadkowe zestawienia realnych przedmiotów. Cechuje go umiejętność łączenia różnych elementów formalnych i wirtuozeria techniczna. Najbardziej znane obrazy: *Płonąca żyrafa*, *Kanibalizm jesieni*, *Krew jest słabsza niż miód*, *Przecucie wojny domowej*.

Nie jestem pewien, czy wszystkie te obrazy obudziłyby w Was zachwyt albo znalazłyby w Waszych oczach uznanie. A jednak setki turystów przybywało do Zamku Sześciu Dam przede wszystkim po to, aby obejrzeć znajdujące się w galerii obrazy. Niektóre z tych płócien, aczkolwiek malowane przez artystów współczesnych, osiągnęłyby zapewne zawrotne sumy na międzynarodowych aukcjach dzieł malarskich.

Dlaczego? Niekiedy mówi się, że zwykły szary człowiek woli oglądać obrazy starych mistrzów, zaś nowoczesne malarstwo wydaje mu się niezrozumiałe.

Czy tak jest naprawdę?

Współczesne malarstwo wymaga od odbiorcy pewnego przygotowania. Zmusza ono również do pracy wyobraźnię, a nie każdemu chce się zdobywać na taki wysiłek. Każdy rozumie, że nawet chodzenie wymaga nauki. Uczyć się trzeba czytać i pisać. Ale wielu ludziom wydaje się, że wystarczy mieć oczy, aby patrzeć. Nieprawda! Patrzenia też trzeba się uczyć, a wówczas łatwiej odbierać i zrozumieć to, co przedstawiają współczesne obrazy.

Osiągnięcia malarskie, których świadkami jesteśmy, nie zrodziły się z niczyjego dziwactwa. Mają swoją historię, wyrastają z tradycji sztuki, są jej twórczą kontynuacją.

Dla przykładu owi impresjoniści, o których już była mowa. Objawili się w 1874 roku, na słynnej wystawie trzydziestu malarzy. Wystawa ta wywołała niemal skandal w Paryżu, a na głowy artystów posypały się dziesiątki złośliwych krytyk. Ale nie zabrakło również gorliwych zwolenników zaprezentowanego na niej malarstwa. Minał czas jakiś i ów nowy nurt w sztuce, który wziął nazwę od francuskiego słowa „impression” - wrażenie, okazał się zwycięski. Dziś obrazy wielkich impresjonistów budzą zainteresowanie ogromnej rzeszy odbiorców sztuki, a ich reprodukcje cieszą się wielką popularnością.

Dlaczego obrazy impresjonistów wywołały oburzenie, niechęć, zjadliwe krytyki?

Do połowy XIX wieku obowiązywał w malarstwie surowy realizm, reprezentowany we

Francji przez takich artystów, jak Courbet³⁷, a w Rosji przez słynnego Riepina³⁸.

Ojciec impresjonizmu, Claude Monet³⁹, rzucił zawołanie, że „należy malować to, co się widzi”.

Jak impresjoniści rozumieli to hasło?

Według nich malarstwo winno utrwaląć subiektywne wrażenia artysty. Malowali rzeczy tak, jak je w danej chwili widzieli. Wyszli ze swoich pracowni. Do lasu, do ogrodu, na plażę, w pole. Mogli tam obserwować zależność zjawisk barwnych od światła i atmosfery. Dziś widok malarza na ulicy czy w parku nie budzi zdziwienia - wówczas jednak było inaczej. Impresjoniści wypowiedzieli walkę ciemnym barwom malarstwa poprzedniego okresu, brązom i szarym zieleniom Courbeta, szarościom i czerniom. Twierdzili, że nie malują przedmiotów dla nich samych, lecz dla ich barw. Byli przekonani, że jedynym źródłem koloru jest światło, a barwy przedmiotów zmieniają się w zależności od kąta padania i siły światła. Miejsce dotychczasowych „wielkich tematów” zajęły pejzaż, martwa natura i stosunkowo rzadziej sceny rodzajowe, portrety. Nazwę „impresjoniści”, ukutą zresztą jako kpinę, zrodził obraz Moneta, zatytułowany *Impresja - wschód słońca*, przedstawiający rybaków nad rzeką i słońce wyłaniające się z porannej mgły.

³⁷ **Jean Desiré Gustave Courbet** (1819-1977) - malarz francuski, jeden z głównych przedstawicieli kierunku realistycznego w sztuce europejskiej XIX wieku. Tematem jego obrazów była praca i los robotnika (*Kamieniarze*, *Śpiąca tkaczka*) oraz sceny z życia małego miasteczka i wsi. Do najbardziej znanych jego obrazów należą: *Kapiące się*, *Pogrzeb w Ornans*, *Dziewczeta nad brzegu Sekwany*. W Polsce jego obrazy oglądać można w zbiorach sztuki na Wawelu i w Muzeum Narodowym w Warszawie.

³⁸ **Ilja Riepin** (1844-1930) - malarz rosyjski, najwybitniejszy przedstawiciel realizmu w sztuce rosyjskiej na przełomie XIX i XX wieku. Do najbardziej znanych jego obrazów należą: *Car Iwan Groźny z synem Iwanem*, *Zaporożcy piszący list do sułtana tureckiego*, *Burlacy na Woldze*. W Polsce obrazy Riepina oglądać można w Muzeum Sztuki w Łodzi.

³⁹ **Claude Monet** (1840-1926) - jeden z twórców impresjonizmu. Malował krótkimi „przecinkami”, zacierającymi kontury przedmiotów. Główne obrazy: *Impresja - wschód słońca*, *Stogi*, *Topole nad brzegiem Epte*, *Katedra w Rouen*, *Nenufary*.

Do najwybitniejszych impresjonistów należeli: Monet, Pissarro⁴⁰, Sisley⁴¹, Renoir, Degas i Cezanne. Wpływ tego kierunku zaznaczył się wyraźnie w ostatnim okresie twórczości wielkiego Maneta⁴². Z impresjonizmu wyrosli też inni znakomici malarze tamtych dni: Gauguin⁴³ i Van Gogh.

A u nas, w Polsce?

Jest oczywiste, że osiągnięcia francuskich impresjonistów nie pozostały bez wpływu na nasze malarstwo. Ale nie przejawiało się to w ślepym naśladownictwie czy bezpośrednim wzorowaniu się na francuskich twórcach. Nasze malarstwo miało swoje tradycje, podobnie jak nasz kraj miał swoją odrębną historię. Francuzi żyli w wolnym kraju, Polska znajdowała się pod trzema zaborami i budzenie uczuć patriotycznych wydawało się pierwszym obowiązkiem artysty. Dlatego na malarstwo polskie XIX wieku tak wielki wpływ miała twórczość Jana Matejki, Józefa Brandta, Artura Grottgera. Ale przecież nie zabrakło i innych. Należał do nich przede wszystkim Aleksander Gierymski, o którym śmiało można powiedzieć, że był na naszym gruncie prekursorem impresjonizmu. Jego programem artystycznym

⁴⁰ **Camille Pissarro** (1839-1903) - francuski malarz i grafik, przedstawiciel impresjonizmu. Malował pejzaże nasycone słonecznym światłem, przepojone nastrojem spokoju i pogody. Tworzył wiejskie scenki rodzajowe (*Zbierające jabłka*), portrety, prace graficzne.

⁴¹ **Alfred Sisley** (1839-1899) - malarz francuski pochodzenia angielskiego, jeden z czołowych przedstawicieli impresjonizmu. Malował pejzaże okolic Paryża i brzegów Sekwany, o charakterystycznym kolorycie (*Powódź w Marly*), przepojone światłem i nastrojem spokoju.

⁴² **Edouard Manet** (1832-1883) - francuski malarz i grafik. W twórczości jego zaznaczył się wpływ malarzy włoskich i hiszpańskich (*Olimpia*, *Śniadanie na trawie*). W ostatniej fazie swej twórczości zbliżył się do impresjonistów. Do najważniejszych dzieł z tego okresu należą: *Barka Moneta*, *Argenteuil*, *Nana*, *Przechadzka*.

⁴³ **Paul Gauguin** (1848-1903) - jeden z największych artystów przełomu XIX i XX wieku. Początkowo ulegał wpływom impresjonistów. Własną koncepcję artystyczną znalazł w kontakcie z pierwotną, nieskażoną przez cywilizację naturą. Przebywał w Bretanii (*Wieśniaczki bretońskie*, *Żółty Chrystus*), a potem na Thaiti, gdzie powstały najwybitniejsze jego dzieła: *Pozdrawiamy Ciebie*, *Kobieta z gardenią*, *Targ*, *Never more*, *Jeźdźcy na brzegu morza*.

wprawdzie był realizm, ale to on wyszedł z pracowni i dał światu obrazy przedstawiające niepowtarzalne piękno polskiego pejzażu. Takie było, na przykład, jego *Polowanie*. Dążąc do przedstawienia pełnej prawdy w sztuce, zdawał sobie sprawę z konieczności odświeżania malarskiego języka, bacznie i wrażliwie przedstawiał zmienność natury; u nas nikt przed nim tak odważnie nie stosował kolorów, nikt tak bardzo nie wgłębiał się w grę światła.

Dopiero jednak Władysław Podkowiński, a później Józef Pankiewicz byli w Polsce świadomymi propagatorami haseł impresjonizmu. Pod wpływem impresjonizmu pozostawał również popularny w Polsce malarz Leon Wyczółkowski, znakomity pejzażysta. Hasła impresjonistów francuskich potrafił on przetworzyć, znajdując własną, oryginalną drogę malarstwa. Do kręgu tych malarzy zaliczyć trzeba także Juliana Fałata, który zasłynął dzięki swym pejzażom. Nikt piękniej od niego nie umiał przedstawić uroków naszej zimy, ośnieżonych drzew, głębokich zasp, oblodzonych strumieni.

Zwiedzając galerię w Zamku Sześciu Dam i zachwycając się obrazami francuskich impresjonistów, powracałem myślą do naszych galerii i pocieszałem się, że choć nie ma w naszych muzeach obrazów Renoira, Van Gogha czy Cezanne'a, to przecież zwiedzający obcują z wielką, naprawdę wzruszającą sztuką Gierymskiego, Wyczółkowskiego, Podkowińskiego, Fałata.

Ale do Zamku Sześciu Dam nie przyjechałem, aby godzinami sterczeć w galerii i zachwycać się zgromadzonymi tam dziełami sztuki. Baron de Saint-Gatien, madame Eveline, mała Yvonne wierzyli, że pomogę im w walce z bezwzględny i nieuchwytny złodziejem obrazów. Nie mogłem zawieść ich zaufania.

Należało zacząć działać.

Opuściłem więc galerię i minąwszy pokój strażnika, znalazłem się w hallu zamkowym, gdzie natknąłem się na barona.

- Chciałbym panu zadać pytanie - zagadnąłem go. - Odpowiedź na nie może okazać się

bardzo ważna.

- Słucham pana - odparł baron.

- Czy pamięta pan kogoś, kto chciał od pana nabyć obrazy z pańskiej galerii? A szczególnie obrazy Cezanne'a i Renoira?

Baron zastanowił się.

- Wielu marchandów zapytywało mnie, czy nie zechciałbym sprzedać obrazów ze swojej galerii. Szczególnie wielu chętnych pojawiło się, gdy rozeszła się wieść, że nie najlepiej mi się wiedzie. Mało kto orientuje się w klauzuli testamentu, jaki pozostawił mój ojciec, to znaczy, że nie wolno mi pozbywać się tych obrazów. Oczywiście, w tej sytuacji musiałem dawać odpowiedź odmowną.

- Kim byli ci ludzie?

- Przeważnie handlarze dzieł sztuki z Paryża, Londynu i Nowego Jorku.

- Powiedział pan: przeważnie. Kim byli inni?

- Trudno mi pamiętać ich nazwiska - odparł baron.

- A czy nie było kogoś bardziej natarczywego? Nazwisko takiego człowieka utrwała się w pamięci.

Baron przecząco pokręcił głową.

- Nie, nie pamiętam... Aha... - nagle coś sobie przypomniał - otrzymałem przed pół rokiem list od jakiegoś pana François Burges, podobno bardzo bogatego człowieka. Zapytywał mnie w liście, czy nie zechciałbym sprzedać kilku obrazów ze swej kolekcji. No tak - spojrział na mnie z zainteresowaniem - między innymi wymienił obrazy Cezanne'a i Renoira.

- Czy ma pan ten list?

- Nie kolekcjonuję takich listów. Czy sądzi pan, że to jakiś trop w tej sprawie?

- François Burges - powtórzyłem to nazwisko, aby utrwalić je w pamięci. - No cóż. Dziękuję panu za informacje.

Wyszedłem na podwórzec zamkowy i spotkałem madame Eveline, grzebiącą pod maską swego wspaniałego alpine renault.

- Łaskawa pani zaofiarowała mi swoją pomoc - przypomniałem jej.

- A tak, caramba, porca miseria! - wyjęła głowę spod maski samochodu. - Czy ma pan dla mnie jakieś zadanie?

Zaproponowałem jej spacer po parku.

Zapadał już zmrok. Usiedliśmy na ławeczce nad rzeką, z której powoli znikwały refleksy zachodzącego słońca. A wraz z nadejściem nocy zerwał się lekki wiaterek i zaszumiały potężne, stare drzewa w parku.

Gładka powierzchnia rzeki nagle zmarszczyła się, jak uśmiechająca się twarz.

- Chciałbym, aby pojechała pani do Paryża - powiedziałem - i zasięgnęła języka o człowieku nazwiskiem François Burges.

- Kto to jest?

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że interesował się kupnem obrazów z galerii barona, podobno bardzo bogaty człowiek. Myślę, że skoro interesuje się malarstwem, to chyba coś o nim słyszał pani bratanek Vincent.

- Sądzi pan, że to ten człowiek jest złodziejem obrazów?

- Ach, nie. Ale nie jest wykluczone, że ów Fantomas kradnie obrazy dla kogoś.

- Dlaczego tak pan myśli?

- Obrazy Cezanne'a i Renoira są skatalogowane. Niemal każdy obraz wybitniejszego twórcy ma swój, że tak się wyrażę „rodowód”, swoją „metrykę”. I równie jak trudno go ukraść, tak i trudno go sprzedać.

- A może ów Fantomas kradnie dla siebie? Może to jakiś zwariowany kolekcjoner?

- Wątpię. Wszystko wskazuje na to, że mamy do czynienia nie z amatorem, lecz z zawodowcem. A w takim razie on kradnie na czyjeś polecenie albo dla konkretnego nabywcy, z

którym jest umówiony. Większość skradzionych w Europie dzieł sztuki trafia do Ameryki Południowej, gdzie nabywają je różni tamtejsi dyktatorzy i milionerzy. W swych niedostępnych rezydencjach mogą spokojnie je gromadzić nie lękając się, że ktoś trafi na ich ślad.

- I tak jest z naszą sprawą?

- Nie wiem. Ale wydaje mi się, że Fantomas to zawodowy złodziej. I do tego niezwykle sprytny.

- Dobrze - zgodziła się madame Eveline. - Jutro rano pojedę do Paryża i przez Vincenta i paryskich marchandów dowiem się, kim jest osobnik o nazwisku Burges.

Wracaliśmy do zamku główną aleją. Minał nas duży czarny humber. Przebył obydwie mosty zwodzone i zatrzymał się przed głównym wejściem.

- Pan Gaspard Pigeon - domyśliła się madame Eveline.

Przyśpieszyliśmy kroku, tak ciekawiła nas ta osobistość. Poznaliśmy fałszywego Pigeona. Jak wygląda ten prawdziwy? Czy jest podobny do fałszywego?

Gdy weszliśmy do zamku, Pigeon siedział już w hallu. Na spotkanie i nim przybyli baron i Yvonne. Detektyw otrzymał od nich relację o tym, co się wydarzyło, lecz jeszcze nie wyraził swojego zdania na ten temat.

- Tylko trochę przypomina pan Fantomasa - stwierdziła Yvonne.

A ciotka Eveline huknęła głośno:

- Caramba, porca miseria, Fantomas był jakby trochę przystojniejszy od pana. I bardziej przypominał detektywa.

Te opinie chyba dotknęły Pigeona. Zapalił gauloisa i stwierdził z przekąsem:

- Fantomas? Państwo wybaczą, ale z osobnikiem o tym nazwisku zetknąłem się tylko w kinie.

- Jak to? - oburzyła się Yvonne. - Więc to nieprawda, że za schwytanie Fantomasa Agencja Ubezpieczeniowa wyznaczyła nagrodę w wysokości stu tysięcy franków?

- Owszem - skinął głową Pigeon - wyznaczono taką nagrodę za schwytanie złodzieja obrazów. Albo - dodał po chwili ze złośliwym uśmiechem - za wyjaśnienie zagadki, dotyczącej owego hokus-pokus z zamianą obrazów prawdziwych na fałszywe.

- Co pan przez to rozumie? - zapytał baron, zmarszczywszy brwi.

Pigeon podniósł się z fotela i powiedział dumnie, odrzucając głowę do tyłu:

- Proszę państwa. Nie przyjechałem tutaj, aby zajmować się jakimś tam Fantomasem. Od chwytania przestępców jest policja. Agencja Ubezpieczeniowa płaci pensję detektywom po to, aby wyjaśniali prawdę o kradzieżach oraz znajdowali powody do niewypłacenia odszkodowań.

Zapadło ponure milczenie. Chyba wszyscy zgodnie doszliśmy do wniosku, że tamten Pigeon był sympatyczniejszy od tego, który stał teraz przed nami. Tamten był wspaniały ze swoją ideą walki z Fantomasem, ten zaś okazał się małym człowieczkiem, któremu Agencja kazała szukać kruczków do niewypłacenia odszkodowań.

Tamten Pigeon był nieco wyższy i chyba znacznie młodszy. Albo, wyrażając się ściślej, był młodszy, tylko ucharakteryzowany na starszego. Ten drugi miał oczywiście prawdziwe wąsiki i więcej siwizny w czarnej czuprynie. Tamten był trochę śmieszny, ten wydawał się niebezpieczny poprzez wyraz nieustannej czujności i podejrzliwości, który malował się w jego oczach.

Obydwaj mieli identyczne nesesery podróżne.

Postawa detektywa poirytowała madame Eveline.

- Zacznijmy od tego, caramba, porca miseria - zawołała głośno - że w pewnym sensie to pan ponosi odpowiedzialność za drugą kradzież w galerii. Agencja Ubezpieczeniowa zakomunikowała nam telefonicznie, że przybędzie pan do nas w celu wyjaśnienia zagadki kradzieży pierwszego obrazu oraz w sprawie zabezpieczenia przed kradzieżą obrazu Renoira.

- No i co z tego? - Pigeon ujął się pod boki. - Oto jestem.

- Po fackie, drogi panie - machnął ręką baron - jest pan jak musztarda po obiedzie. Zamiast pana przybył tu inny Pigeon i skradł obraz.

- To pan go przywiózł z Paryża - detektyw oskarżycielskim gestem skierował w moją stronę swój duży palec prawej ręki - to jakaś z góry ukartowana historia. W Hotel du Nord, gdzie zamieszkałem po przybyciu z Anglii, uspioło mnie jakimiś środkami nasennymi. Spałem prawie do wieczora.

- A więc nie ukradziono panu samochodu? - zdumiałem się.

- Nie. Mój humber stał przed hotelem na parkingu. Jeszcze się nie zdarzyło, aby ktoś ukradł Pigeonowi samochód - dodał zarozumiale.

Wzruszyłem ramionami. Zbędne były wszelkie wyjaśnienia. Gdy prawdziwy Pigeon spał w swoim pokoju, Fantomas, czy jak się tam zwał naprawdę, opowiedział mi bajeczkę o skradzionym humberze. Nikt fałszywego Pigeona nie legitymował. Ja sądziłem, że mieszkańcy zamku go znają, oni zaś przypuszczali, że skoro go przywiozłem, to pewnie go już zdążyłem poznać. A w ogóle komu by przyszło na myśl, że to nieprawdziwy Pigeon?

- Znał mnóstwo szczegółów z pańskiego życia - rzuciłem tylko. - Mówił, że w Londynie zajmował się pan sprawą kradzieży klejnotów lady Pembroke.

- To prawda - wykrzyknął Pigeon. - A jak wyglądał?

- Był niezbyt wysoki - stwierdziłem.

- Tak jak i ja - kiwnął głową.

- Miał wąsiki...

- Tak jak i ja.

- Nosił neseser...

- Tak jak i ja.

- Mówił, że zamierza kupić sobie domek na południu Francji.

- Tak jak i ja - zdumiał się Pigeon.

- Znał się na winach...
- Tak jak i ja - pokiwał głową.

A mnie przypomniała się zabawa z dzieciństwa, gdy to koledze kazało się powtarzać: „Tak jak i ja”.

- Był szpakowatym brunetem - rzuciłem.

- Tak jak i ja.

- Mówił, że lękają się go wszyscy przestępcy, którzy próbują wykorzystać Agencję Ubezpieczeniową.

- Tak jak i mnie - zgodził się Pigeon.

- Palił gauloisy.

- Tak jak i ja.

- Był pyszałkiem.

- Tak jak i ja - rzekł.

Ale zaraz połapał się, że palnął głupstwo. Zerknął na mnie z wściekłością i wrzasnął:

- To jest: nie tak jak ja! Należę do ludzi skromnych. I właśnie dlatego państwo powinni byli poznać, że mają do czynienia z fałszywym Pigeonem.

Madame Eveline nie wytrzymała. Machnęła ręką.

- Caramba, porca miseria, pan też jest pyszałkiem.

I ostentacyjnie opuściła hall zamkowy.

Rozmowa z Pigeonem toczyła się czas jakiś, ale powoli wszyscy traciliśmy zainteresowanie dla detektywa. W końcu zajęła się nim tylko Yvonne, kazała mu podać kolację i zaprowadziła do pokoju. Ona również obiecała pokazać mu galerię i obraz Renoira, który prawdopodobnie był kopią.

Poszedłem do swego pokoju. Czuję się zmęczony po tym pełnym wrażeń dniu. Była już noc i chciało mi się spać.

Ale nie dane mi było szybko zasnąć. Po jakimś czasie zapukał do mnie pan Gaspard Pigeon.

- Pan nie śpi, prawda? - stwierdził, gdy otworzyłem mu drzwi. A byłem już w piżamie. Gdyby miał odrobinę taktu, powinien był zrezygnować z wizyty.

Wpakował się jednak do mego pokoju. Rozsiadł się na krześle, zapalił papierosa. Oczywiście gauloisa, jak Fantomas. A raczej to Fantomas palił gauloisy jak prawdziwy Pigeon.

- Madame Eveline - oświadczył, wydmuchując piękne kółka dymu - powiedziała mi, kim pan jest.

- Ach, tak - mruknąłem, choć nie bardzo wiedziałem, co mogła mu powiedzieć ciotka Eveline.

- Jest pan specjalistą od kradzieży dzieł sztuki. Przyjechał pan ze Wschodu, z Polski. Bardzo mi miło, panie kolego po fachu.

Ale mówił to wszystko takim tonem, jakby mnie demaskował: „Wiem o panu wszystko, pan jest złoczyńcą, aresztuję pana”.

- Sprowadziła tu pana z Polski panna Karen Petersen, narzeczona bratanka barona, tego młodego, zwariowanego malarza Vincenta. Słyszałem, że na Wschodzie są dobrzy fachowcy - nowe kółko dymu popłynęło w górę - oczywiście nie tak dobrzy jak u nas. No cóż, mimo wszystko wezmę pana do współpracy. Jeśli uda nam się schwytać złoczyńcę, dam panu jedną trzecią nagrody. Zgoda?

- Nie - odparłem.

- Za mało? - zdumiał się. - Chce pan połowę nagrody? Niech pan weźmie pod uwagę, ilu rzezimieszków wpakowałem za kratki, a pan, panie kolego?

- Też było ich niemało.

Westchnął ciężko.

- No, dobrze. Niech będzie połowa.

- Nie.

- Za mało?

- Nie, panie kolego - odparłem - rzecz w tym, że ja tu będę pracował za darmo.

- Jak to: za darmo? - tym razem kółko z dymu mu się nie udało. Wydmuchnął tylko bezkształtny obłoczek. - Nie chce pan chyba powiedzieć, że za swoją pracę nie weźmie pan pieniędzy?

- To właśnie chciałem powiedzieć. Przybyłem tu, można rzec, turystycznie, wypoczynkowo. Rzecz jasna, zajmę się kradzieżą w zamku, ale zrobię to przez sympatię dla panny Karen. To moja dobra znajoma.

- Aha, rozumiem - kiwnął głową. - Ale będzie pan miał nie lada kłopot.

- Z czym? - zapytałem.

- Z własnym sumieniem. Ona sprowadziła pana na swoje nieszczęście. Oczywiście, jeśli pan jest człowiekiem uczciwym...

Żachnąłem się.

- Nie ma pan podstaw, aby o tym wątpić.

- Nie wątpię - odparł. - Może nie jest pan najlepszym fachowcem, ale z gęby panu patrzy bardzo uczciwie. Sprawa jednak w tym, że jak się już pan domyślił, w historię z kradzieżą wplątany jest również narzeczony panny Karen.

- Nie domyśliłem się tego - wzruszyłem ramionami.

- A więc mam rację. Nie jest pan najlepszym fachowcem.

- Pan wybaczy, lecz nie rozumiem...

Wypuścił piękne kółko dymu.

- Czy zna pan przysłowie: „Najciemniej jest zawsze pod latarnią”?

- Owszem.

- A inne powiedzonko: „Ten jest winien, kto ma z tego korzyść”?

- To łacińskie przysłowie.

- Tak. Obydwa tyczą naszej sprawy, panie kolego. My, fachowcy z branży ubezpieczeń dobrze wiemy, że wielu ludzi ubezpiecza siebie i swoje rzeczy tylko w tym celu, aby potem, w sposób podstępny, wyłudzić odszkodowanie. Baron de Saint-Gatien, choć posiada przepiękny zamek i wspaniałą galerię obrazów, jest w gruncie rzeczy biedny jak mysz kościelna. Ma te obrazy, ale jakby ich nie miał. Nie dziwię się, że takiemu człowiekowi może po jakimś czasie przyjść do głowy myśl, aby uszczknąć coś z bogactw, które nominalnie należą do niego. Cóż prostszego, jak sfingować kradzież obrazów z własnej galerii, obrazy te sprzedać i jeszcze podjąć odszkodowanie? Tym bardziej, gdy się ma bratanka malarza. Nie wiem, czy panu wiadomo, że Vincent robi znakomite kopie.

- Pan sugeruje... - oburzyłem się.

- Nic nie sugeruję. To jedna z moich roboczych hipotez. I w tym kierunku pójdzie moje śledztwo. Nie wypłacimy odszkodowania, zanim nie upewnimy się, że sprawcą kradzieży nie jest baron.

- Pan sugeruje, że on jest Fantomasem? - zdziwiłem się.

- Ach, cóż to za brednie - z niesmakiem odparł Pigeon. - Pan naprawdę uwierzył, że istnieje jakiś Fantomas? Ależ to postać literacka, panie kolego.

Wzruszyłem ramionami.

- O ile wiem, kradzieże obrazów nastąpiły również, choć nieco wcześniej, w kilku innych tutejszych zamkach. Przypisuje je pan baronowi?

- Nie. Tamte kradzieże to było co innego. Sprawcy wprawdzie nie schwytano, ale wydaje mi się, że dopiero na wieść o tamtych kradzieżach baronowi przyszła do głowy myśl, aby zabawić się w Fantomasa i okraść własną galerię na rachunek tamtych osobników czy też osobnika.

Znowu wzruszyłem ramionami.

- No cóż, hipoteza bardzo interesująca. Życzę panu powodzenia.

- Nie będzie pan ze mną współpracował?

- Nie.

- Dlaczego?

- Lubię działać na własną rękę.

- Rozumiem. A może ma pan jakąś własną hipotezę? Proszę być ze mną szczery. Ja otwarcie przedstawiłem panu swoje stanowisko.

- Na razie nie mam żadnej hipotezy - odparłem. - Muszę najpierw nieco głębiej wniknąć w sytuację, a przede wszystkim chcę poznać okoliczności kradzieży w innych zamkach.

Zgasił papierosa. Wstał.

- Czy mogę mieć nadzieję, że jeśli trafi pan na jakiś interesujący ślad, powiadomi mnie pan o tym? Przecież panu nie zależy na nagrodzie.

- Poinformuję pana. Ale wątpię, czy zechce pan skorzystać z moich rad i wskazówek.

- A dlaczego to?

- Bo już na samym początku odniósł się pan lekceważąco do moich słów. Ja, panie kolego, naprawdę wierzę, że za tą kradzieżą kryje się ktoś, kto sobie przybrał przydomek Fantomas.

- Fantomas? - roześmiał się Pigeon. - O Boże, Fantomas przenikający przez mury i kraty. Nie, to śmieszne - i chichocząc wyszedł z mojego pokoju.

Ale po sekundzie powrócił.

- Mam nadzieję, że to, co panu powiedziałem - rzekł - pozostanie między nami? Wyjawiłem panu przecież tylko jedną z moich hipotez. Lecz mam również inne. Być może wybiorę się z panem do któregoś z poprzednio okradzionych zamków.

Wyszedł, ale znowu powrócił.

- Przepraszam pana, zapomniałem o najważniejszym. Czy mógłby mi pan powiedzieć, co się w Polsce najczęściej jada na obiad? Bardzo lubię dobrze zjeść - wyjaśnił. - A pan?

- Ja również - odparłem.

- To dobrze - ucieszył się. - Mój ojciec zawsze do mnie mawiał: „Gaspard, bądź ostrożny wobec ludzi, którzy jedzą byle jak i byle co.” Więc co się w Polsce jada na obiad?

- Zupę pomidorową i kotlet schabowy.

- Ach, tak? - zamyślił się, a może pobudzał swoją kulinarną wyobraźnię. - Nie nazbyt przepadam za wieprzowiną. Drób, proszę pana. Drób jest najsmaczniejszy.

I wyszedł, tym razem ostatecznie.

Ale jak już wspomniałem, nie dane mi było tej nocy wcześniej zasnąć. Gdy tylko położyłem się do łóżka, znowu ktoś zapukał do drzwi. Yvonne.

Weszła cichutko na palcach, jakby miała mi zawierzyć jakąś wielką tajemnicę.

- Był tu u pana ten detektyw od siedmiu boleści - stwierdziła. - Czy pan wie, że on podejrzewa mojego stryja?

- Tak - kiwnąłem głową.

- To oburzające. Mam ochotę podać mu truciznę.

- Najlepiej w pieczonej kaczce. Bardzo lubi drób - powiedziałem.

Nie miała ochoty na żarty.

- Stryj znalazł się w strasznej sytuacji...

- Zrobię co w mojej mocy, aby wyjaśnić tę sprawę. Ale jestem w obcym kraju.

- Tak, niech nam pan pomoże - popatrzyła na mnie błagalnie.

Należała do pańien, które nazywałem, „Panny Patyczkówny”. Była chuda jak patyczek, miała patyczkowate, długie jak u bociana nogi i patyczkowate ręce. Było oczywiście, że wyróżnie na piękną, długonogą kobietę, ale na razie to było okropne brzydactwo.

- Pan tu jest obcy, rozumiem - kiwnęła głową na chudej, patyczkowej szyi. - Nie zna

pan naszego kraju, naszych obyczajów. Ale może połączymy nasze wiadomości? Pan wniesie swoje doświadczenie detektywistyczne, a ja dodam swoją znajomość tego kraju. Będę z panem rozwiązywać tę zagadkę, zgoda?

- Zgoda! - wyciągnąłem do niej rękę i uściśnąłem jej patyczkową dłoń ostrożnie, aby jej nie złamać, bo wydawała mi się bardzo krucha.

- Jest jeszcze Robert. To tęga głowa. Mój przyjaciel - dodała wyjaśniająco. - Syn kustosza, pana Durant.

- Bardzo dobrze. Będzie nas troje.

- Od czego zaczniemy? - zapytała rzeczowo.

Zastanowiłem się.

- Jutro chciałbym jechać do któregoś z uprzednio okradzionych zamków, aby dowiedzieć się, w jakich okolicznościach nastąpiła tam kradzież. Chodzi mi o to, aby zbadać metodę Fantomasa. Gdy zna się metodę działania złoczyńcy, można ją dopasować do jakiegoś typu człowieka, a potem trzeba szukać takiego człowieka. Rozumiesz?

- Oczywiście. To genialnie proste. Pojedziemy do Amboise. Z tamtejszego zamku skradziono obraz Memlinga.

- Zgoda. Niech będzie Amboise - ziewnąłem, bo naprawdę chciało mi się już spać.

Yvonne dostrzegła moje ziewnięcie.

- Zdaje mi się, że pana zamęczam. Dobranoc - powiedziała i opuściła mój pokój. Ale gdy wyszła i nareszcie zostałem sam, nagle odechciało mi się spać. Aby znowu przywołać sen, wyjąłem z walizki przewodnik Michelina, tak zwany zielony, dla zmotoryzowanych turystów, chcących zwiedzać zamki nad Loarą. Przeczytałem kilkanaście stron i warknąłem ze złością:

- A to łajdak! Nabrał mnie!

Miałem na myśli fałszywego Pigeona, który z największym zjawstwem przedmiotu opo-

wiadał mi o krainie nad Loarą, o gatunkach win i tak dalej. Okazało się, że wszystkie informacje, jakie mi przekazał, zawierał właśnie zielony przewodnik Michelina.

„Dlaczego zgrywał się przede mną udając, że jest aż tak wielkim znawcą Francji?” - zastanawiałem się. I pomyślałem, że kto wie, czy on w ogóle jest Francuzem.

A rano zapomniałem o tej sprawie.

Poczta poranna przyniosła dwa listy: do barona i pana Pigeona. Listy były identycznej treści, napisane na maszynie i nadane wczoraj w Orleanie.

Zawierały trzy zdania:

Zapomniałem zabrać „Portret lekarza” Von Gogha. Zgłoszę się wkrótce po niego. Z góry dziękuję. Fantomas.

I jeszcze jedno.

W porannej bulwarowej prasie przeczytałem wzmiankę zatytułowaną: Fantomas wykonał groźbę.

A oto treść notatki:

Jak poinformowano nas z miarodajnych źródeł, w dniu wczorajszym w Zamku Sześciu Dam skradziono obraz Renoira zatytułowany „Plaża”. Donosiliśmy uprzednio naszym czytelnikom o groźbie słynnego złodzieja obrazów, Fantomasa, i żądanym przez niego okupie. A ponieważ baron de Saint-Gatien nie zgodził się złożyć okupu i minął wyznaczony przez złodzieja termin, wczoraj Fantomas w przebraniu detektywa Pigeona przedostał się swobodnie na teren galerii zamkowej i skradł oryginał Renoira, pozostawiając kopię. Kradzieży nie zdołał zapobiec specjalnie zaproszony z Polski detektyw, zwany Panem Samochodzikiem, ani detektyw Agencji Ubezpieczeniowej, pan Gaspard Pigeon. I co na to francuska policja? Jak długo jeszcze Fantomas będzie bezkarnie buszował w galeriach zamków nad Loarą?

ROZDZIAŁ VI

• Kto podejmie rękawicę • Dziwna rozmowa o kolejach • Baron pożyczka samochód • Tajemnicza wyprawa • Amboise, czyli o królach i królowych francuskich • Gdzie zmarł Leonardo da Vinci • Czy Fantomas jest duchem • Człowiek z trzcinką • Orle Gniazdo

Madame Eveline obiecała zaraz po śniadaniu wyjechać do Paryża, aby zasięgnąć wiadomości o człowieku nazwiskiem François Burges, który interesował się obrazami Cezanne'a i Renoira. Oczywiście postanowiła wyruszyć w drogę swoim wspaniałym wozem alpine re-nault i obiecała wrócić jeszcze tego samego dnia, co przy jej szybkiej jeździe było zupełnie wykonalne.

Przed śniadaniem, swoim rozklekotanym citroenem, wyjechał do Paryża kustosz zamku, pan Durant. Zabral z sobą owinięty w papier pakunkowy i owiązany sznurkiem obraz Renoira. Gdy mu zwróciłem uwagę, że może obraz ów należy starannie zabezpieczyć, lekce-ważąco machnął ręką.

- Pan jeszcze wierzy, że to oryginał? Bo ja już nie. Ten obraz jest tyle wart, ile kosztuje płótno, na którym położono farby.

A więc już nawet kustosz był przekonany, że Fantomas zdołał zamienić obrazy w galerii i porwał oryginalnego Renoira.

Toteż trudno się dziwić, że śniadanie upływało w ponurym nastroju. Na stole leżały dwa identyczne listy od Fantomasa, wisiała nad nami groźba trzeciej kradzieży.

Jedliśmy w milczeniu, patrząc na siebie spod oka. Być może każdy z nas chciał innym powiedzieć coś pocieszającego, ale zdawał sobie sprawę, że to, co powie, będzie nieprzeko-

nywające i wołał milczeć.

Tylko pan Gaspard Pigeon nic sobie nie robił z ponurego nastroju. Jadł z apetytem, głośno mlaskając.

Wreszcie madame Eveline nie wytrzymała i huknęła głośno:

- Caramba, porca miseria, niech mnie rower Yvonne przejedzie, jeśli to nie jest rzucona panu rękawica, panie Pigeon. Żebym tak nie miała jeszcze jednej, sto czterdziestej szóstej kraksy, jeśli ten Fantomas nie drwi sobie z pana.

Detektyw przełknął kęs chleba z żółtym serem i rzekł:

- Może pani być pewna, madame, że rękawica już dawno została przeze mnie podjęta.

- Więc jest nadzieja, że nie ukradną obrazu Van Gogha - ucieszyła się.

Pigeon sceptycznie pokręcił głową.

- Tego nie obiecuję, madame - stwierdził flegmatycznie.

- Co? - oburzyła się starsza pani. - Caramba, porca miseria, to na czym ma polegać pańska rola, panie Pigeon?

Detektyw wzruszył ramionami.

- Nie jestem z policji, madame, lecz z Agencji Ubezpieczeniowej. Dbam jedynie o interesy swojej Agencji. Moim zadaniem jest ustalić, czy należy wypłacić odszkodowanie.

Madame Eveline aż dech zaparło. Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu. Potem wypięła łyk czarnej kawy i zwróciła się do mnie:

- A co pan o tym wszystkim myśli?

- Na razie rozglądam się, madame - odrzekłem uprzejmie. Zdaje mi się, że i moja odpowiedź ją rozczarowała. Spodziewała się Bóg wie czego. Że oto wstanę i powiem: „Jutro schwytam Fantomasa!” Niestety, na razie nie było to w mojej mocy.

Dla barona ta rozmowa była snadź bardzo przykra, bo zmienił temat. Zapytał mnie ni stąd, ni zowąd:

- Czy nie sądzi pan, że kolejami jeździło się bezpieczniej?

- Hm, owszem - odparłem trochę zaskoczony. - To znaczy, zdaje mi się, że również bywały katastrofy.

- Słusznie - skinął głową baron. - Katastrofy kolejowe są znacznie bardziej efektowne niż samochodowe. Ale jednak zdarzają się rzadziej. A tak w ogóle, co mniema pan o kolejnictwie?

- Nie mam wyrobionego zdania - odpowiedziałem uprzejmie. - Ostatnio dość rzadko posługuję się tym środkiem lokomocji.

Na tym nasza dziwna rozmowa urwała się. Proszę jednak wyobrazić sobie moje zaskoczenie, gdy po śniadaniu podszedł do mnie baron i odprowadziwszy mnie na bok, zagadnął:

- Czy nie mógłby mi pan pożyczyć swego samochodu? Chciałbym w pewnej sprawie pojechać do Orleanu.

- Właśnie szykuję się do drogi. Jadę do Amboise - odparłem. - Ale zdaje mi się, że pana siostra...

- Och, nie - przeraził się baron, - Ja do jej samochodu nie wsiądę. Alpine renault to nie dla mnie. Wolę starsze, powolniejsze samochody.

- Bardzo mi przykro. Mój wóz też jest niezwykle szybki - powiedziałem.

- Ach, tak? - zmartwił się baron. - W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak pożyczyć wóz od poczciwego Filipa. On ma starego mercedesa. Tylko że już zbyt nadużywam jego uprzejmości.

I skłoniwszy mi się grzecznie, opuścił jadalnię. Zabawny był ten baron, właściciel wspaniałego parku i ogromnej galerii sztuki, zmuszony do pożyczania samochodu od swojego lokaja.

Yvonne przedstawiła mi Roberta. Ten piętnastoletni chłopak stanowił zupełne przeciwieństwo swej przyjaciółki. Był niskim, krępy m brunetem o dużej głowie, jakby wciśniętej

w ramiona. Jeśli Yvonne przypominała cieniutki patyczek, to on z grubsza ciosany klocek. Poważny, milczący - spodobał mi się. Wydawało mi się, że na takim młodzieńcu można polegać.

Na szczęście pan Gaspard Pigeon nie pojechał z nami do Amboise. Bo gdy już wsiedliśmy do wehikułu i zamierzałem przekręcić kluczyk w stacyjce, raptem zobaczyliśmy barona, opuszczającego garaż starym, odrapanym mercedesem. Na ten widok pan Gaspard wyskoczył z wehikułu i zakomunikował nam, że rezygnuje z wycieczki. Wsiadł do swojego humbera i pognął w ślad za baronem.

- Będzie śledził stryja - stwierdziła Yvonne.

- Baron pojechał do Orleanu. Nie wiesz, w jakim celu? - zapytałem.

- Nie mam pojęcia. Stryj często robi takie wyprawy. Zawsze jeździ sam - wyjaśniła Yvonne.

- A nie wiesz czasem, co to za dziennikarz kręci się koło Zamku Sześciu Dam?

- Dziennikarz? - zdumiała się Yvonne.

- Mam na myśli te notatki w prasie bulwarowej. Redakcje są bardzo szybko informowane o tym, co się tu dzieje. Prasa znała doskonale datę mego przyjazdu, wiedzieli nawet, że zatrzymałem się w Hotel du Nord w Paryżu. Wczoraj zdarzyła się u was kradzież, a dziś rano już o tym napisano.

- Tak, to bardzo ciekawe... - mruknęła Yvonne.

Odezwał się milczący dotąd Robert:

- Gdyby jakiś dziennikarz kręcił się koło zamku, wiedzielibyśmy o tym. Wydaje mi się, że po prostu oni mają w naszym zamku jakąś swoją „wtyczkę”, kogoś, kto informuje redakcję o wszystkim. Trzeba by go wykryć i pouczyć, aby nie żerował na naszych kłopotach.

- Słusznie. Ja się tym zajmę - zdecydowanie powiedziała Yvonne.

Pojechaliśmy. Do Amboise nie było daleko, niespełna 40 kilometrów, co zajęło nam nie-

całą godzinę. Przed wyjazdem zajrzałem do przewodnika, aby przy zwiedzaniu zamku nie być „zielonym”. Ale okazało się, że doskonałym *cicerone* jest Robert.

- On ma piątkę z historii - oświadczyła Yvonne. - A w Amboise byliśmy kilkakrotnie. Na rowerach - dodała. - Pan przecież wie, że nie lubię samochodów.

Amboise to dziesięcioletnie miasteczko, położone głównie na lewym brzegu Loary. Tu też wznosi się potężna budowla zamku.

W pradawnych czasach galijskich istniał w tym miejscu warowny gród, który w IX wieku zdobyli Normanowie. Potem wzniesiono tu nową budowlę, a właściwie trzy odrębne twierdze. Wreszcie cały ten obszar opanowali hrabiowie z Amboise i władali nim aż do chwili, gdy Karol VII, którego na tron wyniosła Joanna d'Arc, skonfiskował zamek i przejął go jako własność królewską.

Zamek stoi na wzniesieniu, widoczny z daleka. Rzuca się w oczy przede wszystkim ogromna, okrągła baszta i otaczające zamek wysokie mury, do których przylegają domy mieszkalne, zbudowane tuż nad brzegiem Loary. Już na pierwszy rzut oka widać, że wielka baszta i zamek różnią się stylem. Bo też Amboise to jakby zlepek dwóch budowli - surowej rycerskiej twierdzy i bogatego renesansowego zamku.

- Dopiero Ludwik XI uczynił Amboise rezydencją królewską - powiedział Robert. - Czy pan wie, co to był za król?

- Opowiedz mi - zaproponowałem.

Lubię bowiem słuchać, gdy młodzi ludzie „swoimi słowami” opowiadają historię swego kraju. Niekiedy nie są zbyt ściśli, ale ich oceny i sformułowania wydają się trafne.

- Ludwik XI, proszę pana, to król francuski, który z wielką niecierpliwością czekał na śmierć swojego ojca, aby objąć władzę. Miał szesnaście lat, gdy zamarzyła mu się korona, ale otrzymał ją dopiero w wieku trzydziestu siedmiu lat, gdy zmarł Karol VII. Spiskował przeciw swemu ojcu, który zmuszony był przygotować przeciw niemu wyprawę wojenną.

Ludwik jednak umknął przed ojcem do księcia burgundzkiego, który udzielił mu azylu w Brabancji. Tam czekał niecierpliwie na śmierć ojca. Wreszcie został królem. Opowiadają o nim, że wciąż niesyty był władzy. To może dlatego, proszę pana, stał się władcą absolutnym, pierwszym z rzędu absolutnych królów, których miała później Francja. Jeśli pan czytał książkę Machiavellego *Księżę*, to właśnie wzorem takiego władcy mógł być Ludwik XI. Był pozbawiony skrupułów i jeśli nie mógł czegoś zdobyć siłą, to robił to za pomocą intryg i przekupstwa. Bardzo wysoko cenił godność królewską, a jednocześnie dla zjednania sobie popularności chciał uchodzić za króla „ludu francuskiego”, poufale rozmawiał z wieśniakami, zasiadał przy mieszczańskich stołach. Tylko że jednocześnie ten lud łupił podatkami, aż buntowano się przeciw niemu. To w Amboise, proszę pana, urodził się jego syn, późniejszy Karol VIII. Gdy umarł Ludwik XI, Karol miał trzynaście lat, więc nie mógł objąć władzy w kraju. W jego imieniu rządziła ulubiona córka Ludwika, księżna Anna Francuska i jej mąż, Piotr de Beaujeu. Ale przeciw temu małżeństwu rządzącemu młodziutkim królem wciąż spiskowali potężni książęta z Ludwikiem Orleańskim na czele, późniejszym królem Francji. Wtedy to zmarł Franciszek II, potężny książę bretoński i pozostawił tylko jedną spadkobierczynię, córkę Annę. Miała, proszę pana, trzynaście lat, ale, jak mówią historycy, była to panienka niezwykle samodzielna, która lubiła zajmować się polityką. Na małżonka wybrała sobie Maksymiliana austriackiego, bo nie lubiła francuskiego dworu. Wyszła za niego za mąż listownie, obiecał jej bowiem pomoc przeciw Francuzom. Ale gdy Maksymilian nie przyszedł jej z pomocą i została otoczona w Nantes przez francuską armię królewską, musiała poślubić Karola VIII. Aby związać trwale księstwo bretońskie z Francją, Francuzi zastrzegli sobie, że jeśli małżeństwo Anny z Karolem VIII będzie bezdzielne, to musi ona wyjść za mąż za następnego króla francuskiego. I tak się stało, proszę pana. Została potem żoną Ludwika XII, tego księcia orleańskiego, który spiskował przeciw Karolowi VIII. Była żoną dwóch królów francuskich, lecz nigdy specjalną sympatią do Francji nie pałała, tylko

wciąż robiła wszystko dla dobra swego księstwa, Bretanii.

- Ja bym tam nie wyszła za mąż z przymusu - stwierdziła Yvonne.

- Zrozum. Armia ją oblegała w Nantes. A jej mąż, Maksymilian, którego zresztą na oczy nigdy nie widziała, nie przybył z pomocą. Musiała więc zgodzić się na warunki francuskie i wyjść za mąż za Karola VIII - tłumaczył Robert. - Miała wtedy niewiele więcej lat niż ty, Yvonne.

Dziewczynka zastanowiła się i powiedziała:

- Nie chciałabym żyć w tamtych czasach. Teraz jest lepiej. Można wyjść za mąż za kogo się chce.

- A Amboise? - zapytałem Roberta, żeby powrócić do tematu, bo wydawało mi się, że zaczęną się długie i jałowe rozważania, w jakich czasach żyć lepiej: dawniej czy dzisiaj?

- No właśnie, Amboise. Karol VIII był bardzo przywiązany do tego zamku. Tu się urodził, tu spędził wiele lat. Postanowił go rozbudować. A że lubił przepych, zapragnął mieć wspaniałą siedzibę. Podobno, proszę pana, rozbudowa zamku trwała bez przerwy dzień i noc. Nawet zimą, gdy trzeba było podgrzewać kamienie, aby móc je ociosać. Później król zorganizował wyprawę wojskową do Włoch, bo miał prawa do tronu neapolitańskiego. Z wojny w 1496 roku przywiózł bogate łupy. Meble, tkaniny, malowidła, którymi ozdobił Amboise. Przyjechali z nim również włoscy artyści, rzemieślnicy, ogrodnicy, tkacze i krawcy. Od tej pory datuje się wielki wpływ sztuki włoskiej na kulturę francuską. Tutaj, w Amboise zmarł Karol VIII. Podobno w dzień Wielkanocy w 1498 roku wychodził ze swą żoną, aby towarzyszyć jej przy grze w piłkę. Choć był niskiego wzrostu, uderzył głową o belkę w drzwiach i podczas gry nagle zemdlął. Nikt na to specjalnie nie zwrócił uwagi, położono go w cuchnącym loszku. I tu, w samotności, dokonał życia wielki król francuski. A jego następca Ludwik XII nie nazbyt się troszczył o Amboise. Dopiero kolejny król, Franciszek I, zakończył budowę skrzydła zamku. Przybył tutaj w wieku sześciu lat z matką Ludwiką Sa-

baudzką i siostrą Małgorzatą, zwaną później Nawarską. Tu uczył się rzemiosła wojennego i kształcił się w sztukach pięknych. To był wspañiały król. Za jego czasów Amboise przeżywa swój najpiękniejszy okres. Kwitną dobre maniere i obyczaje, odbywają się zabawy i turnieje, wspaniałe uroczystości, walki dzikich zwierząt, maskarady. To on, Franciszek I, sprowadził do Amboise wielkiego artystę z Florencji Leonarda da Vinci. Tu zresztą zmarł Leonardo da Vinci⁴⁴ i tu został pochowany.

- W Amboise? - zdumiałem się, bo nic o tym nie wiedziałem.

- W zamku Cloux, koło Amboise, proszę pana. Jego szczątki znajdowały się w kaplicy Świętego Huberta, ale zostały przeniesione do lewego krużganka.

Wjechaliśmy w uliczki miasteczka. Zaparkowałem wehikuł na małym placu przed głównym wejściem do zamku.

Oplaciliśmy wstęp, a następnie poprosiliśmy przewodniczkę, aby skontaktowała nas z kustoszem zamku. Zaraz też zjawiała się starsza, siwa pani i zaprosiła nas do swego gabinetu.

Wyjaśniłem jej, że prowadzę prywatne śledztwo w związku z kradzieżą obrazów w Zamku Sześciu Dam i interesują mnie również okoliczności kradzieży, która zdarzyła się w Amboise.

- Tak. Skradziono u nas obraz Memlinga. Bezcenny obraz - potwierdziła kustoszka. - Stało się to wiosną ubiegłego roku. Potem, jeśli się nie mylę, podobne kradzieże były w innych zamkach. Sprawców, o ile wiem, nie schwytano.

- Chciałbym jednak poznać szczegóły - powiedziałem.

- Zgoda - kiwnęła głową. - To przecież nie jest tajemnica. Będę się tylko bardzo cieszyć,

⁴⁴ **Leonardo da Vinci** (1452-1519) - włoski malarz i teoretyk w dziedzinie malarstwa, rzeźbiarz, architekt, technik, badacz przyrody i filozof, jeden z najznakomitszych artystów renesansu. Do najwybitniejszych jego obrazów należą: *Ostatnia Wieczerza*, *Mona Lisa*, *Leda z labędziem*. W Polsce w Muzeum Czartoryskich w Krakowie oglądać można jego *Damę z lasiczką*.

jeśli ta informacja okaże się pomocna dla schwytania złodzieja. Ale najpierw - uśmiechnęła się - najpierw może zwiedzimy zamek? Chodzi mi także o to, aby przekonał się pan, że mamy znakomicie działający system alarmowy i wszystkie zabezpieczenia przed złodziejami. A jednak obraz Memlinga skradziono.

Przystaliśmy na propozycję kustoszki. I przez ogromny, sklepiony korytarz wyszliśmy na wspaniały taras.

- Jak sami widzicie - mówiła kustoszka - zamek nie istnieje w dawnej postaci. Poważną jego część zburzono w czasach Napoleona. Kiedyś wokół tego tarasu wznosiła się zabudowa, był tu dziedziniec, na którym odbywały się uroczystości dworskie. Na murach wisiały setki gobelinów, a rozpięty w górze błękitny namiot osłaniał przed deszczem i słońcem. Tutaj odbywały się walki dzikich zwierząt. Jak mówi anegdota, to w tej scenerii narodziła się historia, którą później wykorzystał Schiller w swojej słynnej *Rękawiczce*.

Gdy usłyszał to Robert, nagle przyklęknął przed Yvonne i wyciągnawszy z kieszeni chusteczkę, która miała zastąpić przyniesioną z areny rękawiczkę, wyrecytował piękną balladę Schillera we francuskim przekładzie. A ja przypomnę jej początek w przekładzie Mickiewicza:

*Chcąc być widzem dzikich bojów
Już u zwierzyńca podwojów
Król zasiada -
Przy nim książęta i panowie Rada,
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.
Król skinął palcem - zaczęto igrzysko;
Spadły wrzeczadze: ogromne lwisko
Z wolna się toczy,*

*Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
Wokoło -
I ziewy rozdarł straszliwe,
I kudły zatrząsł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemię,
I obalił się na ziemię...*

Należało jednak powrócić do rzeczywistości. Podjęliśmy dalsze zwiedzanie zamku.

Z dawnej rezydencji królewskiej pozostała tylko część murów i zabudowań, rozciągających się wzdłuż Loary. Ocalała także wspaniała kaplica Świętego Huberta.

To tam przede wszystkim zaprowadziła nas kustoszka. Kaplica Świętego Huberta należała kiedyś do komnat zamieszkałych przez królową. Tutaj miała królowa swoją sypialnię. Nad drzwiami zobaczyliśmy słynną rzeźbę w drewnie: po lewej stronie święty Krzysztof z Dzieciątkiem, a po prawej święty Hubert z jeleniem. W wieńcach jelenia widnieje krzyż. Cała kaplica zbudowana jest w stylu przepięknego późnego gotyku. Kiedyś były tu wspaniałe stare witraże, które w 1940 roku uległy zniszczeniu. Odrestaurowano je we współczesnej wersji, przedstawiają sceny z życia świętego Ludwika.

Potem obejrzeliśmy słynny „Balkon spiskowców”. Jak mówi historia, w czasach gdy królował Franciszek II, a faktycznie rządziła jego matka Katarzyna Medycejska, niejednokrotnie dochodziło do bójek i spisków ze strony protestanckiej szlachty, która buntowała się przeciw prześladowaniom religijnym. Między innymi właśnie w Amboise zrodził się spisek protestantów, którzy postanowili zamordować nieprzejednanego wobec innowierców bliskiego doradcę króla, księcia Gwizjusza. Spisek jednak wykryto. Jego uczestników pojmano i stracono. Wielu z nich zawisło na rynnach na balkonie, na okopach. Innych potopiono w Loarze.

Podanie głosi, że Katarzyna Medycejska, Franciszek II i jego młoda żona Maria Stuart⁴⁵ mimo trupiego zapachu, jaki się wokół zamku roznosił, oglądali szczątki ofiar ciesząc się z ich śmierci.

Katarzyna Medycejska. Jakiż potężny wpływ przez wiele lat miała ta kobieta na historię i losy Francji. Była żoną Henryka II, a potem matką trzech kolejnych królów francuskich: Franciszka II, Karola IX i Henryka III. Ten ostatni, zanim został królem Francji, panował krótko w Polsce jako Henryk Walezy. Tak więc w odległych latach niejeden Polak zapewne odwiedzał rezydencję królewską w Amboise.

Weszliśmy do komnat królewskich. Przede wszystkim zachwycała nas wytworna sala posiedzeń rady królewskiej. Wszędzie widziało się wspaniałe stare meble, gobeliny, przepiękne obrazy dawnych mistrzów.

- Tu wisiał obraz Hansa Memlinga, zatytułowany *Madonna* - kustoszka wskazała puste miejsce na ścianie w małym pokoiku, który był kiedyś gabinetem sekretarza rady królewskiej. Znajdował się tutaj, między tymi dwoma oknami.

Hans Memling, znany malarz niderlandzki. W Polsce mamy jeden z jego najwspanialszych obrazów, tryptyk *Sąd Ostateczny*. Zamówił go u artysty przedstawiciel rodu Medyceuszów dla jednego z kościołów florenckich. Lecz dziwnym zbiegiem okoliczności zamiast do Florencji obraz powędrował do Gdańska, do kościoła Marii Panny, a obecnie oglądać go można w Muzeum Pomorskim.

- Zaczęło się od tego - opowiadała kustoszka - że otrzymałam list, w którym jakiś

⁴⁵ **Maria Stuart** (1542-1587) - królowa Szkocji i Francji, córka króla szkockiego Jakuba V. Wyszła za mąż za króla Francji Franciszka II, a po jego śmierci objęła rządy w Szkocji. Pretendowała do korony angielskiej, ale wywołała bunt i musiała abdykować na rzecz swego syna. Schroniła się w Anglii, gdzie przez 19 lat przebywała w więzieniu i na rozkaz Elżbiety, królowej angielskiej, została ścięta. Jej tragiczne dzieje stały się tematem wielu utworów literackich, m.in. Słowackiego i Schillera.

człowiek podpisany imieniem Fantomas groził, że jeśli nie wypłaci mu się okupu w wysokości pięćdziesięciu tysięcy nowych franków, ukradnie *Madonnę* Memlinga. Oczywiście potraktowałam ten list jako głupi żart. Niech pan się rozejrzy: przez okno nikt się tu nie dostanie, bo pokój znajduje się na piętrze, a w dół biegnie ściana wysokości prawie dwudziestu metrów. Co wieczór jest zamykany, jak wszystkie pokoje królewskie i inne pomieszczenia. W dzień i w nocy strzegą sal muzealnych strażnicy. Mamy najnowocześniejszy system alarmowy. Więc nie było się czego obawiać.

- Czy Fantomas wierzył, że ktoś zdecyduje się wypłacić mu okup? - zapytałem.

- Chyba nie - wzruszyła ramionami. - Napisał list do mnie, a nigdy w życiu nie miałam i nie będę miała tyle pieniędzy. Zamek należy do słynnego rodu Burbonów orleańskich.

- Skoro nie mógł liczyć na okup, to w takim razie po co pisał list?

- Nie mam pojęcia. Dlatego chyba zlekceważyłam go, choć oczywiście pokazałam policji. Tak minął miesiąc, już zapomniałam o liście, gdy pewnego dnia zwiedzał zamek jakiś milioner amerykański w towarzystwie swego doradcy, znanego historyka sztuki. To on pierwszy zapytał mnie, czy obraz Memlinga, który wisi na ścianie, jest kopią. „Nie, to oryginał” - odpowiedziałam. Ale on sceptycznie pokręcił głową i stwierdził, że to falsyfikat bardzo zręcznie zrobiony. Wyznaję, że poczułam się zaniepokojona, bo przypomniał mi się list Fantomasa. Potem ktoś jeszcze zwrócił mi uwagę, że obraz Memlinga jest prawdopodobnie falsyfikatem. Wtedy zdecydowałam się zawieźć obraz do pracowni w Luwrze, aby go zbadali eksperci. I rzeczywiście, proszę pana, *Madonna* Memlinga okazała się falsyfikatem. Innymi słowy: prawdziwy, oryginalny obraz został skradziony, a na jego miejscu zawieszono kopię.

- Dlaczego?

- Policja przypuszcza, że złodziejowi chodziło o to, aby nie zwrócono od razu uwagi, że została popełniona kradzież. Z powodu tej kopii nie wiemy przecież dokładnie, kiedy doko-

nano kradzieży, kto był w tym czasie w zamku i tak dalej. Ze strony złodzieja był to zręczny chwyt. Policja jest bezradna. Czy w Zamku Sześciu Dam zdarzyła się podobna historia?

- Tak - skinałem głową. - W identyczny sposób, najpierw żądając okupu, a potem zawieszając kopię, skradziono obraz Cezanne'a, a teraz istnieje podejrzenie, że to samo stało się z obrazem Renoira.

- I znowu ten Fantomas?

- Niestety, tak - odparłem.

Spojrzałem na zegarek. Minęło południe. Prawie trzy godziny zwiedzaliśmy zamek Amboise. Pożegnaliśmy więc kustoszkę, podziękowałem jej za informację.

- I co? Do jakich pan doszedł wniosków? - niecierpliwiła się Yvonne.

- Do żadnych - odrzekłem szczerze. - Na razie zbieram fakty. Myślę, że przyjdzie taka chwila, kiedy okażą się przydatne. Tymczasem bądź cierpliwa, Yvonne. Pamiętaj, że praca detektywa polega na gromadzeniu drobnych zdarzeń i spostrzeżeń. Zresztą, może jutro będzie lepiej. Pojedziemy przecież do innego zamku, gdzie popełniono kradzież.

- Jedziemy do Angers. Nigdy tam nie byłam - zaproponowała Yvonne.

- A potem do Chambord - dorzucił Robert.

Usiedliśmy w małej kawiarence, znajdującej się przy uliczce obok murów zamkowych. Rozłożyłem mapę samochodową, a Robert i Yvonne zaczęli podróżować palcem po mapie.

- O ile wiem - powiedziałem - Angers to jeden z najwspanialszych rycerskich zamków Francji.

- Tak. To stolica Andegawenii. O tutaj, nad rzeką Maine - wskazała palcem Yvonne.

- A tu? - dotknąłem palcem zaznaczonego na mapie zameczka niedaleko Zamku Sześciu Dam. - Cóż to za obiekt?

- To tak zwane Orle Gniazdo - wyjaśnił Robert. - Na stromym pagórku znajduje się

ogromny donżon, czyli wielka baszta, otoczona wysokimi murami. Przykład starego budownictwa. Baszta pochodzi z czasów rzymskich. Ale zwiedzać tego nie można. Przed pięć laty kupił ten obiekt jakiś bogaty człowiek nazwiskiem Marchant. Odnowił zameczysko, pobudował potężne bramy i zamknął się w zamku. Jakiś dziwak, proszę pana. Nikt go jeszcze na oczy nie widział, bo ma własną służbę, którą z sobą przywiózł, a nikt z okolicznych mieszkańców u niego nie bywa.

- Skąd o tym wiesz?

- Przecież to po sąsiedzku. Dziesięć kilometrów od naszego zamku - wyjaśnił Robert. - Kiedyś wybraliśmy się tam z kolegami, aby zapolować na dzikie króliki. Bo tamto zameczysko, proszę pana, jak mówiłem, wznosi się na stromym wzgórzu, na którym rosną krzewy i jest tam mnóstwo dzikich królików. Pojechaliliśmy tam rowerami, ale zaledwie zaczęliśmy polowanie, bramy zamku otworzyły się, wyszło jakichś dwóch drabów i powiedziało nam, że jeśli się stąd nie wyniesiemy, to nas obiją. I wynieśliśmy się. A tamtejsze chłopaki narzekają, że od czasu jak zamieszkał w zamku ów ponury dziwak, już nikt nie może polować na dzikie króliki.

- Tak się go boją? - ironicznie wydeła usta Yvonne.

- Bo ty nie widziałaś tych jego służących. Wyglądają jak bandyci. Szczególnie jeden z nich. Ma na głowie skórzaną bandytkę, na szyi czerwoną apaszkę, w ręku ostrą trzcinkę. Bandzior, powiadam ci, Yvonne. Ten jego pan nie musi być lepszy, skoro się taką służbą otacza. Może to jakiś gangster?

Raptem Robert rozdziawił szeroko usta, a jego oczy stały się okrągłe ze zdumienia.

- Co się stało? - zapytałem.

Pobiegliśmy spojrzeniem w ślad za jego wzrokiem i aż zdrętwieliśmy. W rogu kawiarni, w najbardziej mrocznym kąciuku, siedział opisany przez Roberta człowiek.

- Tak, to on. Ten sam... - wykrztusił chłopiec.

Opanowałem zaskoczenie.

- Nie patrzcie w jego stronę - szepnąłem. - Niech nie wie, że zwróciliśmy na niego uwagę.

Kawiarnia była mała. Miała ciemny, niski sufit z drewnianych belek, ściany pokryte boazerią. Zapewne kiedyś mieściła się tu jakaś piwiarnia lub winiarnia, siedziało się tu na twarzych ławach, przy długich, drewnianych stołach.

Prawie wszystkie miejsca były zajęte, przeważnie przez turystów, którzy przyjechali zwiedzić zamek królewski. Niektórzy byli obcokrajowcami. Przy naszym długim stole małżeństwo z dwojgiem dzieci rozmawiało po niemiecku. Dochodziły nas również słowa w języku hiszpańskim. Osobnik opisany przez Roberta tkwił w kącie, o trzy stoły od nas. Nie spoglądał w naszym kierunku, zresztą zdawał się być zajęty tylko swą filiżanką kawy i papierosem.

Tak jak go opisał Robert, miał na głowie skórzaną bandytkę, której nie zdjął nawet wchodząc do kawiarni. Na stole, obok filiżanki z kawą, leżała cienka trzcinka.

- Jak pan sądzi, co on tu robi? - spytała mnie szeptem Yvonne. - Nie przyjechał chyba zwiedzać zamek?

- Jak mówi mapa, z Amboise do Orlego Gniazda jest około trzydziestu kilometrów. Zapewne przybył tu w jakichś sprawach swojego pana.

- Tak, to najbliższe większe miasteczko - zgodziła się dziewczynka.

A ja zapytałem Roberta:

- Jak myślisz, czy on cię poznał?

- Ależ skąd. Wtedy, gdy przyszedł, aby nas wygonić spod zamku, była nas cała gromada. Gdzie by tam spał wszystkie twarze.

Jeszcze raz zerknąłem w kierunku owego jegomościa. Robił ponure wrażenie. Śniady, z czarnymi, długimi bakami i groźnym wejrzeniem ciemnych oczu. Na palcu jego lewej ręki zobaczyłem ogromny złoty sygnet, oznakę nie najlepszego smaku.

Wzruszyłem ramionami.

- Co nas obchodzi ten typ? Przyjechał w swoich sprawach, a my w swoich. Pora wracać do zamku.

Zapłaciłem rachunek i wyszliśmy przed kawiarnię.

I teraz z kolei na mojej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Opanowałem się jednak tak szybko, że moi młodzi przyjaciele tego nie dostrzegli.

- Przed kawiarnią siedział na motocyklu pewien człowiek - powiedziałem, gdy wsiedliśmy do samochodu.

- Zauważyliśmy go - potwierdziła Yvonne. - Ale twarzy nie było widać. Miał duże okulary i wielki kask na głowie.

- Może się mylę - nagle straciłem pewność, którą miałem jeszcze przed chwilą. - Ci motocykliści w kaskach i okularach są do siebie tak bardzo podobni. Ale on mi przypomina człowieka, który, gdy jechałem z fałszywym panem Pigeonem do zamku, doręczył mi list rzekomego „Przyjaciela”. Opowiadałem wam o tym.

- Pamiętam - skinął głową Robert. - I sądzi pan, że to ten sam motocyklista?

- Wygląda tak samo - stwierdziłem z wahaniem.

- Może nosi po prostu taki sam strój jak tamten? - rzekła dziewczynka.

Wyjechaliśmy z miasteczka. Na krzyżówce w Amboise skręciłem w prawo.

- Żle pan pojechał - zawołał Robert. - Wprawdzie tą drogą również można dostać się do naszego zamku, ale to znacznie dalej.

Yvonne natychmiast pojęła mój zamiar.

- Tędy przejeżdża się obok Orlego Gniazda - powiedziała.

Wąska asfaltowa szosa wiała się wśród niewysokich wzgórz i pagórków, na których zieleniły się winnice. W dolinach były wioski. Białe domy kryły się wśród drzew. Okolice, podobnie jak wczoraj zalana potokami słońca, wyglądała pięknie. Wszędzie radowały oczy

kwitnące glicynie.

Po kilkunastu kilometrach jazdy spostrzegłem, że wzgórza stają się coraz wyższe. Obok szosy rósł dębowy las, a tuż za nim odchodziła w bok polna, kamienista droga. Skręciłem w nią raptownie i skryłem się za drzewami, tak że pozostawałem niewidoczny dla kogoś, kto przejeżdżał szosą.

- Co pan robi? - zapytała Yvonne.

- Ciekaw jestem... - zacząłem. Ale nie musiałem kończyć. Usłyszeliśmy warkot silnika. Po chwili przemknął obok nas motocykl prowadzony przez człowieka, który siedział na nim przed kawiarnią. Na tylnym siodełku zobaczyliśmy jegomościa z trzcinką. Jechał bez kasku, w swojej skórzanej bandytcie.

- Śledzili nas - stwierdził Robert.

- Niekoniecznie - odparłem. - Przecież to droga do Orlego Gniazda. Chciałem się tylko upewnić, czy obydwaj: ten facet z trzcinką i motocyklista, mają z sobą coś wspólnego.

Pojechaliśmy dalej szosą. Minęliśmy wioskę ze starym romańskim kościołem o przysadzistej sylwetce.

- Wracają! - krzyknęła nagle Yvonne.

Dojrzeliliśmy motocyklistę i faceta z trzcinką. Rzeczywiście, jechali znowu w naszym kierunku.

- Teraz już pan wie, że nas śledzili - rzekł Robert. - Stwierdzili, że zniknęliśmy im z oczu i wrócili, aby przekonać się, co się z nami stało.

Motocyklista i facet z trzcinką minęli nas, w ogóle nie zwracając na nas uwagi. Wciąż spoglądałem we wsteczne lusterko, ale choć widziałem kawał szosy za sobą, ich już nie spostrzegłem. Jeśli nawet znów zawrócili i jechali za nami, to robili to dyskretnie, żeby nie wpaść w oczy.

Lecz oto i Orle Gniazdo. Nie wiem, czy zasługiwało aż na tak dumną nazwę. Na dość

stromym wzgórzu, jałowym, porośniętym tylko trawą i krzakami, wznosiła się ponura budowla. Ogromna okrągła baszta z kilkoma umieszczonymi wysoko małymi okienkami i czworobok wysokich murów, w których widniała żelazna zamknięta brama.

- Nigdy tam nie byłem - odezwał się Robert. - Ale wiem od chłopaków z sąsiedniej wioski, że za murami, wspierając się jedną ścianą o wieżę, stoi dość duża willa, zbudowana przez nowego właściciela. Otacza ją ogród, jest nawet basen pływacki, jednym słowem bogata, nowoczesna rezydencja w bardzo starej oprawie.

Zatrzymałem wehikuł przy wąskiej asfaltowej drodze prywatnej, biegnącej od szosy aż do bramy zamkowej. Droga pięła się stromo. Widzieliśmy, z jakim trudem mały osiołek ciągnął po niej dwukołowy wózek z jarzynami. Ale chyba o wiele cięższy od jarzyn był gruby chłop w białej koszuli i słomkowym kapeluszu.

- A jednak to nieprawda, że nikt z okolicy nie bywa w Orlim Gnieździe - zauważyła Yvonne. - Ktoś dostarcza tam jarzyny. Ktoś inny chyba przynosi mleko.

Jeszcze przez chwilę obserwowaliśmy wspinaczkę osiołka, ciągnącego dwukółkę. Potem uruchomiłem silnik i odjechaliśmy szosą. Minęliśmy zakręt i następne wzgórze skryło za nami Orle Gniazdo.

ROZDZIAŁ VII

• **Podobieństwa i różnice** • **Co myślał Fantomas** • **Czy listy mają znaczenie** • **Jegomość, który wraca z własnego pogrzebu** • **Co trzy głowy, to nie jedna, czyli trust mózgow** • **Robinoux zaczyna myśleć** • **Co się stało z obrazem Van Gogha** • **W galerii barona** • **Gauguin** • **Podejrzana rozmowa** • **Świetlne sygnały**

- **N**o i co? Czego pan się dowiedział w Amboise? - pytał mnie zaciekawiony Pigeon.

Było to przed kolacją. Siedzieliśmy w hallu, w wygodnych fotelach. Pan Pigeon i ja. Yvonne krzątała się w kuchni, baron przebywał na terenie swojej tajemniczej pracowni. Robert w starym donżonie sprawdzał aparaturę do wieczornego widowiska „Dźwięk i światło”, bo był to dzień przeznaczony na odwiedziny turystów. Przed bramą parkową stały trzy ogromne autokary wycieczki z Anglii. Turyści kręcili się po parku, po dziedzińcu parkowym, po galerii. Kustosz, pan Durant, jeszcze nie powrócił z Paryża, podobnie ciotka Eveline. Byliśmy więc pozostawieni sami sobie - ja i pan Pigeon, który z lubością nasłuchiwał, jak od czasu do czasu przez uchylone drzwi do jadalni dochodzi nas dźwięk sztućców. To lokaj Filip nakrywał do kolacji.

- I co w Amboise? - niecierpliwił się detektyw.

Nie widziałem, co powiedzieć. Zdać mu dokładnie relację z naszej wycieczki, a więc opowiedzieć również o tajemniczym motocyklicście, o człowieku z trzcinką, o Orlim Gnieździe? Czy też ograniczyć się do wniosków? Poprzestałem na tym drugim, sądząc, że przecież zarówno człowiek z trzcinką, jak i nasza wycieczka w sąsiedztwo Orlego Gniazda nie mają nic wspólnego ze sprawą, która interesowała detektywa.

- Kustoszka z Amboise wyjaśniła mi okoliczności kradzieży *Madonny* Memlinga - po-

wiedziałem. - Wszystko wskazuje na to, że zarówno w naszej, jak i tamte historii mamy do czynienia z jedną i tą samą osobą albo z jedną i tą samą szajką.

- Tamta sprawa nic mnie nie obchodzi - wzruszył ramionami Pigeon - bo oni się ubezpieczyli w konkurencyjnej firmie. Ale oczywiście teraz, gdy złodziej wszedł w paradę naszej Agencji, muszę wziąć pod uwagę wszystkie okoliczności. Czy jednak jest pan zupełnie pewny, że obraz Memlinga i Cezanne'a kradła jedna i ta sama ręka?

- Kradzież poprzedził list z żądaniem okupu. List podpisany przez Fantomasa. Po jakimś czasie odkryto, że zamiast oryginału wisi kopia. Podobnie było z kradzieżą obrazu Cezanne'a w tutejszym zamku.

- Ale zupełnie inaczej wyglądała następna kradzież. Mam na myśli Renoira - przerwał mi detektyw. - Złodziej pojawił się osobiście jako Gaspard Pigeon - poglądził swoje jedwabiste wąsiki. - A więc są pewne różnice.

- Obstaje pan więc przy koncepcji, że istnieje ktoś inny, naśladowujący tamte wzory? I podejrzewa pan, że to baron?

- Ciszej! - syknął Pigeon, spoglądając na półotwarte drzwi do jadalni, gdzie krzątał się Filip. - Nie obstaję przy żadnej koncepcji. Ale muszę stwierdzić, że baron zachowuje się dziwnie. Pojechałem za nim do Orleanu. Zapewne zauważył, że go śledzę. Ponieważ lepiej ode mnie zna Orlean, zaparkował wóz przed jakąś przechodnią bramą i po prostu przepadł. Tak, proszę pana. Wyprowadził w pole detektywa. Czy w ten sposób postępuje człowiek, który ma czyste sumienie?

Odrzekłem:

- Jestem przekonany o uczciwości barona. Właśnie pewne różnice w sposobach kradzieży upewniają mnie co do tego. Baron nie musiałby uciekać się do pomocy fałszywego Pigeona. Po prostu mógł, jak w Amboise, czy podobnie jak stało się z obrazem Cezanne'a, w sposób dla nikogo nie zauważony zamiast oryginału Renoira zawiesić kopię. Baron ma do galerii

wstęp o każdej porze dnia i nocy. To jego galeria, proszę pana. Po co mu fałszywy Pigeon?

- A właśnie - zachichotał detektyw. - Właśnie po to, aby odsunąć od siebie podejrzenia.

Tym razem ja wzruszyłem ramionami.

- W takim razie, pana zdaniem, im człowiek wygląda bardziej niewinnie, tym jest bardziej podejrzany. Nie, proszę pana. Nie przekonuje mnie pańska hipoteza. Natomiast dręczy mnie inne pytanie.

- Słucham? - zainteresował się Pigeon.

- Fantomas wysłał do kustoszki w Amboise list z żądaniem okupu i zagroził kradzieżą obrazu Memlinga. Zażądał zresztą wysokiej sumy. Ani przez chwilę nie mógł przypuszczać, że kustoszka mu wypłaci okup. Więc po co był list? Poza tym zrobił drugie nonsensowne posunięcie. Wskazał obraz, który zamierzał ukraść. Jednym słowem, ostrzegł przed kradzieżą konkretnego obrazu, co mogło mu znacznie utrudnić działanie, bo taki obraz musiano otoczyć szczególną opieką. A więc złodziej działał przeciw sobie. I tak samo było w Zamku Sześciu Dam. Wysyłając do barona list z żądaniem okupu za obraz Cezanne'a ani przez chwilę nie mógł ludzić się, że baron mu okup wypłaci. Przecież złodziej chyba nie tylko zna dobrze system alarmowy w zamku, ale i sytuację finansową barona. Nie mógł dostać okupu, bo baron nie ma pieniędzy. Po co więc te listy, jak pan sądzi?

- Zastanawiałem się nad tą kwestią. I doszedłem do dwóch wniosków. Po pierwsze, złodziej jest dżentelmenem i daje właścicielowi pewną szansę...

- Nie wierzę w istnienie złodziei dżentelmenów. Dżentelmen nie kradnie.

- ...po drugie, listy nie mają żadnego znaczenia.

- Jak pan to rozumie?

- Złodziej sam do siebie pisze listy - odparł Pigeon.

- Znowu obstaje pan przy koncepcji kradnącego barona - westchnąłem. - Czy i w Amboise kradł również baron? Albo złodziejką jest kustoszka?

- Nie badałem sprawy w Amboise - odparł Pigeon. - Podobieństwo między tymi kradzieżami może być pozorne. Amboise zresztą to dziedzina innej agencji ubezpieczeniowej. Muszę ograniczyć się jedynie do Zamku Sześciu Dam. Mówiłem już panu i jeszcze raz przypominam, że nie jestem policjantem. Przybyłem tu, aby zbadać okoliczności sprawy i orzec: wypłacić lub nie wypłacić odszkodowania. A propos policji, drogi panie. Gdy w ślad za baronem powróciłem do zamku, czekał tu na mnie komisarz policji z Tours.

- I co?

Pigeon lekceważąco machnął ręką.

- Policja jest bezradna. Przyzwyczajali się do działania przy pomocy potężnej maszyny śledczej. Gdy nie mogą wziąć odcisków palców, stwierdzić unieruchomienia systemu alarmowego i tak dalej, czują się jak ryba wyjęta z wody. Postanowili wywiedzieć się o nazwiska właścicieli wszystkich błękitnych helikopterów i to zdaje się wszystko, co mogą zrobić. Powiedzieli, że śledztwo w sprawie kradzieży obrazu Cezanne'a jest w toku, a jeśli chodzi o obraz Renoira, to najpierw musi być ekspertyza rzeczoznawców, potwierdzająca fakt zamiany oryginału na kopię. I odjechali.

Usłyszeliśmy dźwięk gongu wzywającego domowników na kolację. Po chwili w hallu zjawiała się Yvonne, a niemal równocześnie z nią zszedł z góry baron de Saint-Gatien. Wysoki, szczupły, o siwiejących skroniach i ujmującym uśmiechu, wyglądał na uosobienie uczciwości. Niewiarygodne wydawały się podejrzenia Pigeona, że być może ten arystokrata i dżentelmen w każdym calu, były oficer marynarki, kradnie obrazy z własnej galerii.

Yvonne zaś tego wieczoru wyglądała jak bocian. Miała na sobie czarną spódniczkę, białą bluzeczkę, włosy związane czerwoną kokardą. Trzy bocianie kolory: czerń, biel i czerwień. I te jej długie nogi, które przypominały suche gałązki lub zgoła bocianie nóżki.

- Jak się panowie czują? - zapytał nas uprzejmie baron.

Nie zdążyliśmy odpowiedzieć. Otworzyły się gwałtownie frontowe drzwi i do hallu we-

szła madame Eveline w nowym i równie ogromnym jak poprzednio kapeluszu. Tym razem przypominał nie ogród kwiatowy, a zgoła grządkę warzywną; zdawało mi się, że widzę na kapeluszu nać pietruszki i gałązkę selera.

Za madame Eveline wkroczył do hallu wysoki, niezmiernie chudy jegomość w kremowej panamie na głowie. W lewym kąciuku ust miał cygaro, a minę pełną melancholii, jakby przed chwilą wrócił z własnego pogrzebu. Zamiast krawata dyndała mu pod szyją żałobna czarna wstążka. Garnitur też miał ciemny. Wyglądał tak, jakby chciał dać do zrozumienia, że był na własnym pogrzebie, ale stało się to dość dawno i do pewnego stopnia zdążył się z tym faktem oswoić.

Madame Eveline dramatycznym gestem wskazała nam żałobnego osobnika.

- Oto pan Robinoux, detektyw prywatny z Paryża, wynajęty przeze mnie. Będzie ścigał Fantomasa. Caramba, porca miseria, musiałam uciec się do pomocy detektywa z Paryża, skoro wy, panowie - tu ręka ciotki Eveline skierowała się ku panu Pigeonowi i mnie - wy, panowie, jesteście bezradni.

Byłem ogromnie ciekawy, czego madame Eveline dowiedziała się w Paryżu o osobniku nazwiskiem François Burges. Ale oczywiście rozmowę na ten temat należało odłożyć do chwili, gdy będziemy mogli spotkać się na osobności.

Baron Raoul de Saint-Gatien na widok detektywa nie okazał ani radości, ani też niechęci czy zdziwienia. Z jego twarzy nie zniknął ujmujący uśmiech.

Skinął głową panu Robinoux.

- Bardzo mi miło poznać pana.

I zwrócił się do Yvonne:

- Niech Filip położy na stole jeszcze jedno nakrycie.

Detektyw z Paryża jakby był niemową. Nie odezwał się do nas słowem, tylko ze swego żałobnego garnituru wyciągnął kilka biletów wizytowych. Wręczył je nam kolejno, pocz-

nając od barona. Na bilecie wizytowym było napisane:

*Robinoux senior i Robinoux junior. Agencja Detektywistyczna. Tanio i dyskretnie. Paryż
Bulwar Clochardów 10.*

Zapewne wręczenie biletu było w jego przekonaniu równoznaczne z prezentacją.

Odezwał się Pigeon:

- Łaskawy pan jest seniorem Robinoux czy juniorem?
- Jestem Robinoux młodszy - odparł detektyw ledwie dosłyszalnym szeptem.
- Pigeon niegrzecznie wrzucił ramionami.
- Nigdy nie słyszałem o żadnym Robinoux...
- Bardzo mi przykro - szepnął detektyw z Paryża i stał się jeszcze smutniejszy.

Madame Eveline radośnie zatarła ręce.

- Co trzy głowy, to nie jedna. Caramba, porca miseria. Teraz mamy tu trust mózgów detektywistycznych.

Przeszliśmy do jadalni i zasiedliśmy przy stole. Gdy tylko zaczęła się kolacja, w hallu zadźwięczał telefon. Słuchawkę podniósł Filip i poprosił barona. Po chwili baron wrócił i spokojnie, jak przystało na arystokratę, oświadczył:

- Dzwonił pan Armand Durant. Nie wróci dziś z Paryża, bo pękł mu wał korbowy. Musiał w Paryżu oddać wóz do naprawy.

I dodał po chwili wahania, jakby się obawiając, że to, co powie, może sprawić przykrość jego gościom:

- Ekspertci stwierdzili, że obraz Renoira jest falsyfikatem. A więc oryginał został skradziony.

- Caramba, porca miseria! - zawołała madame Eveline i zwróciła wzrok na detektywa z Paryża. - A więc do dzieła, młody człowieku. Do dzieła!

Od tej chwili rozmowa w jadalni oczywiście obracała się wokół osoby Fantomasa. Pan

Robinoux zadawał baronowi pytania swym ledwie dosłyszalnym szeptem, baron wyjaśniał sprawę okrągłymi zdaniem. Pytania Robinoux były podchwytliwe, nie ulegało wątpliwości, że jest fachowcem w swej branży. To chyba przełamało w panu Pigeonie niechęć, jaką początkowo żywił do detektywa z Paryża. Włączył się do rozmowy i postawił przed Robinoux kwestię, którą omawialiśmy w hallu, czekając na kolację.

- Czy mógłby mi pan wyjaśnić - zwrócił się do Robinoux - jaki cel, pana zdaniem, przyświecał Fantomasowi, gdy pisał do barona listy z żądaniem okupu? Przecież wiedział, że baron okupu nie zapłaci, bo nie ma pieniędzy. A po drugie: jaki cel przyświecał złodziejowi, gdy ostrzegał, że ukradnie ten, a nie inny obraz, przez co utrudniał sobie planowaną kradzież, powodując zwrócenie baczniejszej uwagi kustosza na wymieniony obraz.

Robinoux westchnął i szepnął:

- Nie jestem jasnowidzem, proszę państwa. Skłonny jestem jednak mniemać, że złodziej pisał listy już po fakcie kradzieży, a nie przed faktem.

- Co pan przez to rozumie? - wykrzyknęliśmy chórem. Głos pana Robinoux szemrał jak niewidoczny strumyk:

- Przypuszczam, że Fantomas pisał listy z żądaniem okupu już po ukradzeniu obrazu Cezanne'a i Renoira.

- Jeśli ukradł, to po co żądał okupu? - zdumiał się baron.

Robinoux odparł:

- Obydwa te obrazy są bardzo trudne do sprzedania. A w każdym razie sprzedaż ich połączona jest z poważnym ryzykiem. Być może Fantomas, dokonawszy kradzieży, łudził się, że baron zechce odkupić od niego skradzione obrazy i to właśnie miał na myśli żądając okupu.

Pigeon roześmiał się głośno.

- To bzdura, łaskawy panie. Niemal wszyscy tu obecni, z wyjątkiem mnie, byli świadkami, jak złodziej ucharakteryzowany na mnie skradł z galerii obraz Renoira. A list w

sprawie tego obrazu napisał miesiąc wcześniej. Więc tu pańska hipoteza kupy się nie trzyma, panie Robinoux. Dziś rano zaś przyszedł list w sprawie obrazu Van Gogha.

Detektyw odpowiedział szeptem:

- Czy jest pan pewien, że Fantomas wczoraj ukradł obraz Renoira? A może wczoraj on skradł nie Renoira, bo to zrobił miesiąc wcześniej, a właśnie obraz Van Gogha?

Pan Pigeon aż usta rozdziawił, tak go zdumiało to przypuszczenie. I my również doznaliśmy uczucia, jakby niebo waliło nam się na głowę. Tak, na litość boską, tak! To było prawdopodobne. Że też nikomu z nas podobna myśl nie przyszła do głowy!

- Caramba, porca miseria! - zawołała madame Eveline. - Ten Robinoux ma głowę na karku. Przecież nikt z nas nie widział, co ukradł wczoraj Fantomas. Może Van Gogha, a nie Renoira? Chodźmy do galerii. Trzeba natychmiast sprawdzić podejrzenia pana Robinoux.

Ale baron powstrzymał ją, delikatnie podnosząc dłoń:

- Kolacja jeszcze nie skończona, Eveline. Nie zmienimy w niczym faktu pędząc w tej chwili do galerii. A pieczone może wystygnąć.

Tak, to był dżentelmen w całym tego słowa znaczeniu. Nigdy nie tracił zimnej krwi. A poza tym miał rację: nie bylibyśmy w stanie stwierdzić, czy obraz Van Gogha, wiszący na ścianie, jest oryginałem, czy falsyfikatem.

- Gdy powróci pan Durant, tym razem zawiezie do Luwru obraz Van Gogha - dodał baron. - Oczywiście, po kolacji zajrzemy do galerii. Gwoli ciekawości.

Bociania noga Yvonne trąciła mnie pod stołem.

- A to ci heca, co? - mruknęła do mnie dziewczynka, patrząc z niekłamanym podziwem na pana Robinoux.

Wyznaję, że i mnie zaimponował umysł tego oryginalnego osobnika. Gdy z madame Eveline wszedł do zamku, wydawał mi się śmieszny. Zabawna też była jego wizytówka: *Agencja Detektywistyczna. Tanio i dyskretnie*. A jednak Robinoux miał głowę na karku. No cóż,

nigdy w życiu nie miałem do czynienia z prywatnymi detektywami.

- A pan? - nieoczekiwanie zwrócił się do mnie baron. - Czy jutro również zamierza pan wyruszyć na jakąś wycieczkę?

- Tak - odparłem szczerze, bo wszak nie udałooby się ukryć tego faktu. - Razem z Yvonne i Robertem zamierzamy zwiedzić zamek w Angers. Postanowiłem bowiem obejrzeć wszystkie miejsca, gdzie działał tajemniczy Fantomas.

- Ach, tak? - baron nie okazał specjalnego zainteresowania. - No cóż, zapewne trzeba zrobić wszystko, aby wykryć złodzieja. Może i to okaże się pomocne dla naszej sprawy, a przy okazji pozna pan dolinę Loary.

Mimo spokoju, jaki zachowywał baron, pośpiesznie zakończyliśmy kolację i całą gromadą powędrowaliśmy na piętro, do galerii zamkowej.

Obraz Van Gogha wisiał w końcu sali, dość daleko od okna. Baron kazał strażnikowi zapalić wszystkie światła w galerii, obraz został znakomicie oświetlony, mogliśmy mu się przyglądać do woli. Oględzinom naszym przez jakiś czas towarzyszyło milczenie, nikt jakoś nie ośmielił się pierwszy orzec, czy wisi przed nami oryginał, czy falsyfikat.

Milczenie przerwała madame Eveline:

- Caramba, porca miseria, nigdy nie zachwycałam się malarstwem. I nigdy nie przyglądałam się w galerii obrazom... Może to i ten sam, co tu wisiał?

Pigeon chrząknął i oświadczył z powagą:

- Nie będę w tej materii zabierał głosu. To sprawa rzeczoznawców.

- Słusznie - przytaknął Robinoux.

Odezwała się Yvonne:

- Ramy są chyba te same, co przedtem...

- Ach, ramy! - zachichotał pan Robinoux.

Baron milczał patrząc na mnie pytająco. Wiedział, że studiowałem historię sztuki i jestem

z zawodu muzealnikiem.

Stwierdziłem nieśmiało:

- Ten obraz wygląda na oryginał Van Gogha. Interesowałem się kiedyś tym malarzem i oglądałem sporo jego obrazów.

- No, tak - skinął głową baron - to pocieszające. Ale nie jest pan rzeczoznawcą, prawda?

- Niestety, nie.

- Więc skoro powstała wątpliwość co do oryginalności tego obrazu, będę musiał go oddać w ręce ekspertów. Tylko ich świadectwo może się liczyć - powiedział baron.

Tak zakończyła się dyskusja przy obrazie Van Gogha. Pigeon, Robinoux i baron zaczęli sprawdzać urządzenia alarmowe przy oknach. Yvonne opuściła galerię, aby wraz z Robertem uruchomić aparaturę do widowiska „Dźwięk i światło”, bo zbliżała się już godzina dziewiąta. Madame Eveline też się wynosiła z galerii. Przy obrazie Van Gogha pozostałem ja sam, dyskretnie obserwowany przez strażnika, który udawał, że patrzy przez okno na rzekę, a w rzeczywistości nie spuszczał mnie z oka. Pamiętał dobrze sprawę z fałszywym Pigeonem. Teraz chyba każdy gość barona wydawał mu się podejrzanym.

Nie dbałem o to. Patrzyłem na *Portret lekarza* pędzla Van Gogha i starałem się przypomnieć wszystko, co mi było wiadome o tym niezwykłym artyście.

Był jednym z tych wybitnych malarzy, którzy najprędzej odeszli od panującego wówczas impresjonizmu. Albowiem żadna indywidualność nie może pomieścić się całkowicie w ramach jakiegoś jednego obowiązującego kierunku artystycznego. Renoir także po jakimś czasie zaczął odczuwać, że impresjonizm jest dla niego ślepą uliczką, przestaje go zadowalać i już mu nie wystarcza. Mówił do swych przyjaciół, że impresjonizm, notując na płótnie ulotne wrażenia i refleksy, nie pozwala na dokładne opracowanie kompozycji obrazu.

Drugim wielkim malarzem, który dość szybko odszedł od impresjonizmu, był Cezanne. Nie rezygnując z podstawowych zdobyczy tego kierunku, polegających na zrozumieniu

ogromnego znaczenia koloru, usiłował wprowadzić do obrazów ład, doskonałość kompozycyjną. *W naturze* - pisał Cezanne - *należy starać się odnaleźć formy kuli, stożka i walca*. W obrazach Cezanne'a, przede wszystkim zaś w jego martwych naturach, widać dążenie do zrealizowania takich założeń artystycznych. Jakże plastyczne, bryłowe są malowane przezeń jabłka! Tę plastyczność osiągnął nie tylko przez kształt, ale i subtelne różnice kolorów.

Albo jego słynne krajobrazy prowansalskie. Jakież wspaniałe odcienie zieleni, błękitu, żółci! A jaka głębia obrazu, osiągnięta właśnie poprzez zróżnicowanie barw. Cezanne mówił, że dla każdej odległości, dla każdego stu metrów przestrzeni stara się znaleźć inny odcień zielonej barwy.

Cezanne wśród wszystkich malarzy bliskich impresjonizmowi był właśnie tym, który ze względu na swoją odrębność i niechęć do sztuki już uznanej oburzał współczesnych. Nigdy nie sprzedał żadnego ze swych obrazów, uchodził za beztalencie, za człowieka, który ma zły smak. Dopiero przyszłość przyniosła mu ogromne uznanie. To co malował i jak malował, jego poszukiwania w naturze układów stereometrycznych stworzyły między innymi podwaliny późniejszego kierunku, zwanego kubizmem.

Renoir, Cezanne, Van Gogh... Tajemniczy złodziej miał znakomity gust. Z bogatej kolekcji barona de Saint-Gatien wybrał obrazy tych trzech wspaniałych malarzy.

„A Gauguin?” - zapytałem siebie, rozglądając się po galerii i bezwiednie poszukując płótna tego malarza, który, podobnie jak tamci, wcześniej zerwał z impresjonizmem, choć również nie zrezygnował ze zdobyczy artystycznych tego kierunku.

„Może po Van Gogh'u Fantomas spróbuje ukraść obraz Gauguina?” - pomyślałem.

W galerii barona wisiało płótno Gauguina: *Trzy nagie dziewczęta z Tahiti na piaszczystej plaży*.

Gauguin był nie tylko interesującym malarzem, lecz i niezwykłym człowiekiem. Dla swej sztuki wciąż szukał coraz to nowych tematów, ale nie w salonach, w miastach czy na

przedmieściach, lecz w sztuce ludowej, a nawet egzotycznej. Z kawiarni paryskich uciekł najpierw do wiosek bretońskich, później na wyspę Martynikę, a wreszcie na Tahiti, gdzie żyjąc w ubóstwie, tworzył wspaniałe dzieła malarskie, usiłując przeniknąć w świat magii, pradawnych kultów religijnych i egzotycznych mitów. Jego obrazy z tego okresu nasycone są intensywnym słońcem tropików i wspaniałymi kolorami, które odnajdywał w bujnej podzwrotnikowej roślinności. Znaczący uważają, że u Gauguina należy doszukiwać się nie tylko prawdy, która narzuca się sama poprzez opowieść wyrażoną na płótnie, ale również pewnej symboliki - jakby malarz chciał przedstawić nam nie tylko samych ludzi, lecz i głębszy sens ich przeżyć i wyobrażeń.

Powróćmy jednak do Van Gogha.

Podobnie jak Cezanne był samoukiem. Malował krótko, bo zaledwie dziesięć lat. Lecz jego życie otoczone było romantyczną legendą. Odznaczał się ogromną pasją malarską, w sztuce chciał wyrazić całego siebie, dążąc do niedoścignionego ideału artystycznego. Żył krótko, trawiony wieczną gorączką poszukiwań. Zmarł tragicznie, samotny, niezrozumiany, niedoceniony. I podobnie jak dramatyczne było jego życie, tak i dramatyczne są jego obrazy. Toczy się w nich pełna napięcia walka światła i kolorów, wszystko ma niezwykle ekspresyjną formę. Jego obrazy odznaczają się intensywnym kolorytem, znać na nich niemal każde dotknięcie pędzla. Malował krótkimi, nerwowymi „przecinkami”.

Obraz, który wisiał przede mną, twarz portretowanego człowieka, kompozycja i kolorystyka urzekały siłą wyrazu: człowiek pokazany przez Van Gogha zdawał się toczyć z sobą wewnętrzną walkę. Jego twarz była pełna napięcia. Tak, Van Gogha nie interesowało, czy człowiek przez niego malowany jest brzydki, czy ładny. Pragnął wyrazić prawdę o jego życiu duchowym.

Czy obraz, który wisiał przede mną, malował Van Gogh, czy też fałszerz, świetnie umiejący podrobić mistrza?

„Nie - mówiłem sobie. - To jest oryginał”. Tak wyraźnie, tak dokładnie widać było każdy ruch pędzla, każdą plamkę. Falszeryz nie potrafiłby tak precyzyjnie naśladować mistrza, ograniczyłby się do skopiowania całości. W falsyfikacji kontury nie byłyby tak wyraźne, a pociągnięcia pędzlem mniej pewne. I podpis. To przecież podpis Van Gogha, autentyczny, taki oglądałem na wielu jego płótnach.

Ale czyż nie stykałem się już z genialnymi falszeryzami obrazów? I znowu opadły mnie wątpliwości, znowu wpatrywałem się w wiszącą na ścianie *Portret lekarza*.

Nagle ktoś trącił mnie w ramię i wyrwał z zamyślenia.

Była to madame Eveline. Odszukała mnie w galerii, aby porozmawiać o swojej misji w Paryżu.

- Spotkałam Vincenta i wraz z nim odwiedziłam kilku paryskich marchandów - zaczęła swoją relację. - Wszędzie pytałam o tego Burgesa i wszędzie otrzymywałam odpowiedź, że nikt takiego człowieka nie zna, nikt o nim nie słyszał. To dziwne, prawda?

- Owszem. Chciał przecież kupić od barona obrazy Renoira i Cezanne'a. Jeśli jest kolekcjonerem i interesuje się malarstwem, nie sposób, aby nigdy nie kontaktował się z handlarzami obrazów. Tym bardziej by go znali, gdyby sam był marchandem.

- Caramba, porca miseria! - zawołała madame Eveline. - Z tego wynika, że on podał fałszywe nazwisko.

- Tak jest, madame.

- Innymi słowy, był pan na dobrym tropie, tylko że trop się urwał.

- Nie traćmy nadziei, madame - powiedziałem, choć byłem bardzo rozczarowany.

François Burges był, jak na razie, jedynym punktem zaczepienia dla dalszej działalności detektywistycznej. A w tej chwili straciłem nawet i jego.

Zeszliśmy do hallu. Skłoniłem się madame Eveline, dziękując jej za wykonanie zadania.

Samotnie opuściłem zamek, aby obejrzeć demonstrowane właśnie widowisko „Dźwięk i

światło”.

Zapadła noc. Na tarasie siedzieli w wiklinowych fotelach turyści. Po murach Zamku Sześciu Dam sunęły reflektory, wydobywając jego kontury, wieżyczki, pobłyskując w szybach okiennych, odkrywając sklepienia dawnego mostu. Towarzyszyła im muzyka z głośników. Usłyszałem dźwięk rogu - to chyba w starym Le Château de Six Dames któryś z królów szykował się do wyruszenia na łowy.

Ciekaw byłem, jak wygląda urządzenie do realizacji widowiska „Dźwięk i światło”. Omijając gości siedzących na tarasie skierowałem się do donżonu, gdzie spodziewałem się zastać Yvonne i Roberta.

Ale zanim doszedłem do potężnej wieżycy, niemal otarłem się o Filipa, który żywo gestykulując rozmawiał o czymś z człowiekiem wyglądającym na turystę. Był to zresztą chyba turysta, jeden z Anglików, którzy przyjechali, aby obejrzeć Zamek Sześciu Dam. Rozmowa toczyła się w języku angielskim. Nie zdziwiło mnie, że Filip, lokaj barona, zna angielski. Przecież służył z baronem w marynarce, a marynarze, jak wiadomo, znają różne języki.

O czym rozmawiał służący barona z turystą - nie wiem. I nawet nie starałem się dowiedzieć. Ale nie byłem tu jedynym obserwatorem, o czym przekonałem się później.

Raptem zapadła ciemność. Zapewne przewidywał ją program widowiska. Za chwilę bowiem zapaliły się nowe reflektory, a dźwięki muzyki opowiadały o polowaniu, odbywającym się w pobliskich borach.

Ta muzyka i obrazy tak mnie zafascynowały, że przystanąłem w mroku starego donżonu i przez jakiś czas poddawałem się czarowi widowiska.

Wzrok mój jednak pozostał bystry i czujny. Zanotowałem w pamięci chwilę, gdy Filip rozstał się z angielskim turystą. Potem zauważyłem, że do Filipa podszedł baron. Obydwaj przespacerowali się w moim kierunku, ale nie doszli do donżonu. Zatrzymali się, rozmawiając.

A w tej chwili muzyka na jakiś czas przycichła, tylko ruch reflektorów stał się żywszy.

- Targowałem się z nim, panie baronie - usłyszałem głos Filipa - ale ten facet to twarda sztuka. Przestał jednak na moją cenę, nie popuściłem ani franka. Oczywiście, nie powiedziałem, że to pan kryje się za tą sprawą.

- To dobrze, Filipie. A kiedy on da pieniądze?

- Jak tylko dostarczę mu towar, panie baronie.

- A jak się z nim umówiłeś?

- Konspiracyjnie, panie baronie. Mamy przecież na karku aż trzech detektywów. Któryś z nich mógłby się zainteresować, co ja wynoszę z zamku. Jutrzejszej nocy wyniosę towar tajnym przejściem i zabiorę go łodzią. Z tym człowiekiem umówiłem się w dole rzeki. Przyjedzie swoim wozem.

- To wspaniale, Filipie. Najbardziej boję się kompromitacji.

- Załatwiłem sprawę, panie baronie. Ale serce mi krwawi. Czy musi się pan tego wyzywać?

- Nie mogę żyć bez franka, Filipie. Przecież nawet u ciebie jestem trochę zadłużony. Nie rozpaczaj, tylko chodź ze mną do pracowni. Musimy wszystko przygotować na jutrzejszą noc.

I obydwaj spiesznym krokiem pomaszerowali do zamku.

- Pssst! - syknął ktoś obok mnie. I z mroku otaczającego donżon wychylił się Pigeon.

- Słyszał pan? - zapytał mnie szyderczo.

Nie miałem pojęcia, co sądzić o tej dziwnej rozmowie. Wyglądała jednak bardzo podejrzanie.

Pigeon radośnie zatarł ręce.

- Jutro przyłapię ich na gorącym uczynku. I otrzymam nagrodę, sto tysięcy franków. Tak oto wyjaśni się zagadka tajemniczego Fantomasa. Pigeon nie jest głupcem.

Był jak stary ogar. Gdy raz wszedł na trop, który wydawał się wieść do celu, trzymał się go z uporem. I może miał rację?

- A pan jedzie do Angers? - uśmiechnął się ironicznie.

- Tak - skinąłem głową.

- No cóż, życzę powodzenia. I oczywiście proszę o całkowitą dyskrecję w sprawie barona. Mam nadzieję, że nie jest pan jego współnikiem.

Widowisko właśnie się skończyło. Anglicy wracali przez zwodzony most do swoich autokarów i samochodów, stojących na parkingu przed bramą wjazdową.

Z donżonu wyszli Yvonne i Robert. Pan Pigeon pożegnał mnie i odszedł do zamku, a ja skierowałem się do młodych ludzi.

- Myślałam, że pan przyjdzie wcześniej i zobaczy, jak robimy to widowisko - z odrobiną żalu powiedziała Yvonne.

- Zatrzymałem się dłużej w galerii - odrzekłem wymijająco. Byłem zamyślony i trochę roztargniony. Rozmowa barona z Filipem, której nie rozumiałem, lecz podobnie jak Pigeon musiałem uznać ją za podejrzaną, obudziła we mnie wewnętrzny niepokój i wprowadziła w stan napięcia. Dziewczynka natychmiast to wyczuła.

- Czym się pan martwi? - zapytała.

- Fura kłopotów z tym Fantomasem - odpowiedziałem.

Skinęła głową, że mam rację. Ale jaka była rada na te kłopoty?

- Może pójdziemy na spacer brzegiem rzeki? - zaproponował Robert.

- Dobrze - przystałem na tę propozycję spodziewając się, że może uda mi się wyciągnąć od młodych ludzi jakąś informację o baronie.

Noc była piękna. Ciepła i niezwykle cicha. Na starych platanach, rosnących w parku, nie drgnął nawet listek.

Poprowadzili mnie zwirowaną alejką do ogrodu Diany de Poitiers, pięknej faworyty króla

Henryka II.

Ogród był ogromny, chyba sto pięćdziesiąt metrów długi i sto metrów szeroki. Przycięte równo żywopłoty i rabaty układały się w piękne „esy”, na środku był okrągły klomb. Puszyste trawniki dopełniały całości, tworząc jakby jeden olbrzymi dywan o wspaniałym, kolorowym wzorze.

- Diana de Poitiers - zaczął opowiadać Robert, bo wiedział już, jak bardzo interesuje mnie historia - lubiła dwa kolory: czarny i biały. A miała tak potężny wpływ na króla Henryka II, że i on upodobał je sobie. To ona podrzuciła królowi pomysł, aby dwudziestoliwrowym podatkiem obłożyć każdy dzwon w państwie. Część dochodów z tego podatku jej również przypadła. Słynny pisarz Rabelais tak wtedy pisał: *Król uwiązał wszystkie dzwonki w królestwie na szyi jednej klaczy.*

- A Katarzyna Medycejska? - spytałem Roberta. - Wiem, że po śmierci Henryka II wypędziła Dianę i sama zamieszkała w tym zamku.

- Nienawidziła Diany, bo król darzył ją względami, radził się i jej rad słuchał. Diana była piękniejsza i inteligentniejsza od Katarzyny. Ale zasługą Katarzyny Medycejskiej jest zbudowanie galerii na moście w naszym zamku. Żeby dokuczyć Dianie, w zamian za nasz, oddała jej ponury zamek w Chaumont.

- Myślę, że nie doceniasz Katarzyny - powiedziałem. - Za życia swego małżonka, Henryka II, pozostawała w cieniu. Ale po jego śmierci, przez trzydzieści lat odgrywała dominującą rolę w historii Francji. Z Włoch wyniosła głęboką kulturę, umiłowanie piękna i zbytku. Owszem, miała skłonności do intryg i, jak powiadają, bywała w polityce wiarołomna. Lecz tacy właśnie byli ówcześni książęta włoscy. Ciekaw jestem, czy przebudowując ten zamek na siedzibę dla siebie, zrobiła tu jakieś tajne przejścia, tak jej potrzebne dla przeprowadzania politycznych intryg, ukradkowego porozumiewania się z najróżniejszymi szpiegami i posłańcami?

- Pytałam o to stryja - powiedziała Yvonne. - Ale stryj mówi, że w naszym zamku nie ma tajnych przejść.

Chrząknąłem. Przecież słyszałem, jak Filip mówił do barona, że jutrzejszej nocy wydo stanie się z zamku tajnym przejściem. A więc było w zamku tajne przejście. Stryj okłamywał Yvonne. Może i w innych sprawach postępował podobnie?

Rzecz jasna, nie mogłem im powiedzieć o podsłuchanej rozmowie. Ani o tym, co się szykowało na jutrzejszą noc. Przyznaję jednak, że było mi przykro z powodu kłamstwa barona, który wydawał mi się taki sympatyczny.

Nie odezwałem się już ani słowem. Doszliśmy do końca ogrodu Diany de Poitiers, a natrafiwszy na małą ławeczkę, usiedliśmy tuż nad brzegiem rzeki.

Objęła nas noc. U naszych stóp cichutko szemrała rzeka, płynąca do sklepień starego mostu, na którym Katarzyna Medycejska wzniosła galerię. W kilku oknach zamkowych paliło się światło. Drugi brzeg rzeki tonął w ciemnościach, ale zdawało mi się, że był tu bliżej nas. Czyżby rzeka zwęzła się w tym miejscu?

Zapytałem o to Yvonne.

- Nie, proszę pana. W tym miejscu znajduje się wysepka. Rosną na niej drzewa, krzaki, trawa. Jest zupełnie bezludna. Szkoda, że dziś księżyc nie świeci, bo zobaczyłby ją pan nawet w nocy. A z pańskich okien nie widać jej na rzece?

- Okna mojego pokoju wychodzą na drugą stronę - przypomniałem Yvonne.

- W ubiegłym roku, latem, zbudowaliśmy na wysepce szałas z gałęzi - opowiadał Robert.

- Przyjemnie się na niej opalać, bo ma piaszczyste brzegi.

- I jest bezludna? - upewniłem się.

Nareszcie zrozumieli, dlaczego o to pytam. Oni również zauważyli błysk światła na wyspie.

Ktoś tam zapalał i gasił latarkę elektryczną. Długie i krótkie błyski latarki przecinały

ciemność nocy, kierując się w stronę zamku.

- Ktoś przyplynał tam łodzią i bawi się światłem - domyślał się Robert.

- A może ten ktoś czegoś szuka w ciemnościach? - zastanawiała się Yvonne.

Ścisnąłem ich za ręce.

- Zwróćcie uwagę! Długi błysk... krótki, krótki, długi... długi. Ten ktoś posługuje się alfabetem Morse'a.

- Nadaje morsem? - zdumiał się Robert.

- Tak. I to do kogoś, kto jest w zamku i patrzy w tę stronę z któregoś okna - powiedziałem.

Gdy należałem do harcerstwa, uczyłem się alfabetu Morse'a. Zacząłem więc sylabizować: „U-w-a-ż-a-j n-a c-u-d-z-o-z-i-e-m-c-a z P-o-l-s-k-i...”

I raptem stało się coś, co sprawiło, że Yvonne wydała okrzyk zdumienia.

Ciemne dotąd okienko nad galerią zaczęło rozbłyskiwać. Ktoś w zamku zapalał i gasił lampę elektryczną.

- To okno od łazienki - stwierdził Robert.

Sylabizowałem: J-u-t-r-o j-e-d-z-i-e d-o A-n-g-e-r-s. P-i-l-n-u-j-c-i-e g-o.

Yvonne niecierpliwiła się.

- Biegnijmy do zamku. Może tego kogoś schwytemy, jak będzie wychodził z łazienki.

Kto to jest?

- To Fantomas! - zawołał Robert.

Znowu ścisnąłem ich ręce.

- Uspokójcie się - poprosiłem. - Już przestał nadawać. Za chwilę wyjdzie z łazienki, więc i tak nie będziemy wiedzieli, kto to był. Zdaje mi się, że do tej łazienki każdy z domowników ma dostęp, prawda?

- Tak, proszę pana - szepnął Robert. - Pan sądzi, że ktoś z domowników jest Fantoma-

sem?

- Nie. Ale jego pomocnikiem - powiedziałem. Przerwaliśmy rozmowę. Oto na ciemnej toni rzecznej pojawił się czarny, podługowaty kształt.

Od wyspy odbijała łódka. Płynęła szybko z prądem rzeki, wpadła między filary mostu pod galerią i zniknęła nam z oczu.

- I co teraz zrobimy? - zapytał mnie Robert.

- Nic - odrzekłem. - Wiemy, że ktoś z obecnych w zamku jest współnikiem Fantomasa. To dobra informacja, ale musi pozostać naszą tajemnicą, aby ptaszka nie spłoszyć. Wiemy, że Fantomas będzie mnie śledził. Co wieczór trzeba tu się zaczynać i zapoznawać z „korespondencją” złoczyńców. Może się to nam przydać, prawda?

ROZDZIAŁ VIII

- Świetny humor Pigeona • Co jadają Tureńczycy • Poszukiwania podejrzanego
- Niespodzianka • W rycerskiej twierdzy • Fulko Nerra i inni • Jak skradziono obraz Caravaggia • Znowu opryszek z trzcinką • Poznajemy Pierre Marchanta • Jak wyglądał obraz Van Gogha • Niezwykły węch Marchanta • Nowe podejrzenia

W porannej prasie paryskiej znalazłem notatkę zatytułowaną *Trzy zero dla Fantomasa*:

Jak poinformowały nas źródła miarodajne, potwierdziły się przypuszczenia, że mimo wzmoczonej czujności i sprowadzenia aż dwóch detektywów, Fantomasowi udało się skraść z galerii Zamku Sześciu Dam znakomity obraz Renoira. Ekspertyza dokonana w Luwrze wykazała, że w galerii na miejscu „Plaży” Renoira zawisła kopia. Istnieją uzasadnione podejrzenia, że podobny los spotkał również „Portret lekarza” pędzla Van Gogha. Do Zamku Sześciu Dam przybył ostatnio trzeci detektyw, pan Robinoux z Paryża. Czy trzem detektywom, panu Pigeonowi z Agencji Ubezpieczeniowej, Panu Samochodzikowi z Polski i panu Robinoux, uda się zdemaskować tajemniczego, nieuchwytnego złodzieja obrazów? Jak do tej pory, jest trzy zero dla Fantomasa.

Odłożyłem gazetę z uczuciem gniewu. Nie ulegało wątpliwości, że w naszym zamku krył się informator prasy, który działał bardzo sprawnie. Złościło mnie to, że nie wiem, kim jest. Jakże miałem wskazać pomocnika Fantomasa i zdemaskować jego samego, skoro nawet w takiej sprawie nie byłem w stanie niczego wyjaśnić?

Gniew minął mi po śniadaniu, gdy z Yvonne i Robertem wsiadłem do wehikułu, aby pojechać do Angers.

W Tours dogonił nas pan Pigeon swoim humberem. Okazało się, że ten szczwany lis, podejrzewając barona, nie zrezygnował jednak z mojej metody kroczenia śladami Fantomasa. Idąc za moim przykładem, chciał się również zapoznać z okolicznościami kradzieży obrazów, dokonanych w zamku nad Loarą.

Dopadł nas na przedmieściu Tours i zagroził drogę humberem, tak że musiałem zatrzymać wehikuł.

Pigeon był w znakomitym humorze.

- Cudzoziemcze - powiedział podchodząc do wehikułu. - Dogoniłem cię, bo przeraziła mnie myśl, że być może w swej pogoni za Fantomasem zapominasz o rozkoszach podniebienia. Zląkłem się, że jadąc przez Tours nie wstąpisz do żadnej ze słynnych w tym mieście restauracji, a tego nie mógłbym sobie darować jako Francuz z krwi i kości.

To mówiąc Pigeon dał nam znak, abyśmy jechali za jego wozem.

- Jest w świetnym humorze - stwierdziła Yvonne. - Tak się zachowuje, jakby już miał w portfelu sto tysięcy dolarów.

- Tak, to prawda. Humor mu dopisuje - zgodziłem się z dziewczynką.

- Zdaje mi się, że chce się wobec pana zabawić w przewodnika - z niechęcią dorzucił Robert. - A ja też mógłbym pana oprowadzić po Tours. Przecież Yvonne i ja chodzimy tutaj do liceum i mieszkamy w Tours w internacie.

Pigeon zaparkował swój wóz przed dużą restauracją w stylu Ludwika XVI, przy ulicy Nationale, która przebiega przez środek starej dzielnicy miasta i łączy dwa nadbrzeża - nad Loarą i nad rzeką Cher. Tours położone jest na płaskim terenie między tymi dwiema rzekami. O kilka kilometrów dalej rzeka Cher łączy się z Loarą.

Nie chcąc sprawiać przykrości sympatycznemu Robertowi, przeprosiłem Pigeona i oświadczyłem mu, że chętnie zjem z nim obiad, lecz najpierw postanowiłem zwiedzić miasto. Pozostawiliśmy więc wehikuł obok wozu Pigeona i, umówiwszy się z nim na spotkanie

za dwie godziny w wybranej przez niego restauracji, poszedłem z młodzieżą zwiedzać miasto.

A jest tu co oglądać.

Tours liczy dziś prawie sto tysięcy mieszkańców. Jest to miasto bardzo stare, początki jego sięgają ponoć IV wieku. W tysiąc lat później, to jest w końcu XIV wieku, rozwinęło się tu tkactwo. Po dwustu latach było tu już prawie dwadzieścia tysięcy tkaczy. Zabytki ich rękodzielniczej sztuki oglądać można w bogatym w eksponaty Muzeum Sztuki, mieszczącym się w pałacu dawnego arcybiskupstwa.

Loara w Tours ma pięćset metrów szerokości, miasto położone jest na lewym brzegu, a na prawym widać wzgórze Saint-Cyr i Saint-Symphorien. Duży kamienny most z XVII wieku przechodzi między dwiema zielonymi wysepkami na Loarze i wiedzie do starej dzielnicy, na ulicę Nationale.

Robert i Yvonne poprowadzili mnie najpierw w kierunku wschodnim, do katedry Saint-Gatien, w której budowie wyśledzić można ewolucję stylu gotyckiego, od jego prymitywnych początków w wieku XIII. Katedrę, bardzo piękną, zdobią cenne witraże i lśniąca fasada. Dwie renesansowe wieże katedralne górują nad całym miastem.

W sąsiedztwie katedry, nieco na lewo, znajduje się klasztor de la Psalette z przełomu XV i XVI wieku. To w tej przepięknej budowli, jakby przytulonej do monumentalnej katedry, słynny pisarz francuski Honoriusz Balzac⁴⁶, urodzony w Tours w 1799 roku, umieścił mieszkanie swego bohatera, proboszcza z Tours.

Z katedry, wstąpiwszy tylko na chwilę do Pałacu Sztuk Pięknych w starym arcybiskupstwie, powędrowaliśmy na zachód ulicą Colberta, bardzo starą arterią miejską. Po drodze

⁴⁶ **Honoré de Balzac** (1799-1850) - znakomity pisarz francuski, realista, autor *Komedii ludzkiej*, obejmującej 85 powieści i opowiadań z życia społeczeństwa francuskiego lat 1816-1848. Na język polski wiele jego utworów przełożył Tadeusz Boy-Żeleński.

zwiedziliśmy malowniczy Foire-le-Roi. A potem wkroczyliśmy do dawnej dzielnicy handlowej, rozciągającej się na zachód od ulicy Nationale. Pełno tu było krętych uliczek i zabytkowych zajazdów, a na placu Plumereau zachwyciły nas bardzo stare, drewniane domy o niezwykle ostrych ścianach szczytowych. Później Robert zaprowadził nas na plac du Grand Marché, czyli Wielki Rynek, i pokazał przepiękną fontannę Beaune, wykonaną w 1516 roku według projektu Michała Colombe. Fontanna jest niezwykle delikatnym dziełem renesansowej sztuki, wygląda jak łodyga dziwnego, zachwycającego kwiatu.

W Tours, jak wspomniałem, jest co zwiedzać. Na Starym Mieście niemal wszystkie ulice warte są obejrzenia. A resztki dawnej katedry Świętego Marcina? A dom Tristana l'Hermite z końca XV wieku i ulica Brogonnet? A pałac Gouin, arcydzieło renesansowej sztuki?

Lecz w restauracji przy ulicy Nationale czekał już na nas pan Pigeon. Była pora obiadu, detektyw zarezerwował dla nas stolik i, jak się okazało, zamówił nawet specjalne potrawy.

- Gdzie pan się znajduje, cudzoziemcze? - pytał sadzając nas przy stole. - W Tours, prawda? A Tours to stolica Tureanii, drogi panie. Z tych stron wywodzi się kilku wielkich ludzi: Descartes⁴⁷, Balzac i Rabelais, to powinno panu wystarczyć. Szczególnie ten ostatni uosabia wszystkie cechy tej wspaniałej krainy. Co zamówiłem na obiad? Wieprzowinę po tureńsku i zieloną kapustę smażoną na maśle. A na deser słynne ciasto tureńskie. I trochę owoców. Śliwki suszone, specjalność Tours. Albowiem, cudzoziemcze, ważne jest, gdzie się co je. I tak, jeśli pan kiedyś pojedzie do Vauvray, proszę skosztować kielbasy z piersi kurzej. Jeśli ma pan ochotę na dobrą rybę, to należy tam zamówić szczupaka w maśle, węgorza w sosie pikantnym przyrządzonym na winie lub faszerowanego leszcza. Ach, jakże smakowita jest dziczyzna z Sologne albo tamtejsze kotlety w śmietanie. A w Chinon, proszę pana, na-

⁴⁷ René Descartes, Kartezjusz (1596-1650) - znakomity filozof i matematyk, twórca geometrii analitycznej, czołowy przedstawiciel nowożytnego racjonalizmu. Jego *Rozprawę o metodzie* przełożył Tadeusz Boy-Żeleński.

leży spróbować kurczaka w winie. Czy jadł pan już szparagi z Vineuil? A sery, drogi panie! Wspaniały jest niebieski ser z Olivet albo śmietankowy ser andegaweński. Do Saumur musi pan się wybrać na tamtejsze torciki pigwowe. Ach, cóż to za delicje!

To mówiąc Pigeon głośno cmokał, jakby już próbował tych wszystkich specjalów.

Żwawo zabraliśmy się do wieprzowiny przyrządzonej po tureńsku, a pan Gaspard Pigeon zabawiał mnie rozmową:

- Nie urodziłem się tutaj, miły panie - opowiadał - ale lubię tu przyjeżdżać. Tureńczycy mają duże poczucie humoru i wiele zdrowego rozsądku. Nie są to ludzie beztroscy i leniwi, bo jak pan chyba zauważył, wiele trudu wymaga zagospodarowanie tych poletek wydartych dolinie Loary. A ileż równowagi ducha muszą wykazać, gdy grad zniszczy winnice! Poeta Alfred de Vigny⁴⁸, który pochodził z tych stron, tak mówił o Tureńczykach:

Dzielny lud Tureanii jest prosty, jak proste jest jego życie, łagodny jak tutejsze powietrze, silny jak gleba, którą uprawia. W spalonych słońcem twarzach nie widać chłodu i rezerwy ludzi północy, ani żywiołowości i energii ludzi południa. Oblicze tureńskiego człowieka jest szczerze i prostoduszne. Oto lud, z którego wywodzi się święty Ludwik⁴⁹.

Tutaj, cudzoziemcze, usłyszysz najstarszy, najpiękniejszy język francuski. No, niechże się pan rozchmurzy. O czym pan tak pilnie rozmyśla, jedząc tę wieprzowinę?

- O Fantomasie - odparłem szczerze. - Trapię się tą sprawą.

- O Fantomasie? - oburzył się Pigeon. - Ależ, drogi panie, nie wolno psuć sobie apetytu.

⁴⁸ **Alfred de Vigny** (1797-1863) - pisarz francuski, jeden z głównych przedstawicieli romantyzmu. Na polski przełożono powieść historyczną *Cinq-Mars, czyli spisek na Ludwika XIII* oraz dramat *Chatterton*, należący do najwybitniejszych dzieł romantycznych.

⁴⁹ **Święty Ludwik, Ludwik IX** z dynastii Kapetyngów (1214-1270) - król francuski. Ukrócił samowolę feudałów powołując sądy królewskie, tzw. parlamenty. Pokojowa polityka zapewniła mu ogromny autorytet moralny. Popierał rozwój nauki (początki Sorbony), wprowadził jednolity system monetarny. Brał udział w dwóch krucjatach do Ziemi Świętej.

Tę sprawę zostawmy na czas, gdy będziemy już mieli pełne brzuchy. Czy pan sądzi, że Fantomas w równym stopniu o nas się martwi?

Roześmiałem się serdecznie. Odniosłem wrażenie, że swoimi zachwytnymi nad Turenią Pigeon zjednął sobie sympatię Roberta, który był Tureńczykiem.

* * *

W najlepszej komitywie, dwoma samochodami, wyruszyliśmy teraz do Angers.

- Jak pan sądzi? Czy ktoś nas śledził w Tours? - w drodze do zamku zapytał mnie Robert. Udzielił mi się dobry humor Pigeona.

- Nikogo nie zauważyłem. Ale jeśli nawet ktoś nas śledzi, to najwyżej doniesie Fantomasowi, że jedliśmy wieprzowinę po tureńsku, zieloną kapustę smażoną na maśle i ciasto tureńskie.

Ale świadomość zaobserwowanej przez nas wczoraj nocnej „korespondencji” złoczyńców nie dawała nam spokoju.

- Wiemy z całą pewnością - odezwał się Robert - że w naszym zamku znajduje się pomocnik Fantomasa. Wymieńmy więc wszystkich mieszkańców i zastanówmy się, który z nich jest najbardziej podejrzany. A więc po kolei: baron i Filip, madame Eveline i pan Pigeon oraz detektyw Robinoux. Mieszkańcem zamku jest i mój ojciec, ale on przecież znajduje się w Paryżu. Tylko pięć osób wchodzi w grę...

- Stryja odrzuć. Głowę daję za jego uczciwość - stwierdziła Yvonne.

- O, nie. Tak nie można - pokręcił głową Robert. - Albo wszystkich bierzemy pod uwagę, albo nikogo.

- A dwie pokojówki? A kucharka? A dwaj strażnicy? A dwaj ogrodnicy? - przypomniałem chłopcu. - Czy sądzisz, że nikt z nich nie może być współpracownikiem Fantomasa?

- Ogrodnicy? - sceptycznie odniósł się do tej myśli. - Oni rzadko wchodzą do zamku, a tym bardziej byłoby dziwne, gdyby ktoś ich zobaczył wchodzących do łazienki na piętrze. Co innego pokojówki. Przecież one sprzątają łazienkę. Strażnicy też mają do niej dostęp.

- Jak z tego wynika, liczba osób, które mogły wieczorem znaleźć się w łazience, jest spora - powiedziałem. - I dlatego wydaje mi się, że tą metodą do niczego nie dojdziemy. Za dużo tajemnic kryje się w Zamku Sześciu Dam. Yvonne, czy domyślasz się już, kto jest informatorem prasy?

- Nie - westchnęła dziewczynka - ale wkrótce będę wiedziała. Zresztą, czy to takie ważne? O wiele ważniejsze jest, kto pomaga Fantomasowi.

- Ale jeśli to na przykład pan Pigeon jest pomocnikiem Fantomasa? - zastanawiał się chłopiec. - I pojechał za nami, aby nas śledzić? Nigdy nie odkryjemy, kto nas śledzi, jeśli to będzie ktoś z naszego grona.

- Sądzisz, że i ten drugi Pigeon nie jest prawdziwym Pigeonem? - wzruszyłem ramionami. - Nie, mój drogi. Daję głowę za to, że nasz Pigeon nie współpracuje z Fantomasem, a ma ochotę chwycić go za kark i wziąć premię w wysokości stu tysięcy franków. Kierując się twoją zasadą, należałoby też podejrzewać madame Eveline, że nas śledzi, pomrukując „caramba, porca miseria”.

Roześmieliśmy się, tak absurdalny wydał nam się ten pomysł. Ciotka Eveline mogła jeździć szybkimi samochodami, mogła powodować kraksy, ale do roli pomocnika Fantomasa chyba się nie nadawała, a tym bardziej nie umiałaby kogoś obserwować bez wzbudzenia podejrzeń.

Ale jakież było nasze zdumienie, gdy w Angers zobaczyliśmy alpine renault ciotki Eveline, a w jej samochodzie detektywa Robinoux. Wszak jeszcze wczoraj pan Robinoux dość sceptycznie odniósł się do mojej metody poszukiwań złodzieja. Dziwne, prawda?

Lecz o wszystkim po kolei.

Zanim przybyliśmy do zamku w Angers i spotkaliśmy tam ciotkę Eveline, zwiedziliśmy najpierw miasto i jego zabytki.

Angers to duże miasto, stolica Andegawenii. Położone jest nad rzeką Maine, osiem kilometrów od miejsca, w którym wpada do Loary. Miasto liczy ponad sto trzydzieści tysięcy mieszkańców, a poza tym, że znajduje się tu jeden z najwspanialszych rycerskich zamków Francji, ma jeszcze wiele innych powodów do dumy.

Z czego słynie Angers? Przede wszystkim rozwinięty jest tu handel winem, likierami, warzywami, nasionami, kwiatami, ziołami leczniczymi i sadzonkami drzew. Co roku odbywają się w Angers słynne targi wina, na które zjeżdżają się znawcy z całej Francji. W Angers działa nawet specjalne bractwo winiarzy zwane „Sacavins”. Ale oprócz handlu winem Angers słynie od sześciu wieków z przemysłu włókienniczego, w mieście są tkalnie i przędzalnie. Produkuje się tu również słynne parasolki i parasole. A każdego roku w czerwcu w murach zamkowych odbywa się festiwal muzyczny, tak zwany „Festiwal d’Angers”.

Angers posiada oprócz zamku bardzo wiele wspaniałych zabytków, jak choćby katedrę Świętego Maurycego, piękną budowlę z przełomu XII i XIII stulecia. Tu zobaczyć można jeden z najslawniejszych witraży i malowideł na szkle z XII i XIII wieku. W Muzeum Sztuki są obrazy Watteau i wielu innych malarzy, a przede wszystkim zbiór dzieł słynnego rzeźbiarza Davida d’Angers⁵⁰, żyjącego na przełomie XVIII i XIX wieku.

W Angers warto zwiedzić Hotel Pincé - pełen uroku zabytek renesansowej architektury. Znajduje się tam kolekcja bezcennych dzieł sztuki pochodzących z różnych stron świata, ofiarowana miastu przez hrabiego Turpin de Crissé. A jeśli ktoś głębiej interesuje się architekturą i słyszał o słynnym „sklepieniu andegaweńskim”, to obejrzeć je może w budynku, w

⁵⁰ **Pierre Jean David d’Angers** (1788-1856) - rzeźbiarz francuski, zajmujący się głównie rzeźbą portretową i medalierstwem. Tworzył pomniki, popiersia, medale i medaliony, m.in. Mickiewicza, Lelewela, A.J. Czartorskiego.

którym obecnie znajduje się Muzeum Archeologiczne, a ongiś był szpital Świętego Jana, oraz w kościele Świętego Sergiusza, należącym dawniej do opactwa benedyktynów. Poza tym na szczególną uwagę zasługuje kościół Świętej Trójcy z wieku XII, kolegiata Świętego Marcina, dawny stary klasztor Cierniowej Korony i opactwo Świętego Mikołaja, gdzie obecnie mieści się dom sióstr Dobrego Pasterza. Wielka, biała fasada dawnego opactwa widoczna jest z wielu miejsc w Angers.

Nie dysponowaliśmy nadmiarem czasu, więc po pobieżnym obejrzeniu katedry Świętego Maurycego pojechaliśmy samochodem na plac Świętego Krzyża i przez ulice Montaut i Olsellerie dotarliśmy na Bulwar Zamkowy.

Zaparkowałem wóz przed zamkiem i tutaj, ku naszemu wielkiemu zdumieniu, w długim szeregu przeróżnych wozów zobaczyliśmy alpine renault ciotki Eveline.

Ona sama w ogromnym kapeluszu, przystrojonym jakimś wiechciem z polnych kwiatów, siedziała na ławeczce obok bramy zamkowej i pałac papierosa zdawała się obserwować pana Robinoux, który tym razem miał minę bardziej melancholijną niż zazwyczaj.

Madame Eveline ożywiła się na nasz widok i skinęła nam ręką na powitanie, jednocześnie zapraszając nas na swoją ławkę.

- Caramba, porca miseria! - zawołała wskazując pana Robinoux. - Prawie siłą musiałam go ściągnąć do Angers. Mój detektyw nie wierzy, aby dreptanie po śladach Fantomasa mogło przynieść jakąś korzyść. A ja myślę, że Pan Samochodzik ma jednak rację. Trzeba najpierw poznać tajniki działania Fantomasa, bo to nas może uchronić przed następnymi kradzieżami.

Pan Robinoux bezradnie rozłożył ręce i nie zmieniając melancholijnego wyrazu twarzy, szepnął smutnie:

- Pani mi płaci, pani ma prawo wymagać. Jestem tutaj, skoro mnie pani przywiozła.

- Caramba, porca miseria, nie przywiozłam tu pana na spacer. Chcę wiedzieć coś nowego

o tym przeklętym Fantomasie.

Robinoux ciężko westchnął:

- Pani za dużo wymaga, madame. Przecież nawet nie byliśmy w zamku i z nikim nie rozmawialiśmy o dokonanej tu kradzieży.

- Tak, to prawda - przyznała madame Eveline. - A więc do zamku, proszę państwa.

I żwawo podniosła się z ławki, kierując się do bramy zamkowej.

Traktowała pana Robinoux jak swoją nową zabawkę, jak coś w rodzaju maszynki, która miała jej dostarczać wiadomości o Fantomasie.

W bramie zatrzymała się, zerknęła na zegarek i zapytała pana Robinoux:

- Ile potrzebuje pan czasu na zdobycie informacji o kradzieży? Pięć minut? Dziesięć? Dziś musimy jeszcze skoczyć do Chambord. Tam także skradziono obraz.

- Do Chambord? - zdumiałem się.

Madame Eveline ujęła się pod boki i spojrzała na mnie z dumą:

- A pan myśli, że nie zdążę? Wyciągnę ze swojego wozu wszystkie siły i niech mnie rower Yvonne przejedzie, jeśli nie będę dziś w Chambord. Bo jeśli ja się do czegoś zabieram, to musi to być zrobione natychmiast. Pojedziemy, panie Robinoux, dwieście kilometrów na godzinę.

Pan Robinoux zrobił przerażoną minę. I zwrócił się do Pigeona:

- Zdaje się, że pan jest z Agencji Ubezpieczeniowej. Czy nie mógłby mnie pan ubezpieczyć na życie?

- Jestem detektywem, a nie agentem ubezpieczeniowym - obraził się Pigeon.

Weszliśmy do zamku i udaliśmy się do gabinetu kustosa w muzeum zamkowym.

Muzeum to słynie przede wszystkim z największego we Francji zbioru pięknych, cennych arrasów, przedstawiających sceny biblijne. W kaplicy zamkowej znajdują się bogate zbiory arrasów flamandzkich. Wisi tam również kilka bezcennych obrazów wielkich mi-

strzów, wśród których znajdował się skradziony obraz Caravaggia.

Kustosz zamku w Angers okazał się mężczyzną niskiego wzrostu, lat około pięćdziesięciu. Prawdopodobnie pochodził z południa, co można było poznać po jego niezwyklej ruchliwości. Kiedyś miał chyba ogromną szopę czarnych włosów, teraz jednak był zupełnie siwy. Żywo gestykulując, terkotał jak karabin maszynowy, wyrzucając kilkaset słów na minutę. Jediną namiętnością jego życia był zamek w Angers, toteż oburzała go sama myśl o tym, że istnieją na świecie jakieś inne zamki.

- Państwo są z Château de Six Dames? - zapytał z wyraźną ironią. - Dlaczego ów obiekt nazywa się zamkiem? Przyznaję, to ładne cacuszko. Ale tylko cacuszko, willa jednorodzinna, pałacyk, kurnik, proszę państwa. Prawdziwym zamkiem jest ten tutaj, w Angers i zaraz osobiście państwa po nim oprowadzę. Czy znają państwo historię tego zamku?

Nie pomogły protesty, że przybyliśmy tutaj, aby poznać okoliczności kradzieży obrazu Caravaggia.

- Ach, państwa interesuje ta bardzo smutna sprawa? - upewniał się nie wierząc, że ktoś przyjechał do Angers nie po to, aby zachwycać się zamkiem. - Przeżyłem boleśnie tę kradzież. Państwo sobie wyobrażają: skradziono ogromnej wartości obraz Caravaggia. I co najgorsze, policja nie znalazła ani obrazu, ani złodzieja. Owszem, opowiem państwu, jak to było, ale najpierw zwiedzimy zamek.

I choć stawialiśmy pewien opór - przede wszystkim ciotka Evelina, której bardzo się śpieszyło - kustosz poprowadził naszą gromadkę na podwórzec zamkowy i zaczął pokazywać po kolei siedemnaście potężnych wież, sięgających czterdziestu, a nawet pięćdziesięciu metrów.

- Angers, proszę państwa - rozwodził się kustosz - już w I wieku naszej ery było siedzibą plemienia rybaków i myśliwych. Ich przywódca, książę Domnacus, po zdobyciu miasta przez Rzymian uciekł w lasy i tam pozostał na zawsze. Potem przyszła era Normanów, proszę państwa. W IX wieku Angers opierało się wytrwale ich atakom, ale zdobyli je w 867

roku i siedzieli w nim przez sześć lat. Aby ich przepędzić, Karol Łysy i książę Bretanii posłużyli się sztuczka, którą już wcześniej zastosował Cyrus⁵¹, zdobywca Babilonu. A mianowicie odcięto koryto rzeki Maine i wody jej odprowadzono w bok kanałem. Przerażeni Normanowie, których łodzie okazały się beзуżyteczne, szybko przystąpili do rokowań i oddali miasto.

- Ale prawdziwy rozkwit Angers, proszę państwa - terkotał kustosz - zaczął się za panowania rodu Andegawenów, w którym przeważało imię Fulko. Zacznijmy więc od Fulki Dobrego. Za jego czasów władza hrabiów andegaweńskich była tak wielka, a królewska tak mała, że gdy Fulkę odwiedził król Ludwik IV i chciał go znieważyć, ten zdobył się na odpowiedź: „*Zauważ, łaskawy panie, że nawet król, gdy jest głupi, nie jest wart więcej niż koronowany osioł*”. Najbardziej jednak znany był Fulko Nerra, czyli Czarny. Został hrabią w wieku lat siedemnastu i aż do siedemdziesiątego roku życia prowadził nieustannie wojny i spory z sąsiadami feudalnymi panami. Ogniem i mieczem raził Tours, Le Mans, Blois i Nantes. Jeszcze jako starzec potrafił ponoć wskoczyć na konia, pogalopować do Saumur i powrócić do Angers. Ambitny i pozbawiony skrupułów rabuś i gwałtownik, w chwilach chrześcijańskiej skruchy bo i takie mu się niekiedy zdarzały - obsypywał złotem okoliczne kościoły i klasztory albo chwycił za kostur pielgrzymi i udawał się w pokutniczą wędrówkę do Ziemi Świętej. Z powrozem na szyi, z odsłoniętymi krwawiącymi ramionami, okładany różgami przez dwóch pachołków szedł do Chrystusowego Grobu. Ale gdy powracał do Angers, znowu wszystko zaczynało się od początku. Mając lat siedemdziesiąt, poszedł do Jero-

⁵¹ **Cyrus II Starszy, zwany Wielkim** (rok ur. nieznan, zmarł w roku 529 p.n.e.) - król Persji od 550 roku p.n.e. Obalił króla medyjskiego, zdobył Armenię, Kapadocję i rządzone przez Krezusa państwo lidyjskie, podbił Sippar i Babilon, położył kres istnieniu państwa nowobabilońskiego. W swych wyprawach dotarł aż nad Morze Śródziemne i podporządkował sobie Azję Przednią. Zginął w walce z plemionami scytyjskimi w dorzeczu Amu-darii. W tradycji historycznej uważany za wzór sprawiedliwego i tolerancyjnego władcy.

zolimy po raz ostatni. W drodze powrotnej do Angers nie wytrzymał biczowania, zmarł.

- Dobrze mu tak, caramba, porca miseria - burknęła ciotka Eveline.

Pan Robinoux posmutniał jeszcze bardziej, a detektyw Pigeon mlasnął językiem i stwierdził:

- Słyszałem, że odżywiali się bardzo niezdrowo. Jedli przeważnie dziczyznę, a bardzo mało jarzyn.

Kustosz machnął lekceważąco ręką na tę uwagę i terkotał dalej:

- Rodem hrabiów andegaweńskich przeważnie rządziła chciwość i wygórowana ambicja. Fulko Rechin porzucił dwie żony, by później samemu doświadczyć wielkiej goryczy, gdy król francuski porwał mu trzecią żonę, piękną i młodą Bertrandę de Monford. Notabene Filip I, który ożenił się z Bertrandą, został później wyklęty. Zaś jeszcze inny Fulko ożenił swego syna, Godfryda, z Matyldą, córką króla Anglii, wdową po cesarzu niemieckim Henryku V. Pan młody miał wtedy lat czternaście, a jego żona dwadzieścia dziewięć.

- Niesłychane - zdumiała się madame Eveline i tak była przejęta tą wiadomością, że nawet zapomniała zakląć po hiszpańsku i po włosku.

- Ów Godfryd - ciągnął kustosz - znany był z przyzwyczajenia, które dało nazwę wielkiej dynastii. Lubił ozdabiać hełm gałązką jałowca zwaną po łacinie „*planta genista*”. Gdy król angielski zmarł bezpotomnie, na tron wstąpili potomkowie Godfryda. Panowali w Anglii ponad trzy wieki jako Plantageneci.

- A obraz Caravaggia? - przerwała kustoszowi madame Eveline.

- Ach, to bardzo przykra sprawa - zafrasował się kustosz. - Ale państwo pozwolą, że jeszcze opowiem im o świetności Angers. Państwo powinni wiedzieć, że Angers to nie kurnik, pałacyk, domek jednorodzinny, ale potężna ostoja hrabiów, a potem książąt andegaweńskich. Tak, proszę państwa, pierwszym księciem został Karol Andegaweński, postać z wielu względów budząca liczne spory. Podbił on, na prośbę papieża, Neapol i Sycylię. Stworzył

Królestwo Neapolu i objął swymi wpływami cały Półwysep Apeniński. Ostatnim księciem andegaweńskim był słynny René, zwany Dobrym Księciem René. Studiował łacinę i grekę, mówił po włosku i katalońsku, znał nawet hebrajski. Był kompozytorem, malował, układał wiersze. Opanował matematykę, geologię, prawo, jednym słowem - wspaniała renesansowa postać. Ożeniony w wieku dwunastu lat z Izabellą Lotaryńską, pozostawał z nią w wiernym związku przez trzydzieści lat, a po jej śmierci, mając lat czterdzieści siedem, poślubił Jeanne de Laval i był z nią równie szczęśliwy. Jemu Angers zawdzięcza najwięcej. Rozbudował i umocnił zamek, ozdobił go przepięknymi dziełami sztuki.

- No właśnie: dzieła sztuki. I co z obrazem Caravaggia? - ciotka przestępowała z nogi na nogę. Chciała przecież jeszcze dziś skoczyć do Chambord. A kustosz gadał i gadał...

Mnie jednak interesowało to, co mówił. I twierdza w Angers też wydała mi się wspaniała.

Otaczały nas wysokie, ponure, brunatne mury, na które tylko mucha lub pajak mogłyby się wspiąć. Ogromne, okrągłe baszty spozierały dokoła rzadko rozmieszczonymi wąskimi okienkami. A w dole rozciągały się przepięknie utrzymane trawniki i klomby z kwiatami. Ich białe, czerwone, żółte i różowe barwy dodawały życia temu ponuremu, groźnemu zamczysku.

Poszliśmy do odrestaurowanej kaplicy, zbudowanej przez Jolantę Aragońską w XV wieku.

- O, tutaj, blisko ołtarza, wisiał obraz Caravaggia - wskazał nam kustosz puste miejsce na ścianie kaplicy. - Był to obraz świętego Mateusza.

- Świętego Mateusza? - zdziwiłem się. - O ile wiem, istniały dwie wersje tego obrazu. Caravaggio malował cykl obrazów do kaplicy kardynała Contarelli w kościele San Luigi dei Francesi w Rzymie, w latach 1598-1602. Pierwszy obraz, przedstawiający świętego Mateusza, został odrzucony przez kler jako nie dość „godny” i „poważny”. Wtedy Caravaggio namalował drugi, który został przyjęty i wisi tam do dziś. Pierwsza wersja obrazu świętego

Mateusza znalazła się w muzeum berlińskim i spłonęła w czasie ostatniej wojny.

- Tak, ma pan rację. Ale historycy sztuki zapominają jeszcze o trzeciej wersji, a właściwie jakby szkicu do pierwszej wersji obrazu świętego Mateusza. To było duże zamówienie ze strony kościoła. I Caravaggio bardzo poważnie je traktował. Właśnie u nas w kaplicy wisiała ta jakby wstępna próba pierwszej wersji.

- Jak wyglądał ten obraz? - zapytałem.

- Był bardzo piękny. Jak zwykle u Caravaggia, tło jest ciemne. Świętego Mateusza i anioła, który pomaga mu pisać Ewangelię, przedstawił artysta niezwykle realistycznie. Święty Mateusz, prosty, stary rybak, o twarzy spalonej przez wichry i burze morskie, z największym mozolem spisuje wszystko, czego był świadkiem obcując z Chrystusem. Podobna do tego obrazu była pierwsza wersja, którą zna pan chyba z reprodukcji, ponieważ, jak słusznie pan zauważył, spłonęła podczas minionej wojny. Księżom jednak święty Mateusz wydał się na obrazie za mało uduchowiony, za mało „święty”, za mało piękny i czcigodny. Toteż Caravaggio w drugiej wersji uszlachetnił postać świętego Mateusza, który z wyglądu bardziej przypomina wspaniałego rzymskiego mówcę czy filozofa niż prostego rybaka, jakim był przecież w istocie.

- A w jaki sposób zginął ten obraz? - wtrącił Pigeon, którego chyba znudziły wywody na temat treści obrazu.

Kustosz bezradnie rozłożył ręce.

- Nie mam pojęcia. Policja też nie wie. To jakaś bardzo dziwna historia. Jakby złodziej przeniknął przez mury, jakby był duchem, widziadłem, upiorem..

- Fantom. Fantomas... - szepnął za naszymi plecami pan Robinoux.

- Kaplica otwarta jest tylko przez kilka godzin, kiedy zamek zwiedzają turyści - wyjaśnił kustosz. - Ale wtedy strażnik nie spuszcza jej z oka. Państwo go widzą.

Tak, w kaplicy na krzeselku siedział strażnik uzbrojony w pistolet, który mu wisiał u

pasa, jak kowbojowi z westernu. .

- Gdy upłyną godziny zwiedzania, opuszcza się żelazną kratę. Przez okna dostać się do kaplicy nie można, są zbyt wysoko umieszczone. A nawet gdyby złodziej chciał wejść przez okna, mamy tam fotokomórki, które działają bez zarzutu i powodują alarm w całym zamku.

- Czy otrzymał pan list z żądaniem okupu? - spytałem.

- Tak. Jakiś Fantomas groził, że jeśli nie dostanie okupu w wysokości trzydziestu tysięcy franków, przed upływem miesiąca skradnie obraz, a na jego miejscu zawiesi kopię. Oczywiście zawiadomiłem tutejszą policję, ale ona uznała, że list jest pisany przez wariata, bo ukraść obraz niepodobna. I niech państwo sobie wyobrażą, gdy minął miesiąc, jakiś dużej klasy znawca Caravaggia, zwiedzając pewnego dnia kaplicę, zapytał mnie, czy wisi tu kopia, czy oryginał. „Oryginał” odparłem z oburzeniem. Ale on z powątpiewaniem pokręcił głową i poinformował mnie, że niedawno słyszał, jakoby w Argentynie jakiś bogacz kupił potajemnie oryginał Świętego Mateusza pędzla Caravaggia. Rzecz jasna, natychmiast podniosłem alarm. Zawieźliśmy obraz do Luwru i wyobraźcie sobie moje przerażenie, moje rozpacz i ból - obraz, który u nas wisiał, okazał się znakomicie podrobionym falsyfikatem. Oryginał zniknął. Nie muszę chyba dodawać, że policji nie udało się schwycić złodzieja, a ślad, który prowadził do Argentyny, zawiódł na manowce.

A więc i tutaj wszystko odbyło się tak samo jak w Amboise i w Zamku Sześciu Dam.

Zamyśleni opuściliśmy kaplicę zamkową.

Nagle stanąłem jak wryty. Zdumioną minę zrobiła również Yvonne i Robert.

Oto przez podwórzec zamkowy od strony głównej bramy jechał ku nam człowiek na inwalidzkim wózku, popychany przez dwóch mężczyzn. Jednym z nich był znany już nam z widzenia opryszek z Orlego Gniazda, w skórzanej bandytcie na głowie, czerwonej apaszcze na szyi, z trzcinką w ręku.

Madame Eveline zawołała głośno:

- Caramba, porca miseria, niech mnie rower Yvonne przejedzie, jeśli to nie pan Pierre Marchant!

I w swym wielkim kapeluszu na głowie ruszyła na spotkanie panu w inwalidzkim wózku.

Był to przystojny jeszcze mężczyzna lat około czterdziestu, o regularnych rysach i gładko wygolonej twarzy, jasnych, prostych, ulizanych włosach i ostrym, przenikliwym spojrzeniu. Miał na sobie garnitur z najlepszej wełny, białą koszulę i krawat z wpiętą weń wspaniałą perłą.

Jego inwalidzki wózek popychał oprócz opryszka w bandytce okropny grubas o łysej czaszce i atletycznej budowie. Tłuszcz, który obrósł mu ciało powodował, że atleta pocił się i miał zadyszkę.

Pierre Marchant - właściciel Orlego Gniazda - ucałował dłoń madame Eveline.

- Amboise odwiedzam bardzo często, madame - powiedział Marchant do ciotki Eveline. - Jak pani wie, kupiłem Orle Gniazdo, uwielbiam bowiem stare, ponure, mocne budowle. Zamek w Amboise jest jeszcze bardziej ponury i solidniej zbudowany. Żałuję, że nie można go kupić. W ostatnim czasie moim hobby stała się historia tutejszych zamków. Bo cóż pozostaje inwalidzie, który wycofał się z interesów? Pustkę mojego życia wypełnia zgłębianie przeszłości. Czy nie pasjonującą postacią był, na przykład, ów Fulko Nerra, który niegdyś władał tym zamkiem?

- Ten rabuś? Gwałtownik? Ten, który zginął pod biczami? - oburzyła się ciotka Eveline. - Jeśli chodzi o mnie, to wołę Dobrego Księcia René.

- René? Ależ, madame, to był wspaniały umysł, ale straszny mięczak. A ja nie cierpię mięczaków. Za Izabellą Lotaryńską otrzymał w wianie Lotaryngię, lecz kiedy chciał to księstwo przejąć w posiadanie, został pobity przez księcia Burgundii i wzięty do niewoli. Poniósł także klęskę, próbując zdobyć Królestwo Obojga Sycylii. Pod koniec swojego życia z filozoficznym spokojem obserwował, jak Ludwik XI zajmuje Andegawenię. A że był również hra-

bią Prowansji, w końcu wyniósł się z Angers do Aix. Czy tak postępuje prawdziwy mężczyzna? Nie, madame. Ja byłem zawsze silnym człowiekiem i choć dziś kalectwo przykuło mnie do wózka, kocham ludzi silnych. I lubię mocne, trwałe budowle.

Madame Eveline przedstawiła nam pana Marchanta, który każdemu po kolei uprzejmie skinął głową.

- Pana Marchanta poznałam przed rokiem na wyścigach samochodowych. Jest byłym handlarzem win - wyjaśniła. - Podobnie jak i mnie, pasjonują go szybkie samochody.

- Tak - potwierdził Marchant. - Zarobiłem nawet sporo grosza, stawiając na tych wyścigach. Ale sam nie miałem szczęścia do szybkich samochodów. To właśnie zbyt szybki samochód i nieostrożna jazda unieruchomiły mnie na zawsze na tym wózku - dodał ze smutkiem.

Witając pana Robinoux, zapytał go uprzejmie:

- Dla kogo pan teraz pracuje, panie Robinoux?

Melancholijną twarz detektywa z Paryża rozjaśnił na moment radosny uśmiech.

- Łaskawy pan przypomina mnie sobie?

- Oczywiście - odparł Marchant. - Przed dwoma laty dzięki panu odzyskałem kosztowności skradzione w mojej willi w Biarritz. A teraz dla kogo pan pracuje?

- Dla madame, łaskawy panie - szepnął detektyw i wskazał na ciotkę Eveline.

- Okradziono panią z kosztowności? - zagadnął ją pan Marchant.

- Nie, caramba, porca miseria. Jeszcze by tego brakowało! To mój brat, baron de Saint-Gatien ma kłopoty. Tajemniczy złodziej kradnie obrazy z jego galerii.

- Ach, tak? - stwierdził pan Marchant, ale nie okazał zbyt wielkiego zainteresowania dla tej sprawy.

Gdy przyszła kolej na mnie i zostałem przedstawiony panu Marchantowi, spojrzał na mnie przenikliwie i stwierdził:

- Ja pana już widziałem. Wczoraj. Wsiadł pan ze swego przedziwnego samochodu i

oglądał pan mój zamek, prawda?

- Tak - przytaknąłem nieco zaskoczony.

A on podrapał się za lewym uchem i rzekł:

- Uwięziony na wózku inwalidzkim, całe godziny spędzam w wieży zamkowej, obserwując przez lunetę życie, które toczy się w okolicy. Pan wybaczy mi brzydki nałóg podpatrywania, ale proszę uwzględnić, że byłem kiedyś bardzo ruchliwym człowiekiem, prowadziłem handel win na dużą skalę. Cóż mi pozostało, jak nie beczynne przyglądanie się światu?

- Rozumiem pana - skinąłem uprzejmie głową. A jednocześnie dreszcz przebiegł mi po krzyżu.

„Nie, to chyba niemożliwe” - pomyślałem.

- A to jest pan Gaspard Pigeon, detektyw z Agencji Ubezpieczeniowej - madame Eveline zaprezentowała drugiego detektywa.

- Miło mi niezmiernie - skinął głową pan Marchant.

A detektyw, chcąc okazać uprzejmość, zapytał Marchanta:

- Zapali pan?

- Nie palę gauloisów - odparł pan Marchant.

Stary lis zareagował błyskawicznie:

- A skąd pan wie, że ja palę gauloisy? - rzekł i dopiero wyciągnął z kieszeni paczkę tych papierosów.

Nie drgnął ani jeden muskuł w twarzy Marchanta. Nie zmieszał się, nie zaniepokoił. Tylko nerwowo podrapał się za lewym uchem.

- Człowiek, który pali gauloisy, pachnie nimi na odległość. Mam bardzo wyczulony węch, proszę pana - wyjaśnił.

Pigeona i innych zadowolili ta odpowiedź. Była zresztą bardzo prawdopodobna. Są ludzie obdarzeni bardzo wrażliwym węchem. Wiadomo przecież, że zapachem papierosów

prześlągnięte jest ubranie, a nawet włosy palacza. Ja sam najczęściej pałę czerwoną hollenderską „amphoreę” fajkową, pomieszaną z „najprzedniejszym”. Niepalacze mówili mi, że gdy zbliżam się do nich, czują zapach mojego tytoniu. Potem przed Marchantem dygnęła panna Patyczkówna, czyli Yvonne, i wreszcie Robert. Ciotka Eveline huknęła do pana Robinoux:

- W drogę, szanowny panie. Musimy jeszcze skoczyć do Chambord. A pana, panie Marchant, zapraszam do nas, do Zamku Sześciu Dam. Nie jest to monumentalna budowla, ale za to mój brat posiada wspinałką galerię współczesnego malarstwa.

- Chętnie skorzystam z zaproszenia - odparł Marchant. - Chciałbym również założyć u siebie małą galerię. Ale a propos tego, o czym pani raczyła wspomnieć: o kradzieżach obrazów. Jaki to obraz skradziono pani bratu?

- Dwa obrazy: Cezanne'a i Renoira.

- Ach, tak - kiwnął głową pan Marchant. - Wczoraj jakiś osobnik zaproponował mi kupno obrazu Van Gogha. Odprawiłem go z kwitkiem, bo miałem niejasne podejrzenie, że to fałszyfikat. Nie mam ochoty dać się nabrać.

- Van Gogh? - przerwał mu brutalnie pan Pigeon. - A jaki to był obraz, można wiedzieć? Marchant zwrócił się do stojącego za jego plecami grubasa:

- Jaki to był obraz, Antonio? To przecież ty rozmawiałeś dłużej z tym osobnikiem.

O dziwo, gruby Antonio mówił piskliwie jak panienka:

- Jakiś taki obraz...

- No, jaki? Oglądałeś go? - podniósł głos Marchant.

- Nie oglądałem - przestraszył się grubas. - On mi tylko mówił, jak ten obraz wygląda. Chodziło o jakiś portret.

Na twarzy Yvonne, Roberta, ciotki Eveline, Robinoux i pana Pigeona odmalowało się najwyższe napięcie. Czyżby Marchantowi proponowano kupno *Portretu lekarza Van Gogha* z galerii barona de Saint-Gatien? A więc Robinoux miał rację: fałszywy Pigeon skradł tym

razem nie Renoira, lecz Van Gogha.

- Jak wyglądał ten człowiek? - zwrócił się do grubasa Pigeon.

- Niski, z wąsikami, trochę podobny do pana. Przyjechał czarnym humberem, zaproponował kupno, ale ponieważ pan Marchant kazał go odprawić, więc bliżej się nim nie interesowałem.

- A dlaczegoż to ów osobnik zwrócił się właśnie do pana? - ostrym tonem indagował Marchanta pan Pigeon, poirytowany, że ów osobnik przypominał z wyglądu właśnie jego, Pigeona.

- Nie wiem - wzruszył ramionami Marchant. - Być może słyszał od kogoś, że zamierzam założyć galerię obrazów.

- To dlaczego odprawił go pan z kwitkiem?

- Nie znam się na malarstwie, ale wiele słyszałem o fałszerzach dzieł sztuki. Postanowiłem nabywać obrazy do swojej galerii tylko od osób godnych zaufania, a nie od jakichś pokątnych handlarzy - wyjaśnił Marchant.

Uznał rozmowę z Pigeonem za zakończoną i zwrócił się do madame Eveline:

- Jesteśmy sąsiadami, prawda? Zapraszam więc panią w odwiedzin. Zobacz pani, co zrobiłem z tej starej, nieużytecznej dawniej budowli, która się nazywa Orle Gniazdo.

- Dziękuję panu - z roztargnieniem odrzekła madame Eveline, zaabsorbowana sprawą obrazu Van Gogha.

A potem zawołała z rozpaczą:

- Czy nie ma rady na złodzieja? Caramba, porca miseria... A panu, panie Marchant, radzę być ostrożnym z kupnem obrazów. Podejrzewam, że obraz, który chciano panu sprzedać, pochodzi z galerii mojego brata.

- Przecież pani wspomniała o obrazie Renoira i Cezanne'a? - zdziwił się pan Marchant.

- No tak, ale... - madame Eveline machnęła ręką, co miało oznaczać, że w tym wszystkim

sam diabeł się nie połapie.

I na tym zakończyło się nasze spotkanie z panem Marchantem. Ukłoniliśmy się panu na wózku i jego dwóm opiekunom. Gdy odchodziliśmy w stronę bramy zamkowej, Yvonne trąciła mnie w ramię i zatrzymała na chwilę.

- Co się stało? - zapytałem.

Dziewczynka patrzyła w stronę Pierre Marchanata.

- Czy on panu nikogo nie przypomina? - zapytała.

- Owszem...

- Dostrzegł pan ten jego gest, to drapanie się za lewym uchem? - upewniła się.

- Tak, Yvonne. Zauważyłem ten gest.

- I przypomina to panu kogoś, prawda?

- Owszem.

- Fałszywego Pigeona - stwierdziła Yvonne.

A ja tylko kiwnąłem głową

ROZDZIAŁ IX

• Co zrobić z trzecim obrazem • Nie ciągnijcie policji za język • Kto się boi prawdy • Malarz Vincent w tarapatkach • Komisarz pokazuje pazurki • Zadanie dla malarza • Kłótnia Yvonne i Roberta • W zasadzce na złoczyńcę • Świetna informacja • „Akcja X” • Filip w pułapce • Nocą na wyspie • Ratunek • Tajemnica barona de Saint-Gatien

- Ależ tak, panie baronie. Jeśli pan sobie tego życzy, mogę jutro znowu pojechać do Paryża - oświadczył podczas kolacji pan Armand Durant. - Zabiorę do ekspertyzy obraz Van Gogha, ale jestem przekonany, że to jednak oryginał.

- Ja też tak sądzę - wtrąciłem się.

Baron de Saint-Gatien delikatnie poruszył głową, co znaczyło, że nie zgadza się z nami.

- Pan Robinoux - rzekł - sugeruje, że Fantomas ukradł także obraz Van Gogha. W tak poważnej galerii jak nasza nie może być ani cienia wątpliwości, że jakiś obraz nie jest oryginalny. Jeśli ktoś odkryje, że demonstruję mu kopię, będziemy na zawsze ośmieszeni i nikt do nas nie zajrzy.

- Tak, to racja - zgodził się pan Durant.

- Tym bardziej - przerwała im madame Eveline - że pan Marchant mówił o jakimś człowieku, który proponował mu kupno portretu malowanego przez Van Gogha. Caramba, porca miseria, głowę dałabym sobie uciąć, że to był Fantomas i chciał sprzedać obraz z naszej galerii.

- Nie wiadomo, madame, czy chodziło o *Portret lekarza* - odpowiedział kustosz. - Van Gogh namalował wiele portretów.

Chciałem dorzucić: „I nie ma żadnych podstaw, aby wierzyć słowom Marchanta”, lecz nie powiedziałem tego, zdając sobie sprawę, że zwyczaj drapania się za lewym uchem nie może być podstawą do podejrzeń.

Pan Durant bezradnie rozłożył ręce i dodał:

- Oczywiście, jeśli pan baron tego sobie życzy, pojedę jutro do Paryża i zawiozę obraz do ekspertyzy. Ale muszę mieć inny środek lokomocji. Gdy jechałem z obrazem Cezanne’a zaatakował mi się gaźnik i dwie godziny czekałem na Pomoc Drogową. Gdy jechałem z obrazem Renoira, nawalił mi wał korbowy. Mój wóz to stary grat, ryzykowne jest wybierać się nim w drogę.

- Zawiozę pana swoim alpine - burknęła ciotka Eveline. - Caramba, porca miseria, do Paryża zajedziemy w trzy minuty.

- A ja was będę eskortował - wyszeptał Robinoux.

Baron odetchnął z ulgą.

- A więc wszystko w porządku. Van Gogh pojedzie w znakomitym towarzystwie.

Na dłuższą chwilę zapadło milczenie.

Kolację, jak zwykle, podano w jadalni zamkowej. Ale tym razem uczestniczyło w posiłku więcej osób. Obok mnie siedział malarz Vincent, brat Yvonne i bratanek barona de Saint-Gatien. Przyjechał z Paryża zaniepokojony wiadomościami o kolejnych kradzieżach w galerii zamkowej.

Przybył także komisarz policji z Tours - wysoki, chudy, zupełnie łysy mężczyzna z ogromnym nosem. Jadł szybko, nie patrząc na nikogo, lecz w połowie kolacji przerwał jedzenie i zamyślony robił kulkę z chleba z taką uwagą i zapamiętałością, jakby mogła mu ona przynieść wyjaśnienie zagadkowej kradzieży obrazów.

Jak wiemy, przy stole siedział także Pigeon, Robinoux i ja. Baron de Saint-Gatien nie omieszkał na wstępie wyrazić swego ogromnego zadowolenia, że w jego zamku goszczą aż

czterej znakomici (podkreślił to słowo intonacją) detektywi, co daje mu nadzieję, że wkrótce odzyska swoją własność.

Brakowało tylko Yvonne i Roberta. Obydwoje siedzieli już w starym donżonie, przygotowując aparaturę do widowiska „Dźwięk i światło”. Dzisiaj bowiem również przyjechało kilka samochodów osobowych i autokarów z jakąś wycieczką zagraniczną.

Aby przerwać ciężące milczenie, zwróciłem się do ciotki Eveline:

- A w Chambord? Czy natrafiłście państwo na coś interesującego?

Madame Eveline bezceremonialnie trąciła łokciem pana Robinoux:

- I co pan na to? Trafiłiśmy na coś interesującego czy nie? Pan jest przecież detektywem, a nie ja.

Robinoux podniósł głowę znad filiżanki herbaty i wyszeptał:

- Od początku uważałem, że ta podróż nie ma sensu. Było wiadome, że złodziej posługuje się nadal tą samą metodą. Najpierw list, potem na miejscu oryginału pojawia się znakomicie zrobiona kopia. Nasze odwiedziny w Chambord potwierdziły, że trzyma się uparcie swojej metody.

- A jednak ja tam jutro pojedę - oświadczyłem.

Robinoux tylko wzruszył ramionami i znowu szepnął:

- Jest pan cudzoziemcem i historykiem sztuki. Zwiedzanie zamków jest dla pana miłym zajęciem.

Dał mi do zrozumienia, że nie sądzi, abym zbyt poważnie traktował swoje detektywistyczne zajęcia.

- Caramba, porca miseria - zawołała nagle ciotka Eveline. - Przecież siedzi tu z nami komisarz policji. Czy po to utrzymujemy tak potężny aparat policji, żeby usłyszeć: „Nic nie wiem w tej sprawie”?

Łysy komisarz policji z Tours ścisnął w palcach kulkę chleba.

- Niech pani nie ciągnie policji za język - rzekł złowróźnie.

- A dlaczego to mam tego nie robić? - zagrzmiała ciotka. - Jestem starą uczciwą kobietą i nie boję się prawdy.

- A pan, panie baronie? - spytał komisarz.

- Ja? - zdziwił się baron. - To chyba oczywiste, że chciałbym dowiedzieć się prawdy.

- Ach, tak? - ucieszył się komisarz i zaczął robić nową kulkę z chleba. Nieoczekiwanie zwrócił się do Vincenta: - Pan, panie de Saint-Gatien, również?

Vincent był przystojnym, szczupłym brunetem o śniadej cerze i bujnej czuprynie, która na karku i nad uszami zwijała się w kędziory. Jak wielu młodych malarzy paryskich, nosił się i zachowywał ze swoistą nonszalancją, jakby dając wszystkim do zrozumienia, że dla niego liczy się tylko Prawdziwa Sztuka, a reszta to marność, niewarta nawet chwili uwagi.

Komisarz policji ulepił nową kulkę z chleba, zgniótł ją w palcach i jeszcze raz zwrócił się do Vincenta:

- Panie de Saint-Gatien, mam pytanie: czy zdążył pan obejrzeć wiszące w galerii stryja obrazy Cezanne'a i Renoira?

- Już ich nie ma w galerii, są w moim gabinecie - przerwał mu pan Durant. - Przecież nie będziemy demonstrować falsyfikatów!

- A więc, panie de Saint-Gatien, czy obejrzał pan w gabinecie kustosa te dwa obrazy?

- Tak - mruknął malarz.

I wydawało mi się, że w jego ciemnych oczach dostrzegam niepokój.

- Czy przyznaje się pan - ciągnął dalej komisarz - że obydwa te obrazy, te falsyfikaty, wyszły spod pana pędzla? Innymi słowy, że to pan zrobił te kopie?

Vincent zaczerpnął powietrza. Po chwili powiedział głośno:

- Tak. Ja zrobiłem te kopie.

Na twarzach jednych pojawił się wyraz największego zdziwienia, na innych - przestrach.

Twarz barona wyrażała jedno i drugie. Zauważyłem, że spogląda na Vincenta jak na kogoś obcego, ze zdumieniem.

- Jak to się stało, Vincent? - spytał cicho.

- Nie mam nic wspólnego z kradzieżą obrazów, stryju - powiedział wolno malarz - lecz chyba nie muszę nikomu wyjaśniać, że w Paryżu trudno jest wyżyć ze sprzedaży własnych obrazów. Tym bardziej, gdy nie ma się jeszcze nazwiska, które zyskało sławę. Aby żyć, trzeba chwytać się najróżniejszych zajęć. Mniej więcej przed pół rokiem zgłosił się do mnie pewien człowiek i zaproponował wykonanie kopii obrazów Renoira, Cezanne'a i Van Gogha, znajdujących się w galerii stryja. Ów osobnik wyjaśnił, że obrazy te nigdy i nigdzie nie były reprodukowane w naturalnych wymiarach, a jemu się podobają i chciałby mieć ich kopie. Zaproponował dość dużą sumę, a że akurat byłem bez forsy, więc propozycję przyjąłem. Ciotka Eveline i stryj chyba pamiętają, że przyjechałem tutaj na dwa tygodnie i wiele godzin spędzałem w galerii, malując.

- Myślałem, że to jakieś twoje ćwiczenia malarskie - rzekł stryj.

- Caramba, porca miseria, czy przypuszczasz, że ja interesuję się tym, co malujesz? - wzruszyła ramionami ciotka Eveline.

- Zrobiłem te kopie. To nie jest przecież karalne. Nawet mi przez myśl nie przeszło, że ten łajdak zamierza je zamienić na oryginały. Potem zgłosił się po kopie, dał mi pieniądze i rozstaliśmy się.

- A czy nie było tak - komisarz zrobił nową kulkę z chleba - że już przed pół rokiem, malując w galerii, dokonał pan zamiany oryginałów na własne kopie, a cała sprawa wydała się dopiero teraz?

Vincent zaczerwienił się z gniewu. Baron zaprotestował:

- Ręczę za uczciwość Vincenta - stwierdził sucho.

Vincent powiedział gniewnie:

- Przypuśćmy, że ma pan rację, komisarzu, że to ja dokonałem zamiany oryginałów na wykonane przez siebie kopie. Przyznaję, że sposobność miałem doskonałą, ponieważ strażnicy w końcu przestali zwracać uwagę na moje zajęcia w galerii. Ale w takim razie, panie komisarzu, w jakim celu pisałbym potem listy z żądaniem okupu i w ogóle dopuściłbym, aby cała ta sprawa wyszła na jaw?

Komisarz zaśmiał się ironicznie:

- Ależ ja pana nie oskarżam o pisanie listów z żądaniem okupu. Należy raczej sądzić... - zawiesił głos, chwycił kawałek chleba i zrobił z niego małą kulkę - że to nie pan pisał te listy, lecz ktoś, kto dowiedział się o dokonanej przez pana zamianie. W ten sposób chciał ujawnić całą sprawę, licząc, że policja trafi na ślad autora kopii.

Vincent zerwał się od stołu.

- Nie pozwolę się obrażać! - krzyknął. - Ja malowałem kopie, lecz to nie ja dokonałem zamiany!

I jak szalony wybiegł z jadalni.

- Ręczę za uczciwość mego bratanka - powtórzył baron.

Komisarz westchnął z udanym ubolewaniem.

- Pan raczy pamiętać, baronie, że przybyłem tutaj nie w celach towarzyskich, ale by prowadzić śledztwo. Lojalnie uprzedzam, że nie tylko pana bratanek, lecz i pan, baronie, podejrzany jest w tej sprawie.

- Ja? - zdumiał się baron.

- A tak - przytaknął uprzejmie komisarz. - O tym może jednak innym razem.

- Caramba, porca miseria, chyba nie przy śniadaniu? - zawołała ciotka Eveline. - Jeśli zamierza pan psuć nam każdy posiłek...

- Nie, madame, myślę, że to się szybciej wyjaśni - mruknął łysy komisarz i również wstał od stołu.

Kolacja była skończona. Ale jedyną osobą, która odeszła od stołu z niezwykle zadowoloną miną, był pan Gaspard Pigeon. Mijając mnie mruknął:

- I co pan na to? Bomba, prawda? No cóż, drogi panie. Powróz na szyi przestępcy zaciska się.

Wyszedłem na taras, gdzie turyści oglądali widowisko „Dźwięk i światło”, a potem do parku. Spodziewałem się, że tam właśnie pobiegł Vincent, aby ochłonić z gniewu.

Była już noc. Vincenta znalazłem na kamiennej ławeczce nad rzeką.

Siedział wpatrzony ponuro w ledwo widoczny nurt rzeki. Wciąż jeszcze miotała nim złość. Na mój widok chciał zerwać się z ławki i odejść w głąb parku, ale zapewne przypomniał sobie, że jestem przyjacielem Karen Petersen i przyjechałem do Zamku Sześciu Dam na jej prośbę.

- Mam nadzieję - burknął do mnie - że nie wspomni pan Karen o tej niesamowitej historii? Gotowa pomyśleć, że to naprawdę ja zamieniłem obrazy w galerii stryja. Wszystko sprzysięgło się przeciw mnie! - zawołał z gniewem i rozpaczą.

- Jak do tej pory, istnieją tylko podejrzenia. Komisarz policji nie jest w stanie udowodnić panu przestępstwa. Malowanie kopii nie jest karalne.

- Czy pan zwrócił uwagę, że komisarz nawet nie zapytał, jak wyglądał osobnik, który zamówił u mnie kopie? A dlaczego? Bo on w ogóle nie wierzy w istnienie tego osobnika. A ja nie mam żadnego dowodu na to, że mówię prawdę.

- A jak wyglądał ten człowiek? - zapytałem.

- Miał długą, czarną brodę i bardzo bujne, ciemne włosy.

- Przypuszczam, że i broda, i włosy były sztuczne. Ale mimo to może warto, aby pan przy okazji naszkicował mi portret tego osobnika?

Po chwili milczenia zadałem mu nowe pytanie:

- Oglądał pan dziś rano obraz Van Gogha?

- Tak.

- Czy na miejscu oryginału wisi pana kopia?

- Nie. To chyba oryginał. Przecież własną kopię bym poznał.

- Dziwne - szepnąłem. - Zamówiono u pana trzy kopie, a wykorzystano do zamiany tylko dwie.

- Może jeszcze ktoś zrobił kopię obrazu Van Gogha i ta okazała się lepsza? - zastanawiał się malarz. - O ile wiem, skradziono także obraz Memlinga, Caravaggia, Watteau. Ja nie robiłem ich kopii. Fantomas musi mieć jeszcze innego kopistę.

- A może w Zamku Sześciu Dam pozostaje nadal oryginalny Van Gogh? - zapytałem.

- Może - zgodził się ze mną. - Ale pan słyszał, co mówili stryj i pan Durant. Skoro istnieje wątpliwość, trzeba obraz zawieźć do ekspertyzy.

- Tak - skinąłem głową. - A panu radzę wracać do Paryża.

- Teraz? W tej sytuacji? Gdy podejrzenia koncentrują się na mojej osobie? Komisarz potraktuje to jako ucieczkę.

- Komisarz nie zakazał panu wyjazdu. Niech pan wraca do Paryża i wśród tamtejszych malarzy spróbuje się dowiedzieć, czy któryś z nich nie robił kopii Memlinga, Caravaggia albo Watteau. Przypuszczam, tak jak pan, że dla Fantomasa pracowało kilku artystów. Wprawdzie Fantomas to mistrz charakteryzacji - pan słyszał, jak on wcielił się w Pigeona - ale może któryś z tych malarzy zdołał dostrzec coś szczególnego w osobniku, który zamał u niego kopię. I proszę naszkicować jego portret. Może w ten sposób uda nam się trafić na ślad Fantomasa.

- Dobrze - uradował się Vincent. - Jeszcze dziś wrócę do Paryża. Spróbuję naszkicować sylwetkę tego osobnika. Potem o to samo poproszę malarzy, którzy robili kopie innych skradzionych obrazów. Jeśli oczywiście uda mi się do nich dotrzeć. W ten sposób będę miał uczucie, że czynię coś pożytecznego, co może uwolnić mnie od podejrzeń.

Jeszcze chwilę posiedziałem z nim na ławce, pocieszając go, że prawda musi w końcu wyjść na wierzch, a tym samym zostanie oczyszczony z podejrzeń. Potem on odszedł do zamku, aby powrócić do Paryża, a ja skierowałem się do donżonu, gdzie przebywała Yvonne i Robert.

Nie było mi radośnie na duszy i chyba trudno się temu dziwić. Prowadzone przeze mnie śledztwo, jak do tej pory, nie przynosiło konkretnych wyników. Wprawdzie kielkowały w mej głowie jakieś nieokreślone podejrzania i hipotezy, ale nie poparte żadnymi dowodami, wydawały się absurdalne.

Również i pod innym względem znalazłem się w wyjątkowo trudnej sytuacji. Byłem gościem barona de Saint-Gatien i winienem mu lojalność. A tymczasem, podobnie jak Pigeon, stałem się świadkiem podejrzonej rozmowy barona z jego sługą. Zdawałem sobie sprawę, że na dzisiejszą noc Pigeon przygotowuje pułapkę na Filipa, a tym samym na barona. Jak powinienem postąpić? Czy przez lojalność należało ostrzec barona?

Ale przecież brzydziłem się przestępstwem. Jeśli Pigeon miał rację i za zagadką Fantomasa krył się baron, powinien ponieść zasłużoną karę. Moja lojalność mogła co najwyżej ograniczyć się do biernej postawy wobec zakusów Pigeona, ale w żadnym razie nie wolno mi było przeciwdziałać.

Z drugiej jednak strony prowadzone przeze mnie śledztwo dało mi wystarczające dowody na to, abym nabrał przekonania, że baron jest niewinny, podobnie jak niewinny jest jego bratanek Vincent. Ale udowodnić ich niewinność można było tylko przez zdemaskowanie prawdziwego winowajcy, a w tej sprawie czułem się ciągle bezradny.

„Potrzebuję jeszcze trochę czasu” - rozmyślałem, kierując się do donżonu.

Widowisko kończyło się. Smugi reflektorów sunęły po murach zamku, z głośników płynęły dźwięki menueta.

Wszedłem do donżonu i aby nie przeszkadzać Yvonne i Robertowi, usiadłem na krze-

sełku pod ścianą, przyglądając się, jak chłopiec sprawnie przyciska guziczki na tablicy rozdzielczej reflektorów.

Wreszcie doczekałem się końca widowiska. Yvonne wyłączyła aparaturę. Potem podeszła do mnie. Zauważyłem, że ma wypieki na twarzy.

- Obmyśliliśmy pułapkę na pomocnika Fantomasa - oświadczyła. - Przecież chyba i dziś wieczór Fantomas będzie się z nim porozumiewał? Zaczaję się na korytarzu, w którym są drzwi do łazienki. Znaleźliśmy wspaniałe miejsce na kryjówkę. W końcu korytarza stoi ogromny fotel. Schowam się za nim i będę obserwować każdego, kto w porze nadawania sygnałów wejdzie do łazienki.

Zbliżył się Robert.

- Trzeba zrobić inaczej, proszę pana. Tam, za fotelem jest miejsce tylko na jedną osobę. Ja się tam ukryję, a ona pójdzie z panem do parku, aby obserwować wysepkę.

- Nie, to ja schowam się za fotelem - upierała się Yvonne.

I byliby się pokłócili, lecz rozstrzygnąłem ich spór.

- Pomysł jest dobry. Ale to robota dla mężczyzny. Za fotelem skryje się Robert.

- No, jasne. Ma pan rację - ucieszył się chłopak.

Yvonne tupnęła ze złością długą, patyczkowatą nóżką

- Caramba, porca miseria - zawołała jak ciotka Eveline. - Pan uważa, że ja się do niczego nie nadaję?

Przecząco pokręciłem głową.

- I dla ciebie znajdzie się zajęcie, Yvonne. Zresztą jest tyle kłopotów...

I opowiedziałem im o rozmowie podczas kolacji.

- Więc to są kopie Vincenta? - przeraziła się Yvonne. - O Boże, czy komisarz go aresztuje?

- Myślę, że nie - odrzekłem. - Postara się zebrać więcej dowodów winy twojego brata i

twojego stryja.

- Stryja? Mało im Vincenta? - oburzyła się Yvonne. - A czy są jakieś podstawy, aby podejrzewać stryja?

Kiwnąłem głową.

- Niestety, tak. Przykro mi, że nie mogę wam o nich opowiedzieć, ale jestem związany tajemnicą.

Yvonne była naprawdę zaniepokojona.

- Co robić, proszę pana? Co robić, żeby im jakoś pomóc? Przecież oni są niewinni.

- I ja tak sądzę - odparłem. - Niestety, nie wiem, jak im w tej chwili pomóc.

Spojrzałem na zegarek.

- Czy to nie o tej porze złoczyńca nadawał sygnały? - zapytałem.

Pośpiesznie wyszliśmy z donżonu. Turyści już opuścili taras i park, który teraz ogarnęła ciemność i cisza. W mroku bezksiężycowej nocy świeciły tylko niektóre okna w zamku, blask ich nieforemnymi plamami padał na rzekę.

Zamiast do ogrodu Diany de Poitiers skierowałem się do wozowni.

- Dokąd pan idzie? - zdumiał się Robert.

- Do swojego samochodu.

- Przecież mieliśmy iść nad rzekę, tam naprzeciw wyspy?

- Pojedziemy moim wehikułem - wyjaśniłem.

Nie rozumieli, dlaczego chcę jechać samochodem, a ja nie mogłem im tego wytłumaczyć.

Z ciemności wyłonił się komisarz policji w towarzystwie Pigeona. Komisarz podszedł do Roberta.

- To ty, chłopcze, masz klucze do donżonu i aparatury widowiskowej? - zapytał.

- Tak, proszę pana.

- Daj je nam. Chcemy jeszcze raz zapoznać się z tą aparaturą - oświadczył komisarz.

- Czy coś się stało? - zainteresowała się Yvonne.

Komisarz niecierpliwym gestem wyciągnął rękę po klucze i widać było, że nie ma ochoty nic wyjaśniać młodym ludziom. Ale Pigeon powiedział:

- Wciąż jeszcze zastanawiamy się, w jaki sposób złodziej kleił taśmę ze swoim głosem.

Robert wręczył klucze komisarzowi. I nawet chciał pójść z nimi do donżonu, ale komisarz odprawił go ruchem dłoni.

- Sami damy sobie radę. Jutro oddam ci klucze - oświadczył. Robert był z tego rad, mógł bowiem pójść do zamku, żeby wypatrywać osoby, która wejdzie do łazienki.

Wyprowadziłem wehikuł z zamkowych garaży. Wsiedliśmy do niego z Yvonne i pojechaliśmy do parku szeroką aleją wysadzaną starymi platanami. Noc była bardzo ciemna, ale nie zapalałem świateł. Nie chciałem, żeby nas zauważył złoczyńca. Jechałem niemal po omacku. Na szczęście Yvonne знаła tu każde drzewo i nieomylnie wskazywała drogę.

- Chcę znaleźć się naprzeciw wyspy - tłumaczyłem dziewczynce. - Czy znasz tam skrawek plaży z dobrym zjazdem do wody?

- Chyba nie zamierza pan wjechać do rzeki? - roześmiała się.

- Nie wiem, czy to nie okaże się konieczne - odparłem z powagą, lecz ona myślała, że ja żartuję.

Komenderując mną: „na lewo”, „teraz na prawo”, „teraz znów na lewo i zaraz na prawo” - poprowadziła wehikuł alejkami parkowymi nad piaszczysty brzeg rzeki. Jak wspomniałem, było bardzo ciemno, nie widziałem zarysów wyspy i w ogóle nie miałem pojęcia, gdzie jesteśmy. Gdy Yvonne kazała mi stanąć i wysiedliśmy z wehikułu, przekonałem się, że tylko krok dzieli nas od rzeki. Słyszałem nawet cichy szmer wody podmywającej brzegi.

- I co teraz? - zapytała dziewczynka.

- Ano, nic. Poczekamy.

- Ale dlaczego przyjechaliśmy tu samochodem? - dziwiła się.

- A może trzeba będzie kogoś ścigać - odpowiedziałem zagadkowo.
- Ach, rozumiem, zamierza pan schwytać złoczyńcę, który z wyspy nadaje sygnały - domyśliła się. - Tylko że do tego celu potrzebny jest nie samochód, lecz motorówka.
- Pokręciłem głową.
- Nie zamierzam go schwytać. Zapolujemy na kogoś innego.
- O rany, jaki pan tajemniczy! - prychnęła gniewnie. - Ach, już rozumiem. Za zdemaskowanie Fantomasa dają sto tysięcy dolarów. Podzielimy się, dobra?
- Dobra.
- Panu też się przydadzą pieniądze. Kupiłby pan sobie inny samochód.
- Słyszałem, że nie lubisz samochodów.
- Ja nie lubię, ale pan chyba chciałby mieć taki wóz, jak ma ciotka Eveline. Każdy mężczyzna lubi samochody.
- Mój wóz jest lepszy - oświadczyłem. Znowu przyjęła to jako żart.
- Pan jest bardzo fajny - powiedziała. - Gdy pan do nas przyjechał tą swoją pokraką, domyśliłam się od razu: przyjechał facet...
- ...który ma hopla z przerzutką - dokończyłem.
- A tak. I zaraz poczułam do pana sympatię, ponieważ pomyślałam: „Skoro ten facet jeździ taką pokraką, to znaczy, że mu samochody nie imponują. Zamiast samochodu zapewne wolałby rower, ale przecież na rowerze nie mógłby z Polski przyjechać”. A jak jest w Polsce, proszę pana? Czy chłopakom i dziewczynom też imponują samochody?
- Odparłem wykrętnie:
- U nas jest tak, jak wszędzie. Ale na szosach widzi się sporo dziewczyn i chłopców uprawiających kolarstwo. U was jest wyścig kolarski „Tour de France”, a u nas Wyścig Pokoju na trasie Warszawa-Berlin-Praga. Słyszałaś o tym?
- No pewnie.

Tak gwarzyliśmy siedząc na brzegu rzeki, w pobliżu wehikułu. Zachowywałem spokój, ale były to tylko pozory. Gdy wszedłem do donżonu, zrodził się w mojej głowie pewien pomysł. Pełen wewnętrznego napięcia oczekiwałem teraz na chwilę, gdy uda mi się go zrealizować. Trudność polegała na tym, że jednocześnie chciałem przejąć informacje przekazywane przez złoczyńców. Bałem się, że nie uda mi się pogodzić tych obu spraw.

A Yvonne, która nie zdawała sobie sprawy z swoich uczuć i myśli, postanowiła, jak to się mówi, „przycisnąć mnie do muru” i wyciągnąć ze mnie wszystkie moje podejrzenia i hipotezy.

- Czy pojedziemy jutro do Orlego Gniazda? - zapytała nieoczekiwanie.

- Nie. Do Chambord - odparłem. - A w jakim celu mielibyśmy odwiedzać Orle Gniazdo?

I jak się tam dostać?

- Przecież i pan zauważył, że Marchant to fałszywy Pigeon.

- To są tylko podejrzenia - powiedziałem z naciskiem. - Cóż z tego, że drapie się za uchem? Wyobrażam sobie minę komisarza policji z Tours, gdybym mu powiedział: „Aresztujcie Marchanta, ponieważ on drapie się za uchem, podobnie jak fałszywy Pigeon”.

- Ma pan rację - westchnęła. - Marchant zupełnie nie jest podobny do Pigeona. Tylko ten zwyczaj drapania się za lewym uchem...

- A właśnie - zgodziłem się z nią. - Dlatego nie należy nikomu mówić o naszych podejrzeniach. A swoją drogą powinnaś wiedzieć, że znakomita charakteryzacja może zupełnie zmienić twarz człowieka. Z młodzieńca zrobić starca - i odwrotnie. Bardzo odmienia człowieka peruka. Ale trudno przez dłuższy czas panować nad swoimi odruchami, szczególnie w chwilach, gdy człowiek jest zdenerwowany. Często nawet nie zdajemy sobie sprawy, że każdy z nas ma jakieś tylko sobie właściwe gesty. Fałszywy Pigeon drapał się za lewym uchem. I tak samo robi Marchant. Być może jednak jest to tylko zwykły zbieg okoliczności.

Yvonne zastanawiała się głośno:

- No, dobrze, ale czy nie za dużo tych zbiegów okoliczności? Marchant przyjechał do Angers w tym samym momencie co i my. Ktoś mu zaproponował kupno obrazu Van Gogha, który akurat nam został skradziony. Do licha, co to wszystko znaczy?

Nic nie odpowiedziałem. Ale podobne myśli snuły się i mnie po głowie. Chwilami wydawało mi się, że w gęstwinie zagadek dostrzegam jakieś rozwiązanie, że już jestem na tropie Fantomasa. Lecz były to tylko złudzenia. Jakby mi się śniło, że błędę w ciemności i nagle dostrzegam w dali palącą się jasno latarnię. Gdy szedłem ku niej, raptem budziłem się ze snu. I pozostawałem znowu w ciemnościach.

- Uwaga! - syknęła Yvonne i kurczowo chwyciła mnie za rękę.

Bezwiednie spojrzałem w kierunku wyspy. Dopiero potem zerknąłem w stronę zamku i dojrzałem rozbłyskujące światelko.

- Nadaje z innej łazienki. Tej na pierwszym piętrze. A to cwaniak! zawołała Yvonne. - A Robert siedzi za fotelem na drugim piętrze.

Złoczyńca okazał się nie lada spryciarzem. Ostrożność nakazała mu drugi raz nie sygnalizować z tego samego miejsca. Ale czyż mogłem przypuszczać, że tak postąpi?

Sylabizowałem jego sygnały: „J-u-t-r-o o c-z-t-e-r-n-a-s-t-e-j a-k-c-j-a X”.

I przestał błyskać latarką. Okno łazienki na pierwszym piętrze znów było ciemne.

Natomiast tym razem ktoś z wyspy błyskał latarką:

„Z-r-o-z-u-m-i-a-l-e-m” - nadawano odpowiedź.

I na tym zakończyła się wymiana zdań. Ktoś z zamku przekazał meldunek komuś na wyspie. A ten przeniesie go dalej. Do kogo? Do tajemniczego i nieuchwytnego Fantomasa.

- Akcja? Co oni chcą zrobić? - szepnęła Yvonne. Trzymała mnie kurczowo za rękę i czułem, że jej dłoń drży z emocji. A ja byłem ucieszony.

- Jutro o czternastej - powtarzałem półgłosem. - To znakomicie.

- Pan wie, co oni chcą zrobić?

- Nie. Ale mam teraz pewność, że baron nie ma z nimi nic wspólnego.
- To oczywiste - odparła - ale przecież jedna sprawa nie ma nic wspólnego z drugą.
- No, właśnie - powiedziałem ogromnie zadowolony. - Oni zaplanowali na jutro akcję X, a baron zaplanował swoją akcję na dzisiejszą noc. To chyba wyraźny dowód, że twój stryj nie ma nic wspólnego z Fantomasem.

Yvonne aż podskoczyła.

- Mój stryj zaplanował jakąś akcję?

W tym momencie przez ciemność nocy przedarł się ostry gwizd. Doleciał od strony zamku. Odpowiedział mu taki sam gwizd; ale już z brzegu rzeki.

- Policja? - zdumiała się Yvonne, bo gwizdy wydały się nam znajome. W ten sposób sygnalizują policjanci kierujący ruchem ulicznym.

Raptem zapaliły się wszystkie reflektory widowiska „Dźwięk i światło”. Oświetliły Zamek Sześciu Dam, ich blask rozplynął się po rzece.

Zrozumiałem: Pigeon i komisarz policji zastawili pułapkę na Filipa i barona. W tym celu wzięli klucze od starego donżonu i aparatury widowiskowej.

- Niech pan patrzy! - zawołała Yvonne, kurczowo ściskając moją rękę.

Od jednego ze środkowych filarów, na którym wspierała się galeria zamkowa, odbijała łódka. Siedział w niej chyba Filip, mogłem się tego tylko domyślać, bo mimo blasku reflektorów odległość była zbyt duża, aby rozróżnić rysy twarzy.

Filip zorientował się, że jest widoczny w blasku reflektorów, chwycił za wiosła i zaczął nimi gorączkowo pracować. Czy odgadł, że to Pigeon zastawił na niego pułapkę?

Ale komisarz przewidział podobną sytuację. Przy drugim brzegu cumowała łódź z motorem, w której siedzieli policjanci. Usłyszeliśmy warkot uruchamianego silnika. Łódź motorowa odbiła od brzegu i ostro ruszyła w kierunku łodzi Filipa. Teraz nawet laik musiał zdawać sobie sprawę, że Filip nie zdąży dobić do drugiego brzegu. Zresztą i tam zapewne

kryli się policjanci.

Pozostawała tylko mała wysepka na rzece. I w tym kierunku wiosłował lokaj barona.

- O Boże, co to wszystko znaczy? - pytała Yvonne.

A ja milczałem, w napięciu śledząc łódkę.

Motorowa łódź policji była coraz bliżej Filipa. Jeszcze tylko kilkanaście metrów i policjanci chwycą za burtę. Jeszcze tylko kilka metrów...

- Stój! Stój! Zatrzymaj się! - wołali policjanci. Reflektory z widowiska „Dźwięk i światło” tak były ustawione, że oświetlały zamek, część parku, mosty zwodzone i pewien odcinek rzeki, wysepka zaś pogrążona była w ciemnościach. Gdyby Filip zdołał do niej dopłynąć, to może w mroku nocy zmyliłby pogoń. Ale łódź motorowa była już w odległości około trzech metrów od łódki Filipa, pozostającej wciąż w obrębie blasku reflektorów.

- To Filip! - krzyknęła zdumiona Yvonne, bo dopiero teraz rozpoznała wiosłującego. - Ale dlaczego ucieka? Dlaczego ściga go policja?

Nagle stało się coś dziwnego, a zarazem zabawnego. Rzeka była bogata w mielizny i piaszczyste łachy. I oto łódź motorowa policjantów nagle zaryła dziobem w jakąś płyciznę. Utknęła w miejscu tak raptownie, że policjanci omal nie powypadali za burtę. Filip jeszcze szybciej ją poruszać wiosłami i zniknął w mroku nocy.

Czy na długo? Oto policjanci już ścigali łódź z mielizny. Za kilka minut dobiją do wyspy i znajdą na niej Filipa.

Teraz zdecydowałem się.

- Siadaj do wozu - rozkazałem dziewczynce.

A gdy posłusznie wykonała moje polecenie, uruchomiłem silnik i wjechałem samochodem do rzeki. Towarzyszył temu głośny plusk wody, mokre bryzgi uderzyły nas w twarz.

- O Boże! Pana samochód! - krzyknęła zdumiona Yvonne.

- Mój samochód? - powtórzyłem pytanie, zaniepokojony, że może coś zepsuło się w

wehikule. Zapomniałem, że dziewczyna nie miała pojęcia o właściwościach mojego wozu.

- Pana samochód pływa? Przecież on pływa po wodzie! - nie mogła ochłonąć ze zdumienia. - No tak, teraz rozumiem, dlaczego pan jeździ takim pokracznym gratem. On jest cudo! On jest nawet lepszy... od roweru - stwierdziła z mocą, a był to chyba najpiękniejszy komplement, jaki usłyszał mój wehikuł.

Płynąłem do wysepki zatopionej w ciemnościach. Mrok był naszym sprzymierzeńcem, krył nas przed oczami policjantów, którzy ściągnęli łódź z mielizny. Motor wehikułu pracował cichutko, w przeciwieństwie do hałaśliwego dwusuwu łodzi policyjnej. Ani komisarz, którzy całą tę akcję zapewne obserwował z zamku, ani towarzyszący mu Pigeon nie domyślali się, że do pościgu za Filipem włączył się ktoś nowy. Nie wiedział o tym również Filip. Właśnie dobił do wyspy i zadyszany wyładowywał z łodzi jakieś paczki, gdy bezszelestnie tuż obok niego wyłonił się z rzeki mój wehikuł i wyjechał na piaszczysty brzeg.

- Kto to?! - krzyknął przerażony Filip.

- Spokojnie. To ja - odrzekłem wyskakując z wozu.

Filip dojrzał Yvonne i to wzbudziło w nim zaufanie do mnie.

- Policjanci za chwilę tu będą. Niech pan siada do samochodu - rozkazałem.

- Do samochodu? Mam siadać do samochodu? Chce pan mnie utopić? - wybełkotał.

Raptem uświadomił sobie, że znajdujemy się na wysepce otoczonej wodą. A więc przypłynęliśmy tutaj samochodem.

- Jak się pan tu dostał? - zapytał, z trudem opanowując przestrach.

- Szkoda czasu na gadanie. Ten samochód pływa - wyjaśniłem pośpiesznie. - Proszę siadać! Uciekamy!

Pomogłem mu wrzucić paczki do wehikułu. Łódkę zepchnęliśmy na wodę. Powinna była popłynąć z prądem. Policjanci rzucą się za nią w pogoń, myśląc, że kryje się w niej Filip. A gdy dopadną łódki, my już będziemy daleko.

Usłyszeliśmy warkot motoru policyjnej łodzi. Znaczyło to, że ściągnęli ją już z mielizny i teraz płyną do wyspy. Zapalone na łodzi reflektory długim pasem oświetlały rzekę.

„Żeby tylko nie dostrzegli wehikułu” - pomyślałem.

Ale nie. Promień reflektora odkrył łódkę Filipa, niesioną przez prąd rzeki. Policyjna łódź ruszyła w ślad za nią, nie spuszczając z niej smugi światła.

A ja tymczasem cichutko i bez pośpiechu wydostałem się na drugi brzeg. Wjechałem do ogrodu Diany de Poitiers i pilotowany przez Yvonne, zacząłem kluczyć po alejach parkowych.

- Co jest w tych paczkach? - spytałem Filipa.

Ochłonął z przerażenia, jakim napawała go myśl o spotkaniu z policją.

- Przysiągłem baronowi, że nie zdradzę tajemnicy - odrzekł.

Zatrzymałem wehikuł.

- Nigdy nie przykładam ręki do żadnego nieuczciwego przedsięwzięcia - oświadczyłem.

- Uratowałem pana, ponieważ miałem pewność, że ta sprawa nie ma nic wspólnego z Fantomasem. Ale muszę wiedzieć, co jest w tych paczkach.

- Przysiągłem baronowi... - powtórzył Filip.

Wzruszyłem ramionami.

- Obydwaj, zdaje się, nie wzięliście pod uwagę, że policja zastawiła pułapkę. I wasza tajemnica rychło przestałaby być tajemnicą. Skoro pana uratowałem, to chyba mam prawo wiedzieć, co jest w tych paczkach.

- Tak, Filipie. Ja też mam prawo wiedzieć - powiedziała Yvonne. - Stryj jest uczciwym człowiekiem. To, co kryje się w tych paczkach, zapewne to potwierdzi.

Dodałem:

- Cały park jest obstawiony przez policję. Tak czy inaczej, bez mojej dalszej pomocy nie wywiezie pan tych paczek z parku. Musi mi pan, niestety, zdradzić tajemnicę barona.

Filip zdawał sobie sprawę, że nie ma wyjścia. Zmuszony był przystać na mój warunek.

- To niech pan sam zobaczy - mruknął w końcu. Położyłem na kolanach jedną z paczek, odwiązałem oplatający ją sznurek. Ukazało się kartonowe pudełko. A w pudełku - czy uwierzycie? W pudełku była miniaturowa kolejka elektryczna. Prześliczne wagoniki, lokomotywy, zwrotnice, semafony, budynki stacyjne.

- Co to ma znaczyć? - zdumiałem się.

Filip westchnął ciężko.

- Baron bawi się kolejkami elektrycznymi. W podziemiach zamku ma całą salę urządzoną jak wielka stacja kolejowa. Ale pan chyba wie, że ostatnio baron ma kłopoty finansowe, więc wyszukałem mu kupca, który nabywa te kolejki.

- I po co ta tajemnica?

- Pan nie rozumie? - wtrąciła żywo Yvonne. - Myślę, że stryj obawia się śmieszności. A przede wszystkim lęka się ciotki Eveline. Gdyby wiadomość o tych jego dzieciennych upodobaniach dotarła do ciotki, drwiłaby z niego niemiłosiernie. A stryj chce uchodzić za poważnego człowieka.

- Śmiałyby się z niego cała okolica - mruknął Filip.

- I uciekał pan przed policją? Z tym zabawkami? - zawołałem.

- Straciłem głowę. Nie wiedziałem, o co im chodzi - tłumaczył się. - Zobaczyłem, że mnie gonia, więc zacząłem uciekać. Zresztą, nie chciałem zdradzić tajemnicy barona.

- To stryj postanowił pozbyć się tego, czym tak lubi się bawić - ze smutkiem stwierdziła Yvonne. - Czy nie żal mu tych kolejek?

- Żal. Ale nie mamy ani franka - mruknął Filip.

Yvonne podjęła decyzję. Ta pannica lubiła rządzić.

- Kolejki wrócą do stryja - powiedziała stanowczo. - A pieniądze wkrótce się znajdą. Na początek uszczknę coś ze swoich oszczędności. A potem będzie sto tysięcy. Zdobędziemy je

za Fantomasa, prawda, panie Tomaszu?

- Tak jest - przytaknąłem z głęboką wiarą.

Postanowiliśmy, że Filip samotnie, pod ochroną ciemności powróci do zamku, a ja z Yvonne ukryjemy w krzakach paczki z zabawkami. Nazajutrz Filip odniesie je do podziemi. Baronowi wyjaśni, że z powodu obstawy policyjnej nie mógł dostarczyć kolejek kupcowi i ten z nich zrezygnował. Oczywiście, nie wspomni ani słowem, że ja i Yvonne zostaliśmy dopuszczeni do tajemnicy.

- A co powiemy policji? - spytał Filip.

- Proszę mnie zostawić tę sprawę. Wyjaśnię Pigeonowi jego omyłkę - rzekłem. - Jestem pewien, że i policja potrafi zachować dyskrecję, choćby ze względu na swój prestiż. Ale to trzeba zrobić w atmosferze spokoju. Teraz niech pan znika i nie wchodzi policjantom w oczy.

Filip wygramolił się z wehikułu.

- Chwileczkę! - zatrzymałem go. - Podobno w Zamku Sześciu Dam nie ma żadnego tajemnego przejścia. Którędy pan wyniósł paczki?

- W trzecim filarze mostu są schody i drzwi, trochę powyżej poziomu wody. Nazwaliśmy je z baronem tajnym przejściem, ale to nie jest żadne tajne przejście. Gdy się płynie między filarami mostu, widać te drzwi. Ty przecież je znasz, Yvonne. Wszyscy wiedzą o tych schodach do wody.

I tak wyjaśniła się jeszcze jedna zagadka.

ROZDZIAŁ X

• Komisarz jedzie do Chambord • Nowe podejrzenia Pigeona • Jeszcze o zapachu gauloisów • W lasach Chambord • Kłopoty policji • Niezwykły zamek • Franciszek I, Ludwik XV, Stanisław Leszczyński i inni • O obrazach Watteau • Relacje kustosa • Trzy zasadnicze pytania • Na tropie Fantomasa

Nazajutrz wczesnym rankiem łysy komisarz policji z Tours i pan Gaspard Pigeon z kwaśnymi minami wysłuchali mojej relacji o nocnych wydarzeniach i tajemnicy barona de Saint-Gatien. Na dowód, że mówię prawdę, zaprowadziłem ich do ogrodu Diany de Poitiers i pokazałem ukryte w krzakach paczki z miniaturowymi wagonikami i lokomotywami.

- Dlaczego nie pokazał nam pan tych paczek minionej nocy? - zapytał mnie surowo łysy komisarz.

- Atmosfera była zbyt gorąca - odparłem. - A poza tym nie chciałem w tę sprawę wtajemniczać szeregowych funkcjonariuszy policji. Przykro by im było usłyszeć, że zamiast Fantomasa ścigali człowieka, który płynął z pudełkami zabawek.

- Tak - skinął głową komisarz. - Dlatego nie będziemy nadawać tej sprawie żadnego rozgłosu. Niech tajemnica barona pozostanie tylko wśród nas.

- Słusznie - przytaknąłem, świadom, że komisarz obawia się kompromitacji.

I w największej zgodzie poszliśmy na śniadanie do jadalni zamkowej. Baron de Saint-Gatien, jak zwykle, z miłym uśmiechem na twarzy i z ogromną życzliwością odnosił się zarówno do komisarza, jak i do pana Pigeona. Ale zapewne Filip zdążył go już poinformować, że transakcja z kolejkami nie doszła do skutku, ponieważ Pigeon i komisarz zastawili na niego pułapkę. Baron był jednak przekonany, że nikt nie przeniknął jego tajemnicy, i to było

dla niego pociechę.

Ale madame Eveline omal nie zepsuła wszystkiego.

- Caramba, porca miseria! - zawołała podczas śniadania. - Co to były za hałasy i gwizdy minionej nocy? I czemu uruchomił pan, panie komisarzu, aparaturę widowiskową?

Komisarz odpowiedział uprzejmie:

- Staraliśmy się wyjaśnić, w jaki sposób Fantomas wkleił taśmę magnetofonu w aparaturze widowiskowej. A owe hałasy i gwizdy na rzece miały związek z przeprowadzoną przeze mnie próbą sprawności naszej policji, madame.

W ten sposób cała sprawa została wyjaśniona, że tak powiem, oficjalnie. Myślę jednak, że nikt tym wyjaśnieniom nie uwierzył. Podczas śniadania, podobnie jak i podczas kolacji, trwała atmosfera podejrzliwości. Tylko że tym razem to nie komisarz i Pigeon podejrzliwie odnosili się do mieszkańców zamku, ale mieszkańcy zamku podejrzewali policję i Pigeona o jakąś nową kolejną pułapkę.

Zwróciłem się z pytaniem do kustosza:

- Czy wybiera się pan dziś do Luwru z obrazem Van Gogha?

- Tak - odparł pan Durant. - Zabieram dziś obraz do Luwru. Ale pojedziemy dopiero w południe, prawda, madame? - zapytał ciotki Eveline.

- Muszę załatwić zaległą korespondencję - oświadczyła madame Eveline. - Wciąż gdzieś jeżdżę i nawet nie mam czasu odpisać na listy przyjaciół. Poświęcę temu całe popołudnie. A specjaliści i tak zajmą się ekspertyzą dopiero jutro. Wystarczy, że obraz dostarczymy im dzisiaj.

- Wracając zaś do sprawy autentyczności tego płótna - znów zabrał głos pan Durant - jestem pewny, że to oryginał. Moje świadectwo jednak w tym względzie nie wystarczy. Pan baron ma słuszność twierdząc, że zgubna może okazać się choćby plotka, jakoby nasza galeria prezentowała kopie zamiast oryginałów.

Robinoux wyszeptał:

- W drodze do Luwru zajmę się ochroną obrazu. To bardzo ważne, skoro pan Durant jest zdania, że eksperci potwierdzą autentyczność dzieła.

- A co pan będzie robił? - zapytała mnie madame Eveline. - Może wybierze się pan z nami do Paryża?

- Jadę z Yvonne do Chambord - odparłem.

- Do Chambord? - zainteresował się raptem komisarz i zaczął lepić kulki z chleba, co chyba znaczyło, że intensywnie myśli nad jakimś problemem. - Pan, zdaje się, jest znakomitym polskim detektywem. Czy to prawda?

Chrząknąłem, aby pokryć zmieszanie.

- Jestem muzealnikiem - wyjaśniłem. - Ale zajmuję się także fałszerstwami i kradzieżami dzieł sztuki.

- Pan Samochodzik - powiedział o mnie Pigeon - jest głęboko przekonany, że idąc tropem przestępstw Fantomasa, zdoła trafić na rozwiązanie naszej zagadki.

- Ach, tak? Rozumiem - mruknął komisarz. - Dlatego jedzie pan do Chambord, skąd skradziono obraz Watteau - i chwycił nowy kawałek chleba, z którego zaczął lepić małą kulkę. - Czy pozwoli pan, że zabiorę się z wami?

- Ależ oczywiście, panie komisarzu.

Pigeon pogardliwie wzruszył ramionami.

- Ten trop - stwierdził - prowadzi donikąd.

- A czy ma pan może jakiś inny trop? - odpowiedział pytaniem komisarz.

- Nie - stwierdził Pigeon.

Miał przy tym minę tak żalowaną, że aż żal mi się go zrobiło. No cóż, z chwilą gdy ujawniła się tajemnica barona, czuł się biedak bezradny. Byłem jednak pewien, że nie spocznie, dopóki w jego mózgu nie zrodzi się jakaś nowa hipoteza, nasuwająca rozwiązanie za-

gadki Fantomasa. Mimo wszystko wciąż tkwiło we mnie przekonanie, że Pigeon to wielki spryciarz.

I nie myliłem się. Po śniadaniu, gdy szedłem do garażu, aby wyprowadzić wehikuł, zaczął mnie Pigeon. Wyciągnął z kieszeni paczkę gauloisów.

- Zapali pan? - zapytał. - To znakomite papierosy.

- Zapalę - wyjąłem papierosa z jego paczki. - Falszywy Pigeon, czyli pana sobowtór - dodałem - też palił gauloisy.

- Ach, tak? - pokiwał głową Pigeon. - To bardzo ciekawe, proszę pana. Ale jeszcze ciekawsza byłaby odpowiedź na pytanie, które mi od wczoraj nie daje spokoju. A mianowicie: skąd Marchant wiedział, że ja palę gauloisy? Niech mi pan wierzy, nawet najczulszy nos nie wyczuje na odległość palacza gauloisów.

- Niestety, nie znam się na tym.

- Jednakże, wnioskując ze słów Marchanta, zainteresował się pan Orlim Gniazdem. Dlaczego?

- Bo to bardzo piękny stary zamek. I malowniczo położony - odrzekłem wykrętnie.

- Czyżby? - ironizował detektyw. - Przez chwilę nawet naprawdę uwierzyłem, że pana interesują stare zamki nad Loarą. Dlatego myślę, że skoro pan zwrócił uwagę na ciekawą architekturę Orlego Gniazda, to nie stanie się nic złego, jeżeli Pigeon rzuci na nie okiem.

- Radzę to robić dyskretnie. Jak pan wie, Marchant obserwuje wzgórze pod zamkiem przez lunetę. A zdaje mi się, że jest to osobnik, który woli unikać zainteresowania.

- Skąd to przekonanie?

- Podobno nikogo obcego nie wpuszcza. Jego służba przegoniła spod zamku nawet chłopców, którzy tam chwyтали dzikie króliki.

- Ach, tak? - mruknął Pigeon. - A jak pan sądzi, dlaczego zjawił się w Angers w tym samym czasie, co i my?

- Nie mam pojęcia - wzruszyłem ramionami. - Wyjaśnił, że interesuje się historią.
- Bardzo piękne zainteresowania, jak na byłego handlarza win - odparł Pigeon. - Myślałem wiele nad tą sprawą i doszedłem do zadziwiającego wniosku: on spotkał się z nami w Angers, aby nas poinformować, że ktoś chciał mu sprzedać skradziony w naszym zamku obraz Van Gogha.

Zastanowiłem się chwilę.

- Kto wie, czy pan nie ma racji. Tylko w jakim celu miałyby nam udzielić informacji?
- Może chciał dyskretnie podsunąć nam jakiś trop?
- Zamierza pan pojechać do Orlego Gniazda i zapytać o to Marchanta?
- Nie. Bo sądzę, że ten trop okazałby się fałszywy - odrzekł Pigeon. - W takiej sytuacji o wiele bardziej ciekawi mnie informator niż jego informacje.

„Ma jednak głowę na karku” - pomyślałem z uznaniem o detektywie Agencji Ubezpieczeniowej. I postanowiłem dać mu do zrozumienia, że i ja żywię wobec Marchanta pewne podejrzenia. Niech Pigeon nie sądzi, że tylko on potrafi obserwować ludzi.

- A co powiedziałby pan na to - odezwałem się - gdyby nagle okazało się, że Marchant nie tylko nie musi jeździć na inwalidzkim wózku, ale świetnie się wspina po drabinkach sznurowych?

Pigeon aż zakrztusił się dymem gauloisa.

- Coś takiego! - zawołał pokaszując. - Czy pan się opiera na jakichś konkretnych przesłankach?

- Niestety, nie - bezradnie rozłożyłem ręce.

I na tym zakończyliśmy rozmowę, bo podszedł do mnie łysy komisarz policji z Tours.

- No i co? Jedziemy do Chambord? - upewnił się.

- Pigeon uważa, że to tylko strata czasu - stwierdziłem zaczepnie.

Komisarz wzruszył ramionami.

- Ach, ten Pigeon. Przez niego wczoraj o mało nie skompromitowaliśmy się. Powiem panu prawdę: chcę jechać do Chambord, aby tamtejszemu kustoszowi zadać jedno pytanie.

- Nie pytam jakie, bo wiem, że i tak mi go pan nie zdradzi.

- Usłyszysz je pan w zamku w Chambord - rzekł komisarz.

- A teraz jedźmy, dobrze? Zależy mi na czasie, dlatego korzystam z pana samochodu, a nie wzywam z Tours wozu policyjnego.

Pomaszerowałem do garażu i wyprowadziłem swój wehikuł. Potem podjechałem pod zamek i zabrałem do wozu Yvonne i Roberta. We trójkę zjawiliśmy się przed komisarzem, który w oczekiwaniu na wyjazd spacerował po parku.

- Co to za dziwny pojazd? - zapytał, z podejrzliwością zerkając na mój wehikuł. - Może ja wezwę jednak wóz policyjny?

Yvonne dotknął ton jego głosu.

- On jest lepszy od roweru - powiedziała.

Ale komisarz policji nie zdawał sobie sprawy, że te słowa są w ustach Yvonne największym komplementem.

- Lepszy od roweru? - zaniepokoił się. - A może jednak wezwę wóz policyjny?

- Ach, nie ma potrzeby. Pojedziemy bardzo szybko - zapewniłem go.

Nie musiałem jednak się śpieszyć. Z Zamku Sześciu Dam do Chambord nie jest daleko. Komisarz, który doskonale znał tutejsze szlaki, poprowadził nas bocznymi drogami przez Fougeres, Cheverny, Bracieux.

Kilka kilometrów przed zamkiem wjechaliśmy we wspaniałe lasy. Był to właściwie park zamkowy o powierzchni pięciu i pół hektara, z czego ponad cztery i pół stanowiły lasy. Park otoczony był murem długości trzydziestu dwu kilometrów - w przewodniku wyczytałem, że jest to najdłuższy mur we Francji.

Kiedyś te lasy były wspaniałym terenem łowów królewskich. W parku znajdowała się so-

kolarnia i psiarnie, gdzie krzyżowano najlepsze rasy psów myśliwskich z całej Europy. Bo też królowie francuscy byli zapalonymi myśliwymi. Król Ludwik XII potrafił, na koniu goniąc zwierzynę, przesadzić rów pięciometrowej szerokości, Franciszek I zabijał dziki białą bronią, a nawet słaby z natury i chorowity Karol IX spędzał w siodle dziesięć godzin i wspañiale grał na rogu myśliwskim.

Dziś przez ogromny park prowadzi do zamku sześć bram i sześć wspañiałych alei. Sam zamek, o pięknej, białej sylwetce, raptownie wynurza się z zieleni u końca alei i spotkanie z nim wydaje się zawsze zaskakujące i niespodziewane.

Lecz zanim opowiem o Chambord, jeszcze słów kilka o łysym komisarzu policji z Tours. Rozmowa, jaką z nim odbyłem podczas podróży do Chambord, wydaje mi się bardzo ważna.

Przez całą drogę komisarz dość ironicznie odnosił się do mnie, może ze względu na to, że miałem samochód niewiele lepszy od roweru, a także z pobłażliwą ironią traktował Yvonne i Roberta.

- A wy, dzieci, również bawicie się w detektywów, jak ten pan? - zapytał, mając mnie na myśli. Że niby ja bawię się w detektywa. Innymi słowy, nie jestem prawdziwym detektywem.

Zapewne w pojęciu komisarza prawdziwym detektywem był jedynie Pigeon, który miał wspañiałego humbera i pracował dla Agencji Ubezpieczeniowej. Nie wiem, co myślał o panu Robinoux, lecz o ile zdołałem spostrzec, nie spoglądał na niego z sympatią. Policjanci nie lubią prywatnych detektywów i odnoszą się do nich z odrobiną wyższości. Ale pan Robinoux był prawdziwym detektywem, bo miał wizytówkę i za pieniądze ciotki Eveline badał sprawę kradzieży obrazów. A ja? Czy można było traktować poważnie człowieka, który jeździł samochodem „lepszym od roweru”, a wewnątrz tego samochodu przypominało kabinę odrzutowca? Myślę, że traktował mnie jak nieszkodliwego dziwaka. A fakt, że spotkał mnie w Zamku Sześciu Dam, jeszcze bardziej utwierdzał go w tym przekonaniu. Dziwakami byli

baron, madame Eveline. Czy można się dziwić, że mieli oni dziwaczego gościa z dziwnym samochodem?

- Chcę zdobyć sto tysięcy franków nagrody za wskazanie Fantomasa - odpowiedziała mu z powagą Yvonne. - Taka suma wyratowałaby nas z kłopotów finansowych.

- Ach, tak? - uśmiechnął się pobłaźliwie komisarz. - Ale czy ty sądzisz, drogie dziecko, że Fantomas da ci się schwytać tylko dlatego, że zamierzasz zdobyć sto tysięcy franków?

- Wystarczy go wskazać, proszę pana - odrzekła Yvonne. - Schwywanie można pozostawić policji.

- Zapewne przypuszczasz, miłe dziecko, że ów Fantomas jest podobny do gości barona de Saint-Gatien. Zjawi się w waszym zamku i przedstawi się: „Jestem Fantomas”, a wtedy ty go wskażesz policji?

Yvonne wzruszyła ramionami.

- Już miałam przyjemność go poznać, a nawet poczęstować kieliszkiem sherry. Odwiedził nas jako fałszywy Pigeon.

- Skąd masz pewność, że to był Fantomas?

- Nikt inny nie odważyłby się na takie przedsięwzięcie - z głębokim przekonaniem oświadczyła Yvonne.

Komisarz pogłaskał się po łysej głowie.

- Niestety, nic nie wiem o Fantomasie - wyznał szczerze.

Pomny na ironię, z jaką mnie do tej pory traktował, pozwoliłem sobie stwierdzić:

- Myślałem, że policja ma już pewne wyobrażenie o tym osobniku. Bądź co bądź w zamkach nad Loarą grasuje on od dłuższego czasu i popełnił sporo kradzieży.

Komisarz znowu pogłaskał się po łysinie.

- Musi pan przyznać, że mamy do czynienia ze zjawiskiem niezwykle. Kradzież to kradzież, proszę pana. Miał pan jakiś przedmiot i skradziono go panu, czyli już go pan nie ma, a

stał się własnością złodzieja. Tak czy nie?

- Tak - zgodziliśmy się.

- A jak się przedstawia sprawa z Fantomasem? Czy w którymś z zamków nad Loarą zginął choć jeden obraz? Nie, proszę pana. Obrazy wiszą, jak wisiały, na zwykłych miejscach. Podobno jednak zamiast oryginałów wiszą falsyfikaty. Cóż to za kradzież, proszę pana, jeśli do jej stwierdzenia potrzeba ekspertów z Luwru? Sam właściciel nie jest w stanie orzec: skradziono mu obraz, czy też nie? W żadnym zresztą z wymienionych przypadków kradzieży nie odkryto śladów wyłamania zamka czy wyjęcia szyby. Nic takiego, proszę pana. Niech mi pan wierzy, chwilami dochodzę do zaskakującego wniosku: nie było żadnych kradzieży obrazów.

- A jednak eksperci z Luwru stwierdzają, że przywiezione do nich obrazy są falsyfikatami, choć właściciele mieli oryginały.

Komisarz westchnął i wskazał palcem mój wehikuł.

- Oto jest pański samochód. Pewnego dnia przychodzi pan do mnie i powiada: „Skradziono mi samochód lepszy od roweru.” Ale ja widzę, że pan przyjechał do mnie tym samochodem, i wyrażam zdziwienie. Pan jednak twierdzi, że wprawdzie ten samochód jest taki sam jak poprzedni, ale zdaniem ekspertów to jest jednak inny samochód, czyli falsyfiakat. Nawet pan, właściciel tego dziwnego pojazdu, nie jest w stanie stwierdzić, czy jeździ tym samym wehikułem. I jakże w tej sytuacji pomóc ma policja? Powinniśmy zapytać: „Czy jeździ się panu równie dobrze, jak dawniej?” Odpowie pan, że tak. „No, to niech pan sobie dalej nim jeździ i głowy nam nie zawraca” powinniśmy panu rzec i go pożegnać.

- Z dziełami sztuki jest nieco inaczej - odparłem. - Wprawdzie falsyfiakat Van Gogha wygląda tak samo jak oryginał, a w każdym razie różnice są dla laika zupełnie niedostrzegalne, lecz jednak wartość falsyfikatu jest znikoma w porównaniu z wartością oryginału. Dla właściciela i tych, którzy oglądają obraz, ważne jest, że każdą plamkę na tym płótnie malował

Van Gogh, a nie oszust.

- A właśnie - burknął komisarz. - Tego zupełnie nie rozumiem. Albo obraz jest ładny, albo brzydki. I na tym koniec. Proszę mi jednak powiedzieć, jak w takich warunkach przeprowadzić śledztwo?

Uśmiechnąłem się. Sytuacja rzeczywiście była nietypowa. Walka z Fantomasem przestała, zdaje się, możliwości policji z Tours. Komisarz zerknął do swojego notesu.

- W Chambord skradziono obraz Watteau. Tytuł obrazu: *Park*. Co to był za malarz ten Watteau, proszę pana?

- Antoine Watteau - rozpocząłem wyjaśnienia - był francuskim malarzem pochodzącym z Flandrii. Żył na przełomie siedemnastego i osiemnastego wieku. Na dworze francuskim po śmierci Ludwika XIV zapanowała moda na sztukę lekką i przyjemną, radującą oko bogactwem barw. Takim dworskim artystą był Watteau, który malował wiele wspaniałych pejzaży. Ale krajobraz był dla niego tylko tłem, jakby sztuczną, teatralną dekoracją, w której przedstawiał „wytworne zabawy”: kolombiny uciekające przed pierrotami, rozbawione towarzystwo na trawie w parku dworskim. Koloryt tych scen był baśniowy. Watteau był artystą niezwykle wrażliwym na barwy i malował naprawdę pięknie. Zresztą, jak stwierdzają znawcy, ten jego baśniowy świat krył głębszy sens. Watteau swoim piknikom i zabawom nadawał poetyckie, a nawet filozoficzne znaczenie. Patrząc na jego obrazy, gdzie wszystko jest takie uładzone i upozowane, nie sposób jednak oprzeć się wrażeniu jakiegoś smutku, który z nich emanuje. Oglądając je, trzeba się zastanowić nad złudnością szczęścia i piękna...

Komisarz policji z trzaskiem zamknął notes.

- O la la! Jakie to wszystko wzruszające - burknął. - Gdyby pan jeszcze powiedział, kto skradł oraz Watteau z zamku w Chambord, byłbym w pełni zadowolony.

Nie musiałem mu odpowiadać, bo oto nagle wyłoniła się przed nami ogromna, przepiękna biała sylwetka zamku w Chambord.

Napisałem „zamek” i tak o nim piszą w przewodniku, lecz choć wzorowany na twierdzy feudalnej, zbudowany został w okresie wpływów renesansu i nigdy nie spełniał funkcji obronnych. To nie zamek, ale raczej wspaniały pałac królewski. Przeogromny, najobszerniejszy ze wszystkich, jakie znajdują się w dolinie Loary. Jest w nim czterysta czterdzieści komnat i pomieszczeń mieszkalnych. Wielkością dorównuje Wersalowi, a jak mówią niektórzy, był także „zwiastunem” Wersalu.

Pałac w Chambord zbudował Franciszek I po roku 1519, a robił to z takim zapalem, że nie kazał przerwać budowy nawet wtedy, gdy kasa państwowa świeciła pustkami, gdy nie miał pieniędzy, aby wykupić z niewoli swoich synów. Chciał zmienić bieg Loary, aby płynęła obok jego zamku, ale jego architekci przerażeni tak gigantycznym przedsięwzięciem odradzili mu to. Musiał się zadowolić zmianą koryta rzeki Cosson, która teraz przepływa nie opodal pałacu.

Budowę kontynuował król Henryk II. I tak powstało wielkie dzieło, jakby wykute dłutem znakomitego rzeźbiarza.

Głównym trzonem zamku jest potężny donżon, otoczony wieżami. Do czterech narożnych wież prowadzą wspaniałe dwupiętrowe galerie, wsparte na arkadach. One to zamykają wielki czworobok pałacu.

Znawców architektury zachwycają przede wszystkim dwa elementy architektoniczne: schody i taras. Schody - kiedyś jedyne w swoim rodzaju - od dołu jednym ciągiem prowadziły aż pod dach. Ale ze względu na trudności, jakie nastęrczały przy wchodzeniu, Franciszek I kazał zrobić na nich podesty i połączyć je z poszczególnymi piętrami. Dziś także jeszcze robią duże wrażenie.

Z tarasu, zbudowanego według wzorów włoskiej architektury, dwór obserwował przyjazdy i odjazdy myśliwych na koniach, przybycie znakomitych gości, pokazowe ćwiczenia wojskowe, parady, walki rycerskie.

W Chambord bywało wielu królów, dziewięciokrotnie przyjeżdżał tu Ludwik XIV. Warto jednak wiedzieć, że bywał tu także ktoś, kogo współcześni ledwie tolerowali, a przecież zapisał się w historii złotymi zgłoskami i pozostał w pamięci potomnych na zawsze, w przeciwieństwie do niejednego potężnego władcy.

Tu, w Chambord słynny komediopisarz francuski Moliere⁵² pisał i wystawiał swoje komedie, między innymi *Mieszczanina szlachcicem*. Los komediopisarza na dworze królewskim nie był łatwy. Pochlebcy chwalili sztukę, jeśli król ją chwalił, gotowi zaś byli do druzgocącej krytyki, jeśli król podczas przedstawienia ani razu nie uśmiechnął się. Opowiadają, że podczas wystawienia jednej ze sztuk w pałacu w Chambord Molier, który w niej grał, z przerażeniem obserwował ponurą minę króla Ludwika XIV, zdając sobie sprawę, że po zakończeniu przedstawienia czekają go nie lada złośliwości ze strony dworaków. W pewnej chwili zrozpaczony, wskoczył na akompaniujący mu klawikord i uciekł ze sceny. Król roześmiał się. Sztuka była uratowana.

Dla nas, Polaków, Chambord związane jest z nazwiskiem króla Stanisława Leszczyńskiego. Znacie chyba z historii tragiczne dzieje tego króla? Otóż był on teściem króla francuskiego, Ludwika XV, który ożenił się z Marią Leszczyńską. Gdy Stanisław Leszczyński musiał opuścić Polskę, potężny zięć pozwolił mu zamieszkać w zamku Chambord. Tutaj do dziś oglądać można gabinet Stanisława Leszczyńskiego i meble, których używał.

Tyle o historii. Nas przywiodły do Chambord sprawy współczesne, gonitwa za Fantomasem.

Pozostawiliśmy wehikuł na parkingu pałacowym, a potem przez wejście królewskie, tak zwane Porte Royale, weszliśmy do hallu. Zajrzeliśmy do wspaniałej sali przyjęć, gdzie wy-

⁵² **Moliere**, właśc. Jean Baptiste Poquelin (1622-1673) - największy komediopisarz francuski. Wiódł żywot wędrownego aktora, zmarł na scenie. Jego komedie zyskały światowy rozgłos: *Pociągłe wykwintnisie*, *Chory z urojenia*, *Szkola mężów*, *Szkola żon*, *Świętoszek*, *Skąpiec*, *Mizantrop*, *Lekarz mimo woli* i inne. U nas wystawiane są w przekładach Boya-Żeleńskiego.

stawione były pisma dotyczące historii pałacu, i po chwili zaprowadzono nas do kustosza.

Przybywając do Chambord w towarzystwie komisarza policji, mieliśmy ułatwioną sytuację. Kustosz, pan Gaston L., przyjął nas natychmiast. Miał chyba ze trzydzieści pięć lat, pyzate policzki, różową cerę i jasne kędziory, co upodobało go do barokowego amorka. Urzędował w zabytkowym rokokowym gabinecie. Nad kanapą, na której usiedliśmy, spostrzegłem obraz Watteau, przedstawiający zabawę w parku dworskim.

- Czy to o ten obraz pokusił się złodziej? - zapytałem.

- Tak - odrzekł kustosz. - Ten to falsyfikat. Zachodzimy w głowę, w jaki sposób dokonano kradzieży, bo dostać się tu bez mojej zgody nie sposób. Gabinet mój znajduje się na piętrze. Odźwierni pilnują wejścia do pałacu, na każdym piętrze znajduje się strażnik. Drzwi do gabinetu zamknięte są na dwa zamki zatrzaskowe, do których klucze noszę zawsze przy sobie.

Komisarz był w złym humorze. Burknął:

- Pan mówi o kradzieży obrazu, a ja widzę obraz na ścianie, he?

- Mieliśmy oryginał Watteau - odparł kustosz, trochę zdumiony słowami komisarza.

- Wyglądał tak samo jak ten? - burknął znowu komisarz.

- Tak samo. Nawet ja, obcując wciąż z tym obrazem, nie byłem w stanie stwierdzić, czy zamieniono go na falsyfikat. Dopiero eksperci z Luwru...

- Wiem, wiem. Znam wyniki śledztwa w tej sprawie - machnął ręką komisarz. - Ale dlaczego, u licha, pytał pan ekspertów, skoro obraz wydawał się panu identyczny?

- Mówiłem o tym podczas śledztwa. Najpierw przyszedł list z pogrózkami od jakiegoś Fantomasa... - zaczął wyjaśnienia kustosz.

W milczeniu, z uwagą wysłuchaliśmy relacji kustosza. Była podobna do tej, jaką już słyszeliśmy w Amboise i w Angers.

A więc najpierw list z żądaniem okupu i pogrózkami, że przed upływem miesiąca skra-

dziony zostanie obraz Watteau. Kustosz oczywiście powiadomił policję i przedsięwziął wszelkie środki zabezpieczające obraz przed kradzieżą. Ale gdy minął miesiąc wyznaczony przez Fantomasa, ktoś ze zwiedzających zwrócił kustoszowi uwagę, że obraz Watteau w jego gabinecie wygląda na falsyfikat. Kustosz zaniepokoił się i zawiózł obraz do Luwru, gdzie ekspertyza potwierdziła fałszerstwo.

Zadałem pierwsze pytanie:

- A kim był ten człowiek, który pierwszy zwrócił uwagę, że obraz jest falsyfikatem?

- Nie pamiętam jego nazwiska - odparł kustosz. - Zdaje mi się, że był to jakiś cudzoziemiec. W każdym razie należał chyba do wielkich znawców Watteau, skoro przy powierzchownych oględzinach obraz wydał mu się zręczną kopią.

Drugie pytanie:

- Czy osobiście odwiózł pan obraz Watteau do ekspertyzy w Luwrze?

I odpowiedź kustosa:

- Tak. Własnym samochodem. Ale w asyście strażnika.

Nastąpiło teraz trzecie moje pytanie. Gdy je zadawałem, spostrzegłem, że na łysej czaszce komisarza pokazały się drobne kropelki potu. Komisarz trwał w wielkim napięciu nerwowym. Odniosłem wrażenie, że już otwierał usta i zrobił ruch ręką, aby wtrącić się do naszej rozmowy i zadać kustoszowi pytanie, lecz ja go uprzedziłem.

- Czy po drodze, panie kustoszu, nie miał pan jakiegoś wypadku samochodowego?

W tym momencie spostrzegłem zdumione twarze Yvonne i Roberta. Mnie zaś leciutko drgnęły kolana, co znaczyło, że podobnie jak komisarz znajduję się w stanie silnego napięcia nerwowego.

- Nie miałem żadnego wypadku - odrzekł zdziwiony kustosz.

- Naprawdę żadnego? - tym razem wtrącił się komisarz. - Nie zapchał się panu gaźnik, nie przebiła się dętka w kole?

- Ach, o to panu chodzi? - uśmiechnął się kustosz. - Owszem. Nawaliły hamulce w moim wozie i musiałem skorzystać z pojazdu Pomocy Drogowej.

Zerwałem się z krzesła, skoczyłem do biurka kustosza i chwyciłem słuchawkę telefonu.

- Panie komisarzu - powiedziałem z trudem, bo czułem, że coś ścisza za gardło. - Trzeba zadzwonić do Amboise i Angers. Jeśli i tamtejsi kustosze mieli po drodze podobne kłopoty...

Komisarz podszedł do biurka i wyjął mi z rąk słuchawkę.

- Nie trzeba dzwonić - rzekł. - Ja wiem, że oni też mieli kłopoty, jadąc z obrazem do Luwru. Przyjechałem tutaj z panem, aby zadać kustoszowi pytanie, czy nie miał jakichś przygód w drodze. Pan mnie wyręczył, Panie Samochodzik. Zdaje mi się, że obydwoj w tym samym czasie wpadliśmy na trop Fantomasa.

Spojrzałem na komisarza z najwyższym uznaniem.

- Pan Durant tak barwnie opowiadał o kłopotach w drodze do Paryża - wyjaśniłem kustoszowi - że to nasunęło mi pierwsze nieśmiałe podejrzenia.

- A ja brałem całą sprawę na rozum - wyjaśnił z dumą komisarz. - Po prostu żadnego z tych obrazów nie można ukraść. A więc one nie zostały skradzione. Pan rozumie?

- Rozumiem. Jak najbardziej rozumiem - zawołałem.

Ale ani kustosz, ani Yvonne i Robert nie zrozumieli nic z naszej rozmowy.

- Jak to, nie zostały skradzione? - zdumiał się kustosz. - Przecież ten Watteau, który u mnie wisiał, został zamieniony na kopię. Czy to nie jest równoznaczne z kradzieżą?

- Ależ tak, drogi panie - kiwnął głową komisarz. - Obraz Watteau został skradziony. Tylko nie z zamku. Stało się to w drodze do Luwru...

- Przecież ja do Luwru wiozłem falsyfikat! - zawołał kustosz.

- Nie, proszę pana - tym razem ja zabrałem głos. - Wiózł pan oryginał, o którym pan myślał, że jest falsyfikatem. A oryginał stał się falsyfikatem dopiero w drodze do Paryża.

Teraz również Yvonne pojęła, na czym polega metoda Fantomasa.

- Pan Durant! - zawołała przerażona. - Pan Durant będzie dziś wioził obraz Van Gogha do Luwru. Boże drogi, nasz Van Gogh jest oryginałem, a w drodze Fantomas dokona zamiany na falsyfikat!

Komisarz już rozmawiał telefonicznie z Zamkiem Sześciu Dam.

- Czy Zamek Sześciu Dam? - krzyczał do telefonu. - Poproszę do aparatu pana Duranta... Mówi komisarz policji w Tours. To ważna sprawa. Co takiego? Kustosz przed chwilą wyjechał do Paryża? Z madame Eveline? Samochodem alpine reault?

Przypomniała mi się przechwycona wczoraj nocna rozmowa złoczyńców: „Jutro o czternastej akcja X”. A więc chodziło o kradzież obrazu Van Gogha, wiezionego do Luwru.

Tymczasem komisarz policji połączył się z komisarzem policji w Orleanie, tamtędy bowiem w drodze do Paryża mieli przejeżdżać kustosz i madame Eveline.

- Dlaczego ja nie przyjechałem wozem policyjnym? - jęknął zrozpaczony komisarz, odkładając słuchawkę.

Spojrzałem na zegarek.

- Panie komisarzu - powiedziałem. - Jest w tej chwili trzynasta. Kradzież nastąpi za godzinę. Madame Eveline i kustosz będą musieli przejeżdżać przez Blois. My tam możemy być za chwilę i spotkać się z nimi gdzieś na trasie. Panie komisarzu, proszę do mego wozu - oświadczyłem rozkazująco.

Wybiegliśmy z zamku, nawet nie żegnając kustosza.

Na zamkowym parkingu, gdzie stał mój wehikuł, komisarz policji bezradnie rozłożył ręce.

- Jezus Maria - mruknął. - Tym wehikulem mamy wyprzedzić alpine reault! Na Jowisza, już lepiej jechać rowerem!

Uspokajającym gestem położyłem dłoń na jego ramieniu.

- Niech pan wsiada, panie komisarzu. Mój samochód ma przerzutkę...

- Przerzutkę?

- A tak. Gdy przerzucę w nim biegi, pojedzie nawet dwieście pięćdziesiąt kilometrów na godzinę - powiedziałem i mrugnąłem do Yvonne.

ROZDZIAŁ XI

• Jak odkryłem metodę Fantomasa • Do trzech razy sztuka • Podejrzane osoby • Plan schwytania Fantomasa • W motelu • Kapeluszczyk i ciotka Eveline • Czy samochód jest niezawodny • Co się przydarzyło na szosie • Szaleńczy pościg • I znowu helikopter • Strzał komisarza

Nie musieliśmy się jednak śpieszyć. Pan Durant i ciotka Eveline powinni byli jechać szosą przez Blois, w kierunku Orleanu. Z Chambord do szosy było tylko kilkanaście kilometrów. A uwzględniając fakt, że dopiero przed chwilą opuścili Zamek Sześciu Dam, powinniśmy, nie śpiesząc się, znaleźć się na tej trasie przed nimi.

Jak powiadam, jechałem wolno, więc łysy komisarz policji, a również Yvonne i Robert potraktowali moje słowa o przerzutce w wehikule jako zwykły żart. Nikomu z nich zresztą nie chciało się rozmawiać o tej sprawie. Yvonne i Roberta interesowało przede wszystkim, w jaki sposób wpadłem na trop metody Fantomasa.

- Pamiętacie chyba - zacząłem wyjaśnienia - że od pierwszej chwili mego przyjazdu do Zamku Sześciu Dam trapiło mnie w zasadzie jedno pytanie: dlaczego Fantomas ostrzega przed kradzieżą? Przecież podobne ostrzeżenia utrudniały mu złodziejską działalność. I, jak widać, różne na ten temat rozważaliśmy odpowiedzi. Lecz żadna z nich nie była dla mnie przekonująca. Wreszcie doszedłem do wniosku, że Fantomas chyba nie działa przeciw sobie. A więc te ostrzeżenia nie utrudniają mu kradzieży, lecz na odwrót - ułatwiają. Albowiem w ludziach odpowiedzialnych za obraz budzą niepokój, uczucie zagrożenia. Fantomas działał jak znakomity psycholog.

- A dlaczego usiłował wzbudzić niepokój? - zapytał Robert.

- Jeszcze nie rozumiesz? - zdziwiłem się. - Po otrzymaniu ostrzegawczego listu kustosz zaczął żyć w lęku o obraz. Wystarczyło, by ktoś zasugerował mu, że obraz jest falsyfikatem, a kustosz gotów był uwierzyć, że tak jest naprawdę. I pędził z obrazem do Luwru. Zwróćcie uwagę, że za każdym razem wątpliwości co do autentyczności obrazu wysuwali jacyś bliżej nie znani osobnicy. Byli to ludzie nasłani przez Fantomasa. Albowiem Fantomas nie jest duchem, nie umie przenikać przez mury i stawać się niewidzialnym dla strażników i fotokomórek. Jego metoda polegała na tym, że oddziałując psychologicznie na kustosza, niejako zmuszał go do wyniesienia obrazu ze znakomicie strzeżonego miejsca. Podczas transportu obrazu łatwo było spowodować jakiś wypadek czy drobne uszkodzenie i dokonać zamiany oryginału na falsyfikat. Sądzę, że Fantomas zjawiał się zawsze w postaci Pomocy Drogowej.

- Tak - zgodził się ze mną komisarz policji. - I ja, choć innymi drogami, doszedłem do takich samych wniosków. Dla mnie jako dla policjanta stawało się coraz bardziej oczywiste, że z galerii zamkowych nie można ukraść obrazu, nie pozostawiając śladów włamania. A więc skoro tak, to logiczna była tylko jedna odpowiedź: nie dokonano żadnych kradzieży. Taka odpowiedź jednak nikogo nie mogła zadowolić. Wszak kradzieże były faktem. Rozmyślając nad tą sprawą doszedłem do przekonania, że z zamku wywożono oryginał, do Luwru zaś trafił falsyfikat. A więc między zamkiem a Luwrem następowała zamiana oryginału na falsyfikat.

Wróciłem do swoich wyjaśnień:

- Pierwsze podejrzenia zrodziły się w mojej głowie po wizycie fałszywego Pigeona. Doszedłem do logicznego zresztą wniosku, podobnie jak komisarz, że z uwagi na obecność kustosza i Yvonne oraz strażnika fałszywy Pigeon nie mógł nic ukraść w galerii. A skoro tak, to po co była ta maskarada?

- A właśnie: po co? - zapytał Robert.

- O, to jasne - odrzekłem. - Fantomasowi udało się już raz sztuczka z pogrózkami, żądaniem okupu i zakwestionowaniem autentyczności obrazu. Pan Durant, jak wiemy, zawiózł obraz Cezanne'a do Luwru, a w drodze zamieniono oryginał na kopię. Fantomas jednak obawiał się, że ta sama sztuczka z drugim obrazem może się nie udać. Trzeba było wszystkich przebywających w Zamku Sześciu Dam utwierdzić w przekonaniu, że obraz Renoira rzeczywiście został skradziony niemal na ich oczach. Falszywy Pigeon był w galerii, ale nie wyniósł z niej obrazu Renoira. Jak słusznie przewidział Fantomas, obraz Renoira odjechał do Luwru. W drodze dokonano zamiany oryginału na kopię.

- W jaki sposób?

- Tego oczywiście nie wiem. Trzeba zapytać pana Duranta, co robili mechanicy z Pomocy Drogowej. Jedno jest pewne: Fantomas tym razem przedobrzył sprawę. Doszedł do wniosku, że ma do czynienia z takimi naiwniakami, iż może sobie pozwolić na trzeci skok: ukraść obraz Van Gogha, a raczej zmusić pana Duranta, aby i ten obraz zawiózł do Luwru. I oto do Zamku Sześciu Dam przyszedł trzeci list z żądaniem okupu, tym razem za obraz Van Gogha. Mało tego, zjawił się ktoś, kto zaczął sugerować, że listy z żądaniem okupu przychodzą już po dokonaniu kradzieży. Innymi słowy, fałszywy Pigeon ukraść nie obraz Renoira, ale obraz Van Gogha.

- Robinoux... - szepnęła Yvonne.

- Ten prywatny detektyw? - zdziwił się komisarz. - Pan go podejrzewa o współpracę z Fantomasem?

- Może to on nadawał świetlne sygnały? - powiedział Robert.

- Tak, jego podejrzewam. Powinien go pan aresztować - powiedziałem do komisarza.

Potań starannie swoją łysinę.

- To są tylko podejrzania, drogi panie. Aby kogoś aresztować, trzeba mieć dowody.

Wtrąciła się Yvonne:

- Jest jeszcze jedna osoba podejrzana. Przypomina fałszywego Pigeona.
- Któż to taki? - zainteresował się komisarz
- Pierre Marchant.
- Właściciel Orlego Gniazda? Na litość boską, chyba panienka nie posądza tego niešťęśliwego kaleki o współudział w kradzieżach obrazów?
- A właśnie że go podejrzewam. Tak samo drapie się za lewym uchem jak fałszywy Pigeon.

Komisarz policji pogładził dłonią łysą czaszkę.

- Nie, proszę państwa. Tego już trochę za wiele. Oskarżać kogoś o współudział w przestępstwie tylko dlatego, że ten ktoś drapie się za lewym uchem, nie, to przechodzi wszelkie wyobrażenie!...

Yvonne zrobiła nadęsaną minę.

- To już pańska sprawa, panie komisarzu. Ponieważ jednak w grę wchodzi nagroda w wysokości stu tysięcy franków za wskazanie Fantomasa, proszę zapamiętać, że to ja pierwsza wskazałam pana Marchanta jako osobnika niezwykle podejrzanego. Powtarzam: niezwykle podejrzanego.

- Naturalnie, zapamiętam to sobie - uśmiechnął się łaskawie komisarz policji.

Yvonne miała rozradowaną buzię.

- W takim razie ta sprawa jest przeze mnie zaklepana. I jeśli zwróci się do pana ktoś inny, wskazując Marchanta, proszę mu powiedzieć, że ja byłam pierwsza.

- Czyżby ktoś jeszcze podejrzewał tego pocziwego handlarza win? - zdziwił się komisarz.

Zabrałem głos w tej materii:

- Miałem dziś rano rozmowę z Pigeonem. Wywnioskowałem, że i on żywi co do Marchanta niejakie podejrzenia.

- Ach, tak... - mruknął komisarz. Dopiero teraz jak gdyby nieco poważniej potraktował słowa Yvonne.

Na tym rozmowa urwała się, bo znaleźliśmy się na szosie N-154, prowadzącej z Blois do Orleanu. Tuż za wioską Mer odkryliśmy przy drodze maleńki motel, przerobiony z dawnej karczmy czy przydrożnego zajazdu. Był to dość długi dom z kamienia łupanego. Mieściła się tam salka restauracyjna. Przylegał do niej taras, na którym stały wiklinowe fotele i stoliczki.

Zaparkowałem wehikuł przed motelem i wraz z Yvonne i Robertem usiedliśmy na tarasie. Obok nas przejeżdżały samochody z Orleanu i do Orleanu. Mieliśmy pewność, że nie umknie naszej uwagi alpine renault ciotki Eveline. A i ona chyba dostrzeże nas na tarasie, popijających oranżadę.

W motelu był telefon. Komisarz policji natychmiast zamknął się w kabinie i najprawdopodobniej rozmawiał z policją w Orleanie. Zapewne na wypadek spotkania z Fantomasem wolał mieć pod ręką szybki wóz policyjny.

Wkrótce zjawił się obok nas i gładząc się po łysinie, oświadczył:

- Zmieniłem plan. Nie będziemy ostrzegać madame Eveline i pana kustosa przed czekającym ich atakiem Fantomasa. Jeśli istnieje choćby nikła szansa schwytania złodzieja na gorącym uczynku, muszę ją wykorzystać.

- A obraz? Przecież ryzykujemy, że oni ukradną obraz! - zawołałem.

- Trudno. Trzeba coś ryzykować, jeśli chce się wygrać dużą stawkę. Cóż bowiem z tego, że wiemy już, w jaki sposób dokonywano zamiany oryginałów na kopie, skoro złodzieje starannie zatarli za sobą ślady? Nie mamy ich rysopisów, nie znamy nazwisk, nie wiemy, gdzie ich szukać. A w tej chwili nadarza się okazja zetknięcia się z nimi bezpośrednio. Muszę skorzystać z tej szansy. Skontaktowałem się z policją w Orleanie i wóz policyjny będzie czekał na mnie na przedmieściu miasta. Zatrzymamy samochód madame Eveline i ja wsiądę do niego, aby się nim zabrać do Orleanu. Tam przesiądę się do wozu policyjnego, którym poje-

dziemy w ślad za madame Eveline. W momencie gdy Fantomas przystąpi do akcji, my włączymy się również.

- Zapomina pan o Robinoux - powiedziałem. - Jeśli wsiądzie pan do ich wozu, on nabierze podejrzeń i Fantomas zrezygnuje z akcji.

Komisarz wzruszył ramionami.

- W Orleanie wysiądę. Jeśli więc nawet zacznie coś podejrzewać, to zdołam uspić jego czujność.

- Jak pan sobie życzy - odparłem. - Ja jednak również pojedę w ślad za madame Eveline.

- Dlaczego?

- Chcę się przyjrzeć pracy policji - odrzekłem beczelnie.

Znowu wzruszył ramionami i zażądał od kelnera szklanki oranżady, takiej, jaką i my piliśmy. Nie zdążył jednak jej wypić, bo Yvonne dojrzała na szosie zbliżający się wóz ciotki Eveline. Dziewczynka wybiegła na skraj szosy, machając ręką.

Piszcząc hamulcami, alpine renault zatrzymał się przed motelem.

- Caramba, porca miseria! - zawołała madame Eveline, wysiadając ze swego stalowego rumaka. - A wy co tu robicie? - spytała zauważywszy komisarza, Roberta i mnie.

- Zwiedzaliśmy zamek w Chambord, a teraz chcemy jeszcze skoczyć do Orleanu - wykrętnie wytłumaczyła nas Yvonne.

- Nie zwracajcie więc nam głowy, bo nam się śpieszy - powiedziała ciotka Eveline. - Czuję, że dzisiaj wycisnę z tego biedaka ostatni dech - poklepała swój samochód po błotniku.

Zobaczyłem przerażoną minę pana Duranta, który siedział na przedzie. Detektyw Robinoux tkwił na tylnym siedzeniu. Na kolanach piastował owinięty w papier i owiązany sznurkiem obraz Van Gogha. Robinoux był blady, aż zielonkawy. Zapewne od chwili wyjazdu z Zamku Sześciu Dam madame Eveline gnała na złamanie karku.

Zauważyłem, że Yvonne i Robert z ogromną uwagą wpatrują się w pana Robinoux. Przestraszyłem się, że może to spostrzec i nabierze podejrzeń. Odciągnąłem ich na bok.

- Przestańcie się na niego gapić - szepnąłem do Yvonne.

- Pan naprawdę sądzi, że on jest pomocnikiem Fantomasa albo samym Fantomasem? - zapytała mnie Yvonne, a w głosie jej zabrzmiało powątpiewanie.

- Tak sądzę.

- Wygląda niewinnie - mruknęła dziewczynka.

- On nigdy nie wyglądał niewinnie - odparował Robert. - Ma podejrzanie ponurą minę.

- A jak ty, Yvonne, wyobrażasz sobie Fantomasa albo jego pomocnika? Że ma zęby wystające z ust jak wampir i toczy wokół wściekłym spojrzeniem? - zaśmiałem się. - Przypomnij sobie fałszywego Pigeona. Również prezentował się bardzo sympatycznie.

- Mój Boże, skąd ciotka Eveline wytrzasnęła tego detektywa? - zastanawiała się Yvonne.

A tymczasem komisarz policji wprosił się do alpine renault.

- Czy madame nie będzie miała nic przeciw temu, abym pojechał z nią do Orleanu? - zapytał. - Mam tam do załatwienia pewną sprawę, a wehikuł tego pana jest tylko nieco lepszy od roweru.

- Lepszy od roweru? - zachichotała ciotka Eveline. - Caramba, porca miseria, lepszy od roweru, pan powiada. Mój alpine też jest nieco lepszy od roweru - nie przestawała chichotać.

Detektyw Robinoux nie był chyba zachwycony propozycją jazdy w towarzystwie komisarza, ale nie dał tego po sobie poznać. Zapewne aby ukryć swoje niezadowolenie, wychylił się ku mnie przez okno samochodu i szepnął uprzejmie:

- A co w Chambord, drogi panie? Czy trafiliście na ślad Fantomasa?

- Tak - odparłem szczerze, chcąc go zaniepokoić.

- Czyżby? - skrzywił się ironicznie.

- Nikły to ślad - powiedziałem, aby uspić jego czujność. - Obejrzeliśmy fałszywy obraz

Watteau. Jeśli znajdziemy artystę, który robił kopie dla Fantomasa, to po nitce trafimy do kłębka.

- Ach, tak - odetchnął z wyraźną ulgą.

Ciotka Eveline szarmanckim gestem wskazała komisarzowi miejsce w swoim wozie.

- Proszę wsiadać i dobrze trzymać się siedzenia - oświadczyła. Machnęła nam ręką na pożegnanie, zasiadła za kierownicą, wrzuciła pierwszy bieg i puściła sprzęgło tak szybko, że wozem mocno szarpnęło. Komisarz stuknął łusą głową w plecy pana Duranta.

Wóz ciotki miał wspaniałą zryw. Po chwili jego pasażerów dla odmiany aż wgniotło w fotele. A po kilku sekundach zniknął za zakrętem szosy.

- Niech pan teraz przestawi swoją przerzutkę - zaproponowała Yvonne, gdy zasiedliśmy w wehikule.

- Nie martw się. Dogonimy ich - powiedziałem sadowiąc się za kierownicą.

Nie widziałem na razie potrzeby demonstrowania możliwości mego wehikułu. Do Orleanu pozostawało jeszcze niecałe trzydzieści kilometrów, ruch na szosie był ogromny i ciotka Eveline nie mogła rozwinąć dużej szybkości. Dogoniła kolumnę wielkich ciężarówek, a ponieważ z przeciwnej strony wciąż nadjeżdżały coraz to nowe auta, musiała wlec się w kolumnie. Wkrótce ją dogoniłem i jechałem za nią oddalony zaledwie o trzy osobowe citroeny, które wpakowały się między jej wóz a mój wehikuł.

Tak dojechaliśmy do przedmieścia Orleanu. Tutaj kolumna ciężarówek skręciła w boczną ulicę, a komisarz policji wysiadł z wozu ciotki Eveline. Zauważyłem, że natychmiast podbiegł do jakiegoś samochodu, który stał w małej uliczce. Zaś madame Eveline pomknęła do centrum miasta i zatrzymała się przed sklepem.

- Oho, zdaje mi się, że będzie nowy kapelus - domyśliła się Yvonne. - Tu właśnie pracuje najlepsza modystka w Orleanie.

Nie czekaliśmy, aż ciotka Eveline pokaże się nam w nowej kreacji. Wyjechaliśmy na

szosę N-20 do Paryża i zatrzymaliśmy się na skraju Borów Orleańskich. Ciotka Eveline musiała znowu przejeżdżać obok nas. Gdzieś tutaj również powinien był nastąpić atak Fantomasa na obraz Van Gogha.

- Co pan zamierza zrobić? - spytała Yvonne. - Chce pan schwytać Fantomasa, gdy będzie usiłował zamienić obrazy?

- Nie żartuj, Yvonne - zaśmiałem się. - Czy sądzisz, że poradzilibyśmy sobie ze zgrają opryszków? Po prostu nie mógłbym sobie darować, gdyby jednak Fantomasowi udało się zamienić obrazy. Komisarz za dużo ryzykuje. Będziemy czuwać nad obrazem Van Gogha, a komisarzowi pozostawimy opryszków. Dlatego pojedziemy skromnie za nimi, jako świadkowie wydarzeń. Gdy z mrocznych borów wyłoni się nagle tajemniczy wóz Fantomasa...

- Teraz to pan żartuje. Przypuszcza pan, że Fantomas wyjedzie z lasu?

- Nie, Yvonne. Przybędzie jako Pomoc Drogowa i zacznie holować wóz ciotki Eveline - prorokowałem.

- Alpine renault? Ciotka twierdzi, że to niezawodny samochód.

- Nie ma niezawodnych samochodów. Szczególnie gdy ktoś chce, aby zawiódł. Myślę, że pan Robinoux już się o to postara.

W tym momencie moim wehikułem zaczęło szarpać. Następowaly przerwy w pracy silnika. Motor to zatrzymywał się, to znowu zaczynał pracować na bardzo szybkich obrotach.

- O rany! - jęknąłem. - Zdaje mi się, że w moim wozie coś nawala.

- No tak. Nie ma niezawodnych samochodów - sarkastycznie stwierdziła Yvonne. - Dlatego uważam, że najlepszy jest rower.

- I to właśnie w takiej chwili - zmartwił się Robert. - Przeklęty wehikuł. Co teraz zrobimy?

Zatrzymałem wóz na skraju szosy, w cieniu leśnych drzew. Podniosłem maskę i zacząłem grzebać w silniku.

- Jeśli zobaczycie ciotkę Eveline - rzekłem do młodych - to zatrzymajcie ją. Może zechce nas pohołować do najbliższego warsztatu samochodowego. Zdaje się, że nawalił mi kondensator.

Zająłem się sprawdzaniem układu elektrycznego w wehikule, a Yvonne i Robert wyszli z wozu i oczekiwali na przyjazd ciotki Eveline. Szosa była dość ruchliwa, z Paryża do Orleanu ciągnęły hordy ogromnych ciężarówek, mknęły osobowe samochody i motocykle.

Madame Eveline chyba dość długo siedziała u modystki, bo zjawiła się dopiero do dziesięciu minutach. Zobaczyła Yvonne i zatrzymała wóz ze strasliwym piskiem hamulców.

- Caramba, porca miseria! To znowu wy? - krzyknęła, uchylając okno w samochodzie. - Co wam się stało?

Przez moment aż zaniemówiłem ujrawszy, co ona ma na głowie. To był już nie kapelusz, a miniaturowa winnica. Na czymś w rodzaju słomianej strzechy leżały w nieładzie kłose sztucznych winogron, przeplatanych sztucznymi liśćmi winnej latorośli.

- Dlaczego pan tak mi się przygląda? - podejrzliwie zapytała ciotka Eveline.

- Ma pani... piękny kapelusz - wykrztusiłem.

- Piękny, pan powiada - ucieszyła się. - Caramba, porca miseria, rzeczywiście, tym razem kapelusz udał się mojej modystce. A długo ją musiałam przekonywać, że to wspaniały pomysł, aby przybrać kapelusz winogronami. Ma pan dobry gust, młody człowieku - stwierdziła i wyraz ogromnej łaskawości pojawił się na jej obliczu.

- Chcieliśmy jechać do zamku Sully-sur-Loire - rzuciłem na chybił trafił. - Ale zepsuł mi się samochód.

Przez okno wyjrzał Robinoux.

- Sully-sur-Loire? Ależ to w zupełnie innym kierunku - szepnął. - Z Orleanu należało skręcić w stronę Gien, a nie Paryża. Musicie zawrócić.

- Jak mogę zawrócić, skoro zepsuł mi się samochód? - odrzekłem. - A czy madame nie

mogłaby nas poholować do najbliższego warsztatu samochodowego? Mam w wozie hol.

- Co takiego? W żadnym razie. Nam się bardzo śpieszy - zawołał pan Robinoux.

O dziwo, pan Robinoux odzyskał głos. Już nie szeptał - krzyczał.

- Tak jest, nam się bardzo śpieszy - przytaknęła pan Durant. - Obiecałem ekspertom z Luwru, że przywieziemy obraz przed godziną szesnastą.

Yvonne złożyła błagalnie ręce.

- I ciocia pozostawi nas na szosie bez żadnej pomocy?

- Caramba, porca miseria - zakłęła madame Eveline. - Że też musicie jeździć starym gratem. No cóż, trudno, poholuję was do najbliższego warsztatu. Ale panu, młody człowieku, radzę kupić jakąś niezawodną maszynę. Nie musi to być alpine renault, który jest zupełnie fenomenalny i nigdy się nie psuje.

Prędko zaczęliśmy hol między wozem ciotki Eveline a wehikułem. Robinoux usiłował protestować, w czym sekundował mu kustosz, nie wiedząc, że bezwiednie służy sprawie złoczyńców. Lecz ciotka Eveline nie mogła odmówić prośbie małej Yvonne.

W dalszą drogę ruszyliśmy holowani przez alpine renault.

- Czy to nie popsuje szyków komisarzowi? - spytała mnie Yvonne. - Może Fantomas nie zechce teraz dokonać zamiany obrazów?

- Nie obawiaj się. Zapewne w Orleanie Robinoux dał umówiony znak swoim współpracownikom, że można zaczynać akcję X. Teraz już nie zdoła tego odwołać.

Madame Eveline znakomicie holowała wehikuł. Unikala gwałtownych szarpnięć, które mogły spowodować zerwanie się holu, wyhamowywała powoli, abym zdążył przycisnąć hamulce i nie uderzył w tył jej alpine renault. Oczywiście, jechaliśmy dość wolno, co chwila wyprzedzały nas samochody osobowe i ciężarowe. W takiej masie samochodów świetnie krył się wóz policyjny z łysym komisarzem z Tours. Byłem pewny, że policja ani na chwilę nie spuszcza wzroku z samochodu ciotki Eveline. Komisarz z pewnością zauważył, że ma-

dame wzięła nas na hol. Wyobrażałem sobie, jak w związku z tym złościł się i krzyczał do policjantów w swoim wozie: „A ten cudzoziemiec czego się pęta na szosie? I jeszcze do tego takim starym gratem! Gotów spłoszyć Fantomasa. A to osioł! Ma samochód niewiele lepszy od roweru i wybiera się nim, aby schwytać złodzieja!”

A my, holowani przez ciotkę Eveline, zbliżaliśmy się do drugiego skraju Borów Orleańskich. I nic się nie wydarzyło.

- Może jednak Fantomas nas się przestraszył? - zaczęła niepokoić się Yvonne. - Że też pana wehikuł musiał się akurat teraz zepsuć!

Wzruszyłem ramionami.

- Czy nie słyszałaś, że i mechanizmy bywają złośliwe, krnąbrne, uparte i przekorne?

- A właściwie dlaczego pan jeździ takim samochodem? Czy nie stać pana na lepszy? - spytał milczący dotąd Robert.

- Co? - poczułem się trochę urażony. - Nie podoba się wam mój samochód? A gdy płynąłem nim na wyspę, kto wyrażał zachwyty?

- No tak, on znakomicie pływa - zgodziła się Yvonne. - Ale szkoda, że się psuje. Rower jest jednak lepszy od pańskiego wehikułu. Mnie na moim rowerze jeszcze nikt nie holował.

Byliśmy właśnie na skraju lasu, gdy samochodem ciotki Eveline wstrząsnęły jakieś konwulsje. Kilkakrotnie rzuciło nim do przodu, a potem alpine renault stanął raptownie i nie chciał ruszyć dalej.

Wyskoczyłem z wehikułu i podszedłem do jej samochodu.

- Caramba, porca miseria! - klęła ciotka Eveline. - Czy pana wóz jest zaraźliwie chory? Coś się zepsuło w moim alpine renault. A to wszak niezawodny samochód.

- Nie ma niezawodnych samochodów - wyszeptał Robinoux. - Ale na szczęście istnieje Pomoc Drogowa.

Madame Eveline wysiadła ze swego wozu i podniosła maskę. Wyglądała bardzo

śmiesznie, bo jej wielki kapelusz, podobny do winnicy, przekrzywił się i zawadiacko zjechał na lewą skroń.

- Caramba! - mruzczała. - Kto z panów zna się na mechanizmie samochodowym?

Robinoux, Durant, Robert i Yvonne, jednym słowem, całe towarzystwo, zaczęło oglądać silnik. A każdy robił mądrą minę i udawał wielkiego znawcę samochodu.

- Może któraś świeca nie pali? - zastanawiał się kustosz.

- Albo gaźnik się zapchał - wtrąciła Yvonne.

- Albo cewka nawaliła - dodał Robinoux.

Jak przystało na detektywa, któremu powierzono pieczę nad bezcennym obrazem, Robinoux nie rozstawał się z nim ani na chwilę. Wysiadł z wozu, aby zajrzeć pod maskę samochodu ciotki Eveline. Pod pachą dzierzył obraz owinięty w papier.

Trąciłem w ramię Yvonne i milcząco wskazałem jej wlot do baku z benzyną. Przeciągnąłem palcem wokół wlotu i podsunąłem dziewczynie palec.

- Widzisz te malutkie kryształki?

- Tak. Co to jest?

- Cukier, moja droga. Ktoś wsypał cukier do baku z benzyną. Silnik musiał się zepsuć - stwierdziłem. I położyłem palec na ustach, dając dziewczynie do zrozumienia, że powinna milczeć jak grób. Nie należało podnosić alarmu, gdyż mogłoby to spłoszyć Fantomasa.

Jeszcze przez chwilę ciotka Eveline i pozostała kompania deliberowała, pochylając się nad silnikiem. Lecz nagle Robinoux wskazał żółty furgonik.

- Nadjeżdża ratunek! - zawołał, rezygnując ze swego szeptu. - Pomoc Drogowa. Trzeba ją zatrzymać.

Pomoc Drogowa zdawała się tylko czekać na nasz znak. Żółty furgonik zjechał na krawędź szosy i zatrzymał się tuż przy alpine renault. Wskoczyły z niego dwóch młodych mężczyzn w wybrudzonych smarami kombinezonach. Twarze też mieli brudne, jak gdyby

przed chwilą leżeli pod najbrudniejszymi wozami świata. Dla mnie było oczywiste, dlaczego tak się usmarowali. Gdybyśmy musieli opisać policji ich wygląd, nie potrafilibyśmy tego zrobić.

Umorusańcy trochę różnili się między sobą. Jeden był bardziej usmarowany, a drugi mniej.

- Co się stało? - zapytał ten mniej umorusany, podchodząc do wozu ciotki Eveline.

- Caramba, porca miseria - wykrzyknęła madame Eveline. - Zdaje mi się, że zwrócę firmie samochodowej ten rupieć, za który dałam osiem tysięcy franków. Miał być niezawodny, a zepsuł się.

Pokiwali głowami, że podzielają jej irytację. Ten bardziej umorusany stwierdził cedząc przez zęby:

- Ano, zobaczymy, co się da zrobić, pani szanowna.

- Mój wóz też jest zepsuty - oświadczyłem. Spojrzeli niechętnie na mnie i na mój wehikuł.

- Pański samochód? - skrzywił się ten mniej umorusany. - To chyba wrak sprzed pierwszej wojny światowej. Pan się dziwi, że on się zepsuł? Ja bym się dziwił, gdybym zobaczył, że on jedzie.

I obydwaj zaśmiali się szyderczo. Potem wleźli pod wóz ciotki Eveline i kazali sobie podawać narzędzia ze swego furgoniku.

- Klucz numer dwanaście! - wołali, wychylając głowy spod samochodu.

- Ósemkę!

- Szóstkę!

- Nasadowy klucz: czternastka.

Przynosiliśmy narzędzia z ich wozu, a oni żądali coraz to innych. Po te narzędzia biegali wszyscy nie wyłączając ciotki Eveline, która pomrukiwała gniewnie: „Caramba, porca mise-

ria, dlaczego oni grzebią pod spodem, skoro zepsuł się silnik?” Ale głośno tego oświadczyć nie śmiała, bo a nuż się obrażą? Albowiem każdy posiadacz pojazdu mechanicznego wie, jak obraźliwi bywają mechanicy i jak guślarską tajemniczością otaczają czynności związane z naprawą samochodu. Najgorsze jest to, że jak się obrażą, liczyć można chyba tylko na cud. Pozostawią wóz na szosie i odjadą.

Nawet Robinoux, nie rozstając się z obrazem kilkakrotnie biegał do furgonika i przynosił narzędzia. Obserwowałem go bardzo pilnie. Za trzecim razem, gdy wszedł do wozu Pomocy Drogowej, przebywał tam nieco dłużej. A gdy wyszedł, zwróciłem uwagę, że papier, w który owinięty był obraz, jest niedbale zawiązany sznurkiem.

„A więc stało się - pomyślałem. - W samochodzie Pomocy Drogowej Robinoux dokonał zamiany obrazów. Pozostawił oryginał, a zabrał kopię, którą teraz pan Durant zawiezie do ekspertów w Luwrze”.

Moje podejrzenia szybko znalazły potwierdzenie. Robinoux dał umorusańcom jakiś tajemniczy znak i obydwaj zaraz wyleźli spod samochodu.

- Tego, niestety, nie da się teraz naprawić - oświadczył ciotce ów mniej umorusany. - Nie pozostaje nam nic innego, jak poholować samochód do Orleanu, do warsztatu specjalistycznego.

- A mój wóz? - zapytałem z głupia frant.

- Pański też poholujemy - oświadczył ten bardziej umorusany. Zaniepokoili mnie to. Czyżby w furgonetce był tak potężny silnik, że mogli holować aż dwa samochody?

Szybko i sprawnie zaczepili swój hol do alpine renault. A ponieważ ja byłem związany holem z tym wozem, sprawa dalszej jazdy wydawała się prosta.

Zanim ruszyli, ten więcej umorusany poklepał mnie po ramieniu.

- Jeśli pan się zgadza dopłacić, to możemy pana holować do muzeum w Orleanie.

I znowu obydwaj zarechotali radośnie. Zawtórował im Robinoux, pan Durant uśmiechnął

się lekko. Tylko madame Eveline huknęła na nich groźnie:

- Bez dowcipów, panowie. Mamy ważne sprawy do załatwienia. Holujcie nas tym swoim „żółtkiem” - pogardliwie określiła ich furgonik.

Gdy zajęliśmy miejsca w wehikule, Yvonne zapytała:

- Dlaczego nie zaproponował pan, żeby spróbowali zreperować pański samochód? Może dałoby się nim pojechać do Paryża?

- Wolałem obyć się bez ich pomocy.

- Dlaczego?

- Nie chciałem, żeby obejrzeni mój wehikul: silnik oraz przrzutkę.

- Czy naprawdę posiada pan tajemniczą przrzutkę? - nie dowierzała Yvonne.

- Ależ tak, przysięgam ci - powiedziałem.

- A nie nudzą pana dowcipy na temat pańskiego samochodu? - zapytała znowu Yvonne.

- Owszem, nudzą, tym bardziej że, jak się okazuje, pod każdą szerokością geograficzną są podobne. W Polsce też wciąż mi proponują, żebym mój wehikul odstawił do muzeum.

- A pan się sprzeciwia?

Ruszyliśmy. Wyczekawszy, aż na szosie zrobiło się trochę luźniej, umorusańcy zawrócili w stronę Orleanu.

Z satysfakcją przyjąłem do wiadomości fakt, że jechali właśnie do Orleanu, czyli naprzeciw przyczajonemu gdzieś na drodze samochodowi komisarza policji, który zapewne obserwował nas z oddali.

Jakoż wkrótce zobaczyłem jakiś wóz stojący na skraju szosy.

Umorusańcy oczywiście nawet nie podejrzewali, że wóz ten należy do policji. Zapewne sądzili, że to jakiś turysta rozkoszuje się cieniem lasu.

W tym miejscu od szosy odchodziła w bok leśna droga. Nieświadomi niebezpieczeństwa umorusańcy, zapewne upojeni sukcesem, zdecydowali się na „skok”. Nagle szarpnęli furgon-

netką tak mocno, że przerwał się hol. Odjechali, a wóz ciotki Eveline i mój wehikuł pozostały na szosie.

- Caramba, porca miseria! - wrzasnęła ciotka Eveline wychylając głowę przez okno swojego wozu. - Co oni zrobili? Hej, panowie, zatrzymajcie się!

Oni jednak udawali, że nie zauważyli zerwania się holu, i jechali dalej. Potem raptownie skręcili w leśną drogę.

Wyskoczyłem z wehikułu i odczepiłem hol między moim samochodem a ciotki Eveline.

- Uciekają z obrazem Van Gogha! - krzyknąłem do Yvonne i Roberta.

Przekręciłem kluczyk w stacyjce. Mój silnik natychmiast nabrał obrotów.

- To on nie był zepsuty? - zdumiała się dziewczynka.

- Oczywiście że nie! - odkrzyknąłem, ostro ruszając z miejsca. W przelocie widziałem zdumioną minę pana Duranta, niepokój na twarzy Robinoux. Ciotka Eveline wygrażała mi pięścią, bo zrozumiała, że została oszukana: mój wehikuł wcale nie był zepsuty.

Komisarz policji błyskawicznie zorientował się w sytuacji. Wóz policyjny ruszył z miejsca i skręcił w leśną drogę, w ślad za furgonikiem. A ja pojechałem za samochodem policji, bo nie chciałem przeszkadzać w pościgu.

To była naprawdę szaleńcza jazda. Umorusańcy szybko pojęli, że są ścigani przez dwa samochody i zaczęli kluczyć po lesie. Jak słusznie domyślałem się, do furgonu mieli wmontowany potężny silnik. Gnali po lesie jak wariaci, opętani tylko jedną myślą: uciec samochodom, które ich ścigały.

A droga w lesie okazała się fatalna. Pełna głębokich kolein, wykrotów, wystających korzeni drzew. Wozem rzucało do góry, aż uderzałem głową w sufit. Zdawało mi się, że lada chwila pękną resory. Nie wiem, co czuli policjanci w Citroenie, bo mój wehikuł miał brezentowy dach, co oszczędziło nam guzów. Lękałem się tylko o resory, ale okazało się, że wuj Gromiło uwzględnił i podobne sytuacje. Wmontował resory mocne i trwałe.

Umorusaniec, który prowadził furgonik, był znakomitym kierowcą. Leśną drogą, wąską i krętą, jechał jak na rajdzie do Monte Carlo. A ponieważ ogromny orleański bór pocięty był siatką dróg i przesiek, zdawało się, że można po nich kluczyć nieskończenie, dopóki nie pękną resory lub nie zabraknie benzyny. Uciekający ma przewagę nad ścigającym, wybiera bowiem kierunek jazdy, a to zawsze może być zaskoczeniem dla jadącego za nim. Umorusaniec wykorzystał tę przewagę. Rozpędzał wóz, a gdy tylko ukazały się rozstaje, udawał, że skręca w lewo, i raptownie dokonywał zwrotu w prawo. Rozpędzony policyjny wóz skręcał w lewo albo pchał się prosto, a potem musiał się cofać, aby znowu jechać w ślad za żółtym furgonem.

Kilkakrotnie policjanci omal nie wpadli na drzewo, raz nawet otarli się błotnikiem o wielki dąb na rozstaju. Dwukrotnie udało się umorusańcom wprowadzić policyjny wóz w ogromną kałużę wody i błota. Mogli tego dokonać, ponieważ żółty furgon zasłaniał sobą drogę. W błocie koła wozu policyjnego zaczęły buksować - obracały się w miejscu.

- Uciekną! - wrzasnęła rozpaczliwie Yvonne, widząc uwięzioną w błocie policyjną maszynę.

Ale nie. Po sekundzie koła wozu policyjnego trafiły na twardy grunt

I wóz wy dostał się na suche drogę. Żółty furgon zdążył już jednak oddalić się na sporą odległość.

Lecz po krótkim czasie i on wpadł w rozlewisko błota, rozciągające się w poprzek leśnej drogi. Wjechał w nie i z największym wysiłkiem przedostał się na drugą stronę. Dla silnika był to ogromny trud, aż się zagotowała woda w chłodnicy. Wtedy to dopędził ich policyjny wóz. Tym razem kierowca-policjant okazał się sprytniejszy od umorusańców i pojechał skrajem kałuży, tuż przy pniach drzew obrastających drogę. Otarł lakier na karoserii, lecz odległość między furgonem a wozem policyjnym znacznie zmalała.

Gdy umorusańcy zrozumieli, że kluczenie po lesie nie zdoła ich od nas odciągnąć, zdecy-

dowali się wjechać na szosę 51, wiodącą do Pithiyiers i dalej do Fontainebleau. Zanim jednak podjęli tę decyzję, uczynili rozpaczliwy wysiłek pozostawienia nas w tyle. Wjechali w jakieś tak straszliwe dziury, że przez chwilę miałem wrażenie, iż furgon się wywróci. Ale nic mu się nie stało. Natomiast w wozie policyjnym pękły resory - osiadł na kołach, nie mogąc ruszyć z miejsca.

- Niech pan, komisarzu, przesiada się do mnie! - wrzasnąłem, podjeżdżając do policyjnego samochodu, który wyglądał jak wrak statku na mieliźnie.

Bez zbędnych słów łysy komisarz, a za nim jakiś ubrany po cywilnemu policjant nieomal w biegu wskoczyli do wehikułu. Zrobiło się w nim ciasno, to jednak nie miało żadnego znaczenia. Najważniejsze było: nie spuścić z oka żółtego furgonu.

- Zamienili obrazy. Robinoux to zrobił - wyjaśniłem szybko komisarzowi. - A ci uciekają z oryginałem.

Zdyszany komisarz z trudem łapał oddech.

- W naszym wozie jest radiostacja. Zaalarmowaliśmy policję w Orleanie i Paryżu. Wszystkie szosy już chyba obstawione. Mają opis żółtego furgonu.

Tymczasem furgon wyjechał z lasu na szosę do Pithiyiers. Była to trasa drugorzędna i nie tak uczęszczana, jak szosa między Orleanem i Paryżem. Złoczyńcy mogli tu rozwinąć większą szybkość. Dodali gazu, po sekundzie spostrzegłem, że aby dotrzymać im tempa, muszę osiągnąć szybkość stu kilometrów na godzinę. A oni wciąż zwiększali prędkość.

- Sto... sto dwadzieścia... sto trzydzieści... sto czterdzieści - głośno liczyła Yvonne. A wreszcie zawołała: - Pan mówił prawdę. Pana wóz ma przerzutkę!

- Naprawdę? - uradował się komisarz. Grube krople potu pojawiły się na jego łysej głowie. - To niech pan da gaz do dechy, cudzoziemcze. Przecież oni uwożą oryginał Van Gogha. Jeśli go ukradną, moja kariera w policji będzie skończona.

Przycisnąłem pedał gazu. Przy szybkości stu osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, we-

hikuł powoli doganiał żółty furgonik.

I wówczas złoczyńcy zdecydowali się na śmiertelne ryzyko. Przed nimi jechał jakiś osobowy mały fiacik, a z przodu nadjeżdżał wielki turystyczny autokar. W ostatniej chwili kierowca furgonika postanowił wyprzedzić fiata. Rzucił wóz do przodu, nieomal pakując się pod potężny przód autokaru. Kierowca autokaru, widząc, że jakiś szalenciec pcha mu się pod wóz, przycisnął hamulce, a potem zjechał na pobocze, na szczęście równe w tym miejscu i bezdrzewne.

Nie wiem, co się działo w autokarze i czy ktoś z pasażerów nie poniósł szwanku. Autokar zatrzymał się, kierowca wyskoczył i zaczął wygrażać pięścią w stronę żółtego furgoniku. Ale złoczyńcy już byli daleko, znikali za zakrętem szosy. A ja, zmuszony do wytracenia szybkości, żeby nie wpaść na fiata, nie miałem czasu dzielić oburzenia kierowcy autokaru. Wyprzedziłem wreszcie fiata i gnałem jak szalony w ślad za niknącym w oddali furgonikiem.

- Dwieście kilometrów - pisnęła Yvonne, patrząc na licznik wehikułu. Taką bowiem szybkość musiałem z niego wydobyć, aby zbliżyć się do uciekających złoczyńców.

Przy podobnej szybkości drzewa na poboczu zlewają się w jedną ciemną smugę. Słychać tylko gwizd wiatru na karoserii samochodu, który - przy takim pędzie - zdaje się wlatywać w górę jak startujący samolot, traci bowiem przyczepność do szosy i może się rozbić na każdym zakręcie. Kierowca zaś traci poczucie odległości. Motocykl czy samochód, od którego, jak się zdawało - dzieli cię spory szmat drogi, nagle ukazuje się tuż przed maską twego wozu. Bo on jedzie osiemdziesiątką, a ty masz dwie setki na liczniku.

Nie daj Boże, aby któryś z jadących przed tobą pojazdów nagle zahamował. Nie zdołasz już zatrzymać w porę swego samochodu. Droga hamowania wydłuży się w nieskończoność.

Na szczęście, jak wspomniałem, trasa ta nie była zbytnio uczęszczana. Zresztą, z tą zawrotną szybkością nie musiałem jechać długo. Oto już tył żółtego furgonu znalazł się przed

moją maską, zwolniłem szybkość i dałem klaksonem znak, że będę wyprzedzał.

Nie zareagowali na mój klakson. Natomiast coś innego bardzo ich zaniepokoiło, a nawet przeraziło. Daleko przed sobą zobaczyli stojący w poprzek szosy wóz policyjny. Ujrzałem światła stopowe na tyle furgonetki i przycisnąłem hamulce, aby w nią nie uderzyć.

Jednakże, jak powiedziałem, uciekający zawsze mają przewagę nad ścigającymi. Zahamowali gwałtownie, a potem, nie zważając, że szosę od pola odgradza rów, wjechali w niego i wyskoczyli w pole. „Dokąd oni uciekają?” - przemknęło mi przez głowę.

Nie zaryzykowałem powtórzenia ich manewru. Furgonik miał wyższe zawieszenie, zaś mój wehikuł osiadłby na krawędzi rowu. Pomyślałem, że po polu daleko nie uciekną, zresztą zobaczyli ich policjanci z wozu stojącego w poprzek szosy i wysypali się z niego jak jabłka z koszyka.

Z wehikułu wysiadł łysy komisarz i tajny agent policji. Wymachując pistoletami, rzucili się biegiem za podskakującym na polu furgonem, który jechał coraz wolniej i wolniej. Z początku złoczyńcy mieli pod kołami twardy grunt, lecz oto zagroziło mi drogę pole pszenicy. „Tutaj ich złapią” - pomyślałem.

Furgon zatrzymał się na skraju pszenicznego łąnu, złoczyńcy wyskoczyli. Jeden z nich trzymał w ręku owinięty w papier obraz Van Gogha.

- Stać! Stać! Zatrzymać się! Ręce do góry! - krzyczeli nadbiegający policjanci.

Ale tamci nie zatrzymali się na ten rozkaz. Popędzili w pszenicę, która sięgała im do pasa. Skakali w niej jak dwa ogromne zające w wysokiej trawie.

Raptem usłyszeliśmy głośny warkot. Oto zza horyzontu wyleciał szary helikopter. Ogłuszając nas rykiem silnika, przetoczył się tuż nad naszymi głowami i znalazł się nad pszenicznym łąnem.

Z helikoptera wyrzucono drabinkę sznurową. Przez chwilę wlokła się po polu, ale pilot helikoptera skierował ją niemal wprost na uciekających. Chwycili się jej i zręcznie jak wie-

wiórki zaczęli się po niej wspinać.

A helikopter już zdążył się poderwać pionowo w górę.

Jeden z umorusańców wspinał się wolniej, ponieważ w rękę trzymał obraz Van Gogha. I wtedy komisarz policji wystrzelił z pistoletu. Nie wiem, czy strzelał na postrach, czy też celował do któregoś ze złoczyńców. W każdym razie nie trafił żadnego z nich. Tylko ten, który trzymał obraz, tak się przeraził, że wypuścił łup z rąk i szybciej pomknął w górę po drabince sznurowej.

A obraz z wysokości kilku metrów spadł w pszenicę, pod nogi komisarza policji.

ROZDZIAŁ XII

• Skąd się wziął detektyw Robinoux • Portret przestępcy • Dziwny list • Dokąd poszła Yvonne • Madame Eveline ujeżdża dzikiego rumaka • Narowisty wehikuł • O Johnie Blacku, „napadzie stulecia”, „rififi” i Mózgu • W drodze do Orlego Gniazda • Ordynarny nosacz i perły • W gnieździe gangsterów

-Caramba, porca miseria - zawołała madame Eveline. - Gdybym wiedziała, że Robinoux ma coś wspólnego z Fantomasem, już bym go wsadziła za kratki. Pan Durant by mi pomógł i obezwładnilibyśmy opryszka. Ale przecież nie miałam pojęcia, że to bandyta. Gdy tylko zwietrzył niebezpieczeństwo, to znaczy zobaczył, że wehikuł Pana Samochodzika i wóz policyjny skrzyły w las za żółtym furgonem, bąknął coś do nas i ulotnił się. Po prostu poszedł w las i nie wrócił. Potem nadjechała prawdziwa Pomoc Drogowa i pohołowała nas do Orleanu. A stamtąd przyjechaliśmy do zamku taksówką. Ale żałuje, że Robinoux nie siedzi za kratkami. To pana wina, Panie Samochodzik. Mógł mnie pan ostrzec.

Przecząco pokręciłem głową.

- Nie, madame. Nie mogłem tego zrobić, bo nie byłem pewny, czy nie zdradzi się pani przed Robinoux. A zresztą, czy uwierzyłaby mi pani na słowo, że on działa z polecenia Fantomasa? Nawet komisarz policji dość sceptycznie odnosił się do moich podejrzeń. Trzeba było dopiero dowodu rzeczowego w postaci skradzionego obrazu, aby się wszyscy przekonali, jakimi metodami działa Fantomas.

Do rozmowy wtrąciła się Yvonne:

- A w ogóle skąd ciocia wytrzasnęła tego Robinoux? Przecież to cioci wynalazek.

- Mój wynalazek? - oburzyła się madame Eveline. - On się sam wynalazł, ten Robinoux.

Gdy ostatnio byłam w Paryżu, przedstawił mi się jako detektyw prywatny. Powiedział, że słyszał o kłopotach, jakie mamy w Zamku Sześciu Dam, i zaproponował swoje usługi. Pomyślałam, że przyda się nam jeszcze jeden detektyw i dlatego tutaj się znalazł.

Rozmowa toczyła się w jadalni Zamku Sześciu Dam podczas kolacji.

Pełna wrażeń Yvonne, po raz nie wiadomo który, opowiadała wszystkim o pościgu za żółtym furgonem, ja zaś wyjaśniłem tajemnicę kradzieży obrazów.

Baron de Saint-Gatien słuchał tych relacji z niezwykle zdumioną miną, jakby ktoś opowiadał mu baśń o żelaznym wilku, jego bratanek zaś, malarz Vincent, który znowu powrócił z Paryża i dał mi do zrozumienia, że częściowo wypełnił powierzoną mu misję, tylko zaciśkał pięści.

- Szkoda, że mnie z wami nie było - powtarzał. - Już ja bym ich dogonił i kości porachował. Pomyślcie: na mnie spadły wszystkie podejrzenia. Ile ja się wstydu najadłem! Ach, że mnie z wami nie było...

W jadalni, oparte o ścianę, stały dwa identyczne obrazy. Jeden malował Van Gogh, a drugi był kopią, którą Robinoux zamienił na oryginał i pozostawił w wozie ciotki Eveline. Malarz Vincent rozpoznał ją jako swoje „dzieło”.

Rozmowa toczyła się wokół „metody Fantomasa”. Pan Durant zaczął przypominać sobie dwie poprzednie podróże z obrazami.

Za każdym razem psuł mu się samochód. Nie wzbudziło to w nim podejrzeń, ponieważ, jak wiemy, miał wóz bardzo stary, który często odmawiał posłuszeństwa. I za każdym razem zjawiała się natychmiast Pomoc Drogowa w postaci żółtego furgoniku. Ten fakt również nie budził podejrzeń, ponieważ szosy francuskie są nieustannie patrolowane przez podobne furgoniki.

Pan Durant jeździł z obrazami samotnie. Gdy wiózł do Paryża obraz Cezanne’a i mechanicy z Pomocy Drogowej naprawiali mu samochód, udał się za potrzebą w pobliskie

krzaczki. Rzecz jasna, obraz pozostał w jego samochodzie i należy sądzić, że w tym czasie zamieniono go na falsyfikat.

Następnym razem mechanicy z Pomocy Drogowej poprosili pana Durant, aby razem z nimi włął pod wóz i obcęgami trzymał jakąś śrubę. Jeden z mechaników wylął wtedy spod wozu, aby rzekomo wziąć jakiś dodatkowy klucz z furgoniku, i prawdopodobnie w tym czasie, gdy kustosz leżał pod samochodem, dokonał zamiany oryginału na kopię.

- Skąd jednak Fantomas wiedział, kiedy Durant pojedzie z obrazem do Luwru? W historii z obrazem Van Gogha informatorem był pan Robinoux. Ale w dwóch poprzednich przypadkach?

- Sądzę, że ludzie Fantomasa obserwowali kustosza - powiedziałem.

- Komisarz jest teraz w swoim żywiole - stwierdził Vincent. - Nie ma już do czynienia z zagadkowym przenikaniem przez ściany galerii, lecz z konkretami. W jego ręce wpadł żółty furgonik Fantomasa, no i na własne oczy widział szary helikopter. Wystarczy, że trafi na trop właściciela furgonu i helikoptera, a znajdzie i Fantomasa.

Dość sceptycznie odniosłem się do jego słów.

- Obawiam się, że nie będzie łatwo trafić na ślad właściciela żółtego furgonu. Przypuszczani, że numery rejestracyjne były fałszywe albo okaże się, że furgonik został wypożyczony od kogoś przez tajemniczego osobnika. I ślad się urwie. Helikopter zaś, jak wiemy, był do niedawna błękitny. Teraz miał barwę szarą, a jutro może mieć zieloną. Nie brak farby we Francji, prawda?

- Caramba, porca miseria! - zawołała ciotka Eveline. - Policja ma chyba sposoby, aby zdrapać lakier i sprawdzić, jaki kolor miał poprzednio ten helikopter. Jestem dobrej myśli, proszę państwa.

Odezwał się baron de Saint-Gatien, który dotąd z uwagą przysłuchiwał się naszej rozmowie.

- Żałuję niezmiernie, że nie ma z nami pana Pigeona - rzekł. - Przez cały czas podejrzewałem mnie o kradzież moich własnych obrazów i mniemałem, że dybię na pieniądze jego Agencji Ubezpieczeniowej. Nie mam o to do niego pretensji, gdyż tego rodzaju podejrzliwość związana jest z uprawianym przez niego zawodem detektywa. Przyznaję jednak, że gdybym mógł widzieć jego zawiedzioną minę, miałbym dużą satysfakcję.

- A właśnie, gdzie jest pan Pigeon? - zapytała Yvonne. - Przecież nie zapowiadał, że nie zjawi się na kolacji.

Niestety, nikt nie wiedział, gdzie się podział Gaspard Pigeon. Ale mieliśmy nadzieję, że wkrótce się pojawi, ponieważ nie zapowiadał wyjazdu i pozostawił rzeczy w swoim pokoju.

Nie zaprzętałyśmy sobie dłużej głowy tą sprawą. Yvonne i Robert uruchomili aparaturę widowiska „Dźwięk i światło”, bo tego wieczoru znowu sporo turystów przyjechało do Zamku Szczęściu Dam. Pan Durant zajął się zawieszaniem na dawnym miejscu oryginału Van Gogha, a kopię pozostawił w swoim gabinecie.

- Być może - zwierzył się - w przyszłości, gdy Fantomas zostanie schwytany, będę pokazywał tę kopię jako pamiątkę po dziwnych wydarzeniach. Stanie się to jeszcze jedną atrakcją dla turystów. Oni lubią takie historie.

A mnie madame Eveline wyciągnęła do garażu. Uparła się, że musi obejrzeć dokładnie mój wehikuł.

Rzecz jasna, pokazałem go jej, powoziłem ją nawet po alejkach parkowych.

- Caramba, porca miseria! - zawołała opuszczając wehikuł. - Alpine renault kosztował osiem tysięcy franków i zepsuł go Fantomas wsypując cukier do benzyny. Będzie jednak zreperowany i myślę, że to mimo wszystko znakomity wóz. Jeśli pan chce, możemy się zamienić. Da mi pan swój wehikuł, a ja dam alpine. No co, zgoda?...

Rozłożyłem ręce.

- Niestety, madame, to pamiątka rodzinna po moim wuju, zapoznanym wynalazcy. A

poza tym jestem ogromnie przywiązany do swego samochodu. Przeżyłem z nim sporo wspaniałych przygód.

Madame Eveline była bardzo rozczarowana. Ale ja nie mogłem postąpić inaczej. Nie sprzedałbym swego wehikułu ani nie zamieniłbym go na żaden inny samochód. Na pocieszenie obiecałem madame, że w najbliższej przyszłości pozwolę jej poprowadzić wehikuł. Starsza pani bardzo bowiem lubiła samochody.

A potem, w swoim pokoju, spotkałem się z Vincentem.

- Niestety, proszę pana - oświadczył mi na wstępie - nie udało mi się dotrzeć do żadnego z malarzy, który robił pozostałe kopie dla Fantomasa. I sądzę, że to beznadziejna sprawa, a w każdym razie, aby ją załatwić, trzeba wiele czasu. Wiadomość o kradzieżach w zamkach nad Loarą została szeroko omówiona w prasie. Żaden z malarzy nie przyzna się, że robił kopie dla złodzieja, bo nie chce być wmieszany w tę sprawę. Nie pozostało mi nic innego, jak zrobić portret złodzieja, posługując się własną pamięcią. Wykonałem go. Oto on.

I podał mi karton papieru, na którym kolorowymi flamastrami wymalował portret jakiegoś osobnika z długą czarną brodą, wielką szopą czarnych włosów i gęstymi bakami na policzkach.

- Tak wyglądał człowiek, który zamówił u mnie kopie obrazów Cezanne'a, Renoira i Van Gogha - oświadczył Vincent.

Długą chwilę wpatrywałem się w malunek.

- A czy nie mógłby pan zamalować brody, baków, zmienić uczesania osobnika? Niech pan go zrobi blondynem - zaproponowałem.

Vincent skoczył do swego pokoju po pudelko z farbami i po jakimś czasie oglądałem dokonane przez malarza zmiany na kartonie.

- Hm - mruknąłem, oglądając malunek. Podziękowałem Vincentowi za wykonaną przez niego pracę i nic nie mówiąc o tym, jak wielkie uczyniła na mnie wrażenie, poszedłem z por-

tretem do donżonu, gdzie Yvonne i Robert obsługiwali aparaturę widowiskową.

Położyłem przed dziewczynką, na pulpicie sterowniczym, obraz jej brata.

- Ależ to pan Marchant - szepnęła Yvonne. - Marchant, prawda, Robercie?

I przywołała chłopca, który potwierdził jej sąd. Był on zgodny i z moim.

- Kto robił ten obrazek? - spytała Yvonne.

- Twój brat.

- Ach, rozumiem. To jest osobnik, który zamówił u niego kopie obrazów z naszej galerii - domyśliła się.

- Miał brodę, baki i perukę na głowie - uzupełniłem wyjaśnienia. - Kazałem mu je zamalować i wyłonił się Marchant. Ciekawe, prawda?

- Czy pokaże pan to komisarzowi albo, nie daj Boże, Pigeonowi? - zaniepokoiła się Yvonne. - Błagam pana, niech pan tego nie robi. Sami zajmijmy się Marchantem. Przecież ja muszę zdobyć te sto tysięcy franków nagrody.

Uśmiechnąłem się.

- Mnie nie zależy na tych pieniądzach, Yvonne - powiedziałem. - Ale chętnie dopomogę w odzyskaniu skradzionych obrazów z waszej galerii. Ponieważ myślisz o nagrodzie, trochę zaczekam z przekazaniem komisarzowi tego portretu.

Widowisko „Dźwięk i światło” wciąż trwało, więc musieliśmy zakończyć rozmowę. Yvonne i Robert byli zaabsorbowani poruszaniem się taśmy z dźwiękiem, do której musieli dostosowywać oświetlenie zamku. Usiadłem z boku na krzeselku i przez chwilę obserwowałem ich pracę. Potem moją uwagę zwróciła leżąca na pulpicie sterowniczym kartka papieru, gęsto zapisana. Wyglądało na to, że Yvonne, nim tu przyszedłem, pisała do kogoś list.

Zauważyła moje spojrzenie i szybko schowała list do kieszeni roboczego fartucha, który miała na sobie.

Wyszedłem z donżonu i usiadłem na ławeczce nieco oddalonej od baszty.

Czekałem cierpliwie, aż skończy się widowisko, rozjadą się turyści.

Wreszcie Yvonne i Robert opuścili donżon. Chłopiec poszedł w kierunku zamku, a dziewczynka na moment zatrzymała się na tarasie, po czym, rozejrzawszy się na wszystkie strony, pomaszerowała przez park do bramy wjazdowej.

Szedłem za nią ostrożnie, aby mnie nie spostrzegła. Sprzyjała mi ciemna noc i szum wiatru, który tego wieczoru dość silnie i hałaśliwie kołysał starymi platanami.

Przed bramą zamku czekał jakiś mały osobowy wóz. Yvonne podeszła do niego, wręczyła coś kierowcy. A później, pogwizdując wesoło, powróciła do zamku. Samochód natchmiast odjechał.

- No, jasne - mruknąłem, idąc także do zamku.

Zadowolony z siebie rozebrałem się w swoim pokoju i wszedłem do łóżka.

Nie dane mi jednak było zasnąć. Wkrótce zapukał do mnie Pigeon. Przyjechał swoim humberem około dwunastej w nocy, spakował podróżny neseser i poprosił Filipa, aby powiadomił barona, który zajęty był w swojej tajemniczej pracowni, że musi na jakiś czas wyjechać. Zanim jednak opuścił zamek, zajrzał do mego pokoju.

Chciałem mu powiedzieć o wydarzeniach dnia, lecz Pigeon machnął ręką.

- Wiem o wszystkim dokładnie, bo wieczorem spotkałem się w Tours z komisarzem policji. No cóż, gratuluję sukcesu - powiedział, ale czułem, że gryzie go zazdrość i nie w smak mu myśl, że jakiś cudzoziemiec wyjaśnił tajemnicze kradzieże w zamkach nad Loarą, a on, renomowany detektyw z Agencji Ubezpieczeniowej, podejrzewał niewinnych ludzi.

- Muszę jednak pana przestrzec - dodał robiąc groźną minę - że do schwytania Fantomasa jeszcze droga bardzo daleka.

Wzruszyłem ramionami.

- To już sprawa policji. Moim zadaniem było rozwiązać zagadkę i tego dokonałem.

Pogładził swoje wąsiki.

- A Gaspard Pigeon nie będzie się już zajmował sprawą Fantomasa - powiedział.
- Tak? - zdziwiłem się.
- Czy słyszał pan o jakimś Johnie Blacku? - zapytał.
- Nie. Chyba nie... - potrząsnąłem głową, bo nie byłem tak zupełnie pewny, czy to nazwisko nie obięło mi się już kiedyś o uszy.
- A właśnie - uśmiechnął się Pigeon z odrobiną wyższości. - Otóż pragnę zakomunikować, że chętnie przekazuję panu i tej małej, irytującej panience, jak ona tam ma na imię?...
- Yvonne.
- No tak, Yvonne... Jej i panu oddaję sprawę Fantomasa. A sobie pozostawiam Johna Blacka. Za wskazanie tego osobnika rząd brytyjski wyznaczył przeogromną nagrodę. Adieu! - machnął ręką na pożegnanie i wyszedł z mego pokoju.

„John Black”? - zastanawiałem się dość długo. Moja pamięć jednak tym razem okazała się zawodna. A może po prostu byłem zbyt zmęczony? Wkrótce bowiem zasnąłem bardzo mocno.

* * *

Rano wstałem wypoczęty, pełen chęci do działania.

Ale na śniadaniu nie zastałem Yvonne. Filip poinformował mnie, że wczesnym rankiem ona i Robert pojechali dokądś na rowerach. Zrobiło mi się przykro. „Jeśli zorganizowali jakąś wycieczkę, dlaczego nie zaproponowali mi udziału? - pomyślałem. - W Zamku Sześciu Dam znalazłby się zapewne jeszcze jeden rower, a ja mówiłem Yvonne, że lubię jeździć na rowerze.”

Śniadanie jedliśmy tylko we czwórkę: baron de Saint-Gatien, ciotka Eveline, Vincent i ja. Malarz zaraz wyjechał do Paryża. Pan Durant jadał zazwyczaj śniadanie w swoim prywatnym mieszkaniu na terenie zamku, tylko na obiady i kolacje bywał zapraszany do stołu barona.

Aby sprawić baronowi przyjemność, skierowałem rozmowę na interesujący go temat.

- Pytał mnie pan któregoś dnia, baronie - odezwałem się - co sądzę o kolejnictwie. Otóż muszę panu powiedzieć, że bardzo nie lubię jeździć pociągami.

- Ach, tak - rozczarował się baron.

- Mam jednak przyjaciela, który choć osobiście nie lubi jeździć pociągami, ponieważ często się spóźniają, posiada duży zbiór miniaturowych lokomotyw i wagonów. Zaprosił mnie kiedyś do siebie i przez kilka godzin wspaniale zabawialiśmy się kolejkami.

- A jakie on ma kolejki? System niemiecki czy angielski? - zainteresował się baron.

- Miał niemieckie „Piko” - wyjaśniłem zgodnie z prawdą, mam bowiem przyjaciela, który pod pretekstem, że robi to dla syna, zabawia się kolejkami elektrycznymi.

- Sądzę, że angielskie kolejki są lepsze - odparł baron. I zapytał: - A jak dużą ma stację rozrządową?

- Uwzględniając standard naszych mieszkań, jego stacja zajmuje przestrzeń pokoju o rozmiarach dwa na trzy metry.

- Och, to maleństwo - pokiwał głową baron. - Kolejnictwo wymaga znacznie większych przestrzeni.

Wtrąciła się madame Eveline:

- Caramba, porca miseria, Raoulu, skąd ty tak dobrze znasz się na kolejnictwie? O ile wiem, byłeś oficerem marynarki wojennej, a nie zawiadowcą stacji?

- Tak, masz rację, kochanie - zmieszał się baron. - Ale znałem pewnego człowieka, który w podziemiach swej podmiejskiej willi urządził dwie stacje rozrządowe i zbudował kilka kilometrów miniaturowych torów. Mówił mi, że to wspaniała zabawa.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że normalny mężczyzna zabawia się kolejkami elektrycznymi? Co innego samochody. To jest piękna zabawa - stwierdziła madame Eveline.

Baron zmieszał się jeszcze bardziej, i w tej chwili zrozumiałem, dlaczego swoje hobby

otoczył tak wielką tajemnicą. Powiedziałem do madame Eveline:

- Pozwolę sobie być innego zdania niż pani. Mój przyjaciel, który ma niewielką stację rozrządową, jest człowiekiem o zdrowych zmysłach. Uważa, że jego hobby daje mu duże odprężenie po trudach odpowiedzialnej i nerwowej pracy.

- Caramba, porca miseria! - zagrzmiała ciotka Eveline. - Nic bardziej nie odpręża niż jazda szybkim samochodem.

Dyskusja z nią wydała mi się jałowa, porzuciłem więc ten temat. Zresztą śniadanie zaraz się skończyło i każdy z nas zajął się swoimi sprawami.

Pożegnałem Vincenta, który wsiadł do samochodu i odjechał do Paryża. Potem, aby zaczerpnąć świeżego powietrza, poszedłem na przechadzkę do ogrodu Diany de Poitiers. Ale gdy tylko usiadłem na ławeczce nad brzegiem rzeki, zaczął siać deszcz. Z pochmurnego nieba leciały drobniotkie kropelki i jakby delikatnym woalem pokryły podługowatą sylwetkę Zamku Sześciu Dam.

Teraz, z pewnego oddalenia, zamek wydał mi się jakby nierealny, baśniowy. Miałem wrażenie, że patrzę nie na prawdziwy zamek, lecz na wyblakłą ilustrację w starej książce. Było to wrażenie niezwykle i choć deszcz z każdą chwilą padał coraz większy, dość długo jeszcze przebywałem na brzegu rzeki, jakby oczekując, że poprzez szmer kropel spadającego deszczu usłyszę od strony zwodzonych mostów turkot dworskiej karety. Miałem uczucie, że za chwilę stanie się coś niezwykłego, na ścieżkach parkowych zobaczę Katarzynę di Medici taką, jaką przedstawiają ją stare ryciny. A może ujrzę nagle Marię Stuart lub przepiękną Dianę de Poitiers?

Nic takiego jednak się nie stało. Tylko nagle przypomniałem sobie, gdzie spotkałem się z nazwiskiem wymienionym przez Pigeona. John Black!

No tak, czytałem o nim w gazetach. Człowiek, który nosił to nazwisko, posługiwał się zresztą mnóstwem innych. Nazywano go „człowiekiem o stu twarzach i stu paszportach”. O

jego sprycie, inteligencji i zdolnościach krążyły legendy. Nikt nigdy nie widział jego prawdziwej twarzy, bo był to mistrz charakteryzacji. Nikt nie wiedział dokładnie, w jakim kraju urodził się, bo po mistrzowsku władał kilkoma europejskimi językami. Mówił po angielsku jak oksfordczyk, po niemiecku jak berlińczyk, po francusku jak członek Francuskiej Akademii Literatury. Władał hiszpańskim i włoskim. Swoje wielkie zdolności, spryt i inteligencję wykorzystywał w przestępczym procederze. Zasłynął jako inicjator i wykonawca największych włamań i napadów na banki i kasy. To podobno on przed kilkunastu laty opracował metodę napadu na bank zwaną „rififi”. To on obmyślił niezwykle precyzyjny plan napadu na pociąg Londyn-Glasgow, wiozący pieniądze. Wyczyn ten nazwano „napadem stulecia”, a jego inicjator został przez prasę nazwany „Mózgiem”.

W ręce policji wpadło wielu uczestników „napadu stulecia”. Kilku z nich ich przywódca umożliwił ucieczkę z dobrze strzeżonych więzień. Lecz policji nigdy nie udało się wpaść na trop Mózgu. Wiadomo było tylko, że w Anglii posługiwał się nazwiskiem John Black.

Czyżby Pigeonowi wpadła w ręce jakaś informacja dotycząca tego niezwyklego przestępcy, poszukiwanego przez policję całego świata? „John Black” - powtarzałem w myślach to nazwisko. I raptem przyszło mi na myśl, że być może Pigeon doszedł do wniosku, iż Mózg i Fantomas to jedna i ta sama osoba. Czyż sposób, w jaki kradziono obrazy z doskonale strzeżonych galerii nie świadczył o Fantomasie, że jest niezwykle sprytnym człowiekiem? Któż inny mógł opracować tak niezwyklej plan kradzieży obrazów, jak nie osławiony Mózg, czyli John Black?

Z głową pełną różnych myśli powróciłem do zamku i odszukałem ciotkę Eveline.

- Madame - skłoniłem się jej - czy przypomina sobie pani o zaproszeniu Marchanta?
- No, jasne. Zaprosił mnie do Orlego Gniazda.
- A może warto skorzystać z tego zaproszenia? - zapytałem.
- Caramba, porca miseria! - zawołała ciotka Eveline. - Nie traktowałam tego poważnie.

Bo co mnie obchodzi jakiś tam handlarz win?

Skłoniłem jej się po raz drugi, aby podkreślić, jak wielkim darzę ją szacunkiem i jak wielką wagę przykładam do swojej propozycji.

- Bardzo chciałbym zobaczyć Orle Gniazdo - powiedziałem. - A odniosłem wrażenie, że Marchant niechętnie wita turystów. On zaprosił panią do Orlego Gniazda. W pani towarzystwie mógłbym zwiedzić to zamczysko.

Zerknęła na mnie uważnie.

- Tak panu na tym zależy?

- To, zdaje się, ciekawy obiekt architektoniczny - powiedziałem. Zapaliła papierosa i jeszcze raz łypnęła na mnie podejrzliwie.

- Naprawdę interesuje pana tylko stara architektura Orlego Gniazda?

- No, nie tylko - bąknąłem. - Ciekawi mnie też osoba właściciela zamku.

- Rozumiem. Pan nie chce powiedzieć mi prawdy. No cóż, trudno, caramba, porca miseria. Zrobił pan tak wiele dla biednego Raoula, że gotowa jestem jechać do Marchanta. Tylko że, jak panu wiadomo, mój samochód jest w naprawie w Orleanie.

- Pojedziemy wehikulem.

- Pana samochodem? - oczy jej zabłyśły, a papieros znalazł się błyskawicznie w drugim kąciку ust. - Ale ja będę go prowadzić, zgoda?

Aż oczy przymknąłem, przeniknięty wizją strasliwej katastrofy. Westchnąłem ciężko:

- Zgoda. Ale to dziwny samochód...

- Dziwny? Caramba, porca miseria, nie ma dla mnie dziwnych samochodów. Już ja go ujarzmię - oko jej błysnęło. Pociągała ją myśl o szaleńczej jeździe.

- Pojedziemy tam natychmiast. Pan pozwoli, że tylko skoczę do swego pokoju i założę kapelusz.

Podreptała dziarskim krokiem i po krótkim czasie zjawiła się w garażu, mając na głowie

coś w rodzaju słomianej strzechy na wiejskiej chałupie z okolic Mławy czy Skierniewic. Główka kapelusza przepasana była czerwoną wstęgą. Koniec wstęgi spływał na plecy madame Eveline jak warkocz. Nosiła czarną suknię, a na szyi wspaniałą koliaż z pereł. Doprawdy dziwny gust miała madame Eveline.

Wyprowadziłem wehikuł z garażu na dość bezpieczną odległość od jakiegokolwiek muru i drzewa.

Nieżyjący już mój wuj Gromiłło, nie wiem dlaczego, przerobił dawną skrzynię biegów Ferrari 410. Na przykład tam, gdzie w każdym samochodzie znajduje się bieg najniższy, u mnie był najwyższy, nie znaczy to jednak wcale, że inne biegi pozostawił we właściwym porządku. Tam gdzie powinien być drugi bieg, u mnie był czwarty, a tam gdzie trzeci, u mnie znajdował się drugi. Bieg najniższy sąsiadował z najwyższym i tak dalej, i tym podobnie, bez ładu i składu. Jeżdżąc tym wozem zdołałem się przyzwyczaić do jego „dziwności” i bezbłędnie wrzucałem kolejne biegi. Ale zdawałem sobie sprawę, że ktoś, kto do tej pory prowadził zwykły samochód, nie da sobie rady z wehikułem.

Ponaglany przez ciotkę Eveline, posłusznie przesiadłem się na miejsce obok kierowcy, jej pozostawiając kierownicę i wszystkie pedały wozu.

- Już ja go ujarzmię - mruzczała madame Eveline, zapalając papierosa i umieszczając go zawiadaczko w lewym kąciку ust. Swój podobny do strzechy kapelusz zsunęła na plecy. Wyglądała jak kowboj, który wkroczył do corralu, aby dosiąść dzikiego mustanga.

- Tutaj jest pierwszy bieg - usiłowałem poinformować ciotkę Eveline, lecz ona tylko gniewnie machnęła ręką.

- Caramba, porca miseria! - zawołała. - Kogo pan chce uczyć? Mnie? Spowodowałam sto czterdzieści pięć kraks samochodowych. Już ja wiem, gdzie jest w samochodzie sprzęgło, gaz i biegi. Nie takimi wozami jeździłam, Panie Samochodzik.

Wcisnęła nogą pedał sprzęgła, przekreśliła kluczyk w stacyjce, poruszyła rączką biegów.

Potem puściła wolno sprzęgło, równocześnie przyciskając pedał gazu

Silnik zawył straszliwie, wehikuł jednak ani drgnął.

- Co się dzieje, caramba, porca miseria? - zdumiała się madame Eveline. - Czy u pana biegi są zepsute?

- Nie, proszę pani - odparłem. - Wszystko działa bez zarzutu, tylko że uruchomiła pani śrubę napędową. Gdybyśmy teraz znajdowali się na środku rzeki, bardzo szybko popłynęlibyśmy do brzegu.

Madame Eveline wybałuszyła oczy.

- Co pan wygaduje? Na jakiej wodzie?

- No tak. On pływa po wodzie.

- Jak to: pływa? Tak najzwyczajniej pływa po wodzie? - nie wierzyła własnym uszom.

- Owszem, madame. To amfibia. Proszę wyjść z samochodu i zajrzeć pod tył wehikułu.

Właśnie obracają się tam skrzydełka śruby napędowej.

Wyskoczyła z wozu i aby zajrzeć pod tył wehikułu zdjęła swój słomkowy kapelusz.

- Faktycznie - stwierdziła. - Śmigło się kręci. Panie drogi, a on nie lata?

- Na szczęście nie - uśmiechnąłem się.

Już z mniejszą pewnością siebie zasiadła znowu za kierownicą. Wyłączyłem śrubę napędową, wskazałem jej rączkę przekładni skrzyni biegów przeznaczoną do napędu kół samochodowych.

Wolniutko ruszyliśmy z miejsca. Ale po chwili madame Eveline usiłowała wrzucić drugi bieg. A ponieważ naprzeciw biegowi drugiego był u mnie bieg szósty, który należało włączyć dopiero przy dużej prędkości, oczywiście wehikułem tylko rzuciło do przodu i silnik zgasł.

- Co znowu, caramba, porca miseria? - denerwowała się madame Eveline.

- Wrzuciła pani najwyższy bieg. Motor nie miał siły, aby poruszyć kołami.

- A gdzie jest drugi bieg?

Wskazałem jej.

- Aha, tutaj? Rozumiem. A trzeci?

- W tym miejscu.

- Aha, rozumiem. Czwarty pewnie jest tutaj, prawda?

- Nie, madame. Tu jest piąty.

- Rozumiem. A tu czwarty, prawda?

- Nie, madame, pani już zapomniała. Tu jest właśnie pierwszy bieg.

- Aha, rozumiem. Pierwszy jest tutaj, a tutaj szósty, w związku z tym tu mamy bieg drugi, tutaj trzeci, a tu jest czwarty.

- Nie, madame. W tej chwili wskazuje pani biegi przeznaczone dla śruby napędowej, gdy samochód pływa po wodzie.

- Caramba, porca miseria, a gdzie, u diabła, są biegi dla kół?

- Przecież pani już pokazywałem. Tu jest bieg pierwszy, a tutaj drugi.

- Rozumiem. Tutaj jest trzeci, a tu czwarty...

- Nie, madame. Tu jest szósty, a tam trzeci.

- Do diaska, co pan opowiada? Przecież pan mówił, że pierwszy bieg jest tutaj?

- Tak, to jest pierwszy bieg, ale śruby napędowej. Samochodowy znajduje się po lewej stronie.

- No, jasne! - zawołała radośnie madame Eveline. - Teraz już wszystko rozumiem.

Wcisnęła sprzęgło, przekręciła kluczyk w stacyjce, poruszyła dźwignią biegów, potem wolno puściła sprzęgło, dodała nieco gazu. Silnik zawył, ale samochód nie ruszył z miejsca.

- Caramba, porca miseria, znowu włączyłam śrubę napędową? - zdumiała się madame Eveline.

- Nie, proszę pani. Jesteśmy na biegu jałowym.

- Rozumiem. To niech mi pan jeszcze raz objaśni. To jest pierwszy bieg, tak?

- Nie, madame. To jest szósty bieg.

I tak trwało z pół godziny. Tłumaczyłem bez końca, wskazywałem kolejne biegi dla kół i śruby napędowej.

Ale madame Eveline kolejność biegów w moim wehikule wydawała się nie do zapamiętania.

Papieros jej zgasł, na twarz wystąpiły krople potu.

W pewnym momencie, po nowej bezowocnej próbie jazdy, madame Eveline trzasnęła pięścią w deskę rozdzielczą wozu.

- Panie - zawołała - do diaska z takim samochodem! Zdaje mi się, że pierwszy raz w życiu wolałabym mieć rower. Siadaj pan za kierownicą i jedźmy do Orlego Gniazda, bo mam wrażenie, że jeszcze minuta, a zwariuję. Pierwszy bieg, szósty, czwarty, trzeci... - ła-pała się za głowę. - Panie, to s t r a s z n y samochód.

- Nie, madame. To tylko kwestia wprawy - odrzekłem uprzejmie, przesiadając się na miejsce kierowcy. - Gdybym pani narysował na kartce papieru poszczególne biegi i poćwiczyla by pani w domu przez godzinę dziennie, jestem pewien, że po jakimś czasie zupełnie swobodnie mogłaby pani jeździć moim wehikułem.

- Jest pan tego pewny? - ucieszyła się.

- Tak, madame. Najzupełniej pewny.

- W takim razie od jutra zacznę ćwiczyć w domu - zdecydowała. Albowiem myśl, że trafiła na samochód, którego nie umiała prowadzić, wydawała jej się nie do zniesienia.

Pojechaliśmy do Orlego Gniazda. Było już popołudnie, ale jak wspomniałem, tego dnia siąpił deszcz. Nie padał ciągle, tylko od czasu do czasu pokapywało z nieba, po którym wlokły się ponure, ogromne, czarne zwaliska chmur. Orle Gniazdo znajdowało się na dość wysokim wzgórzu, jego potężna baszta i zębate mury ponuro rysowały się na tle nieba pokrytego czarnymi chmurami. Dzień był szary, wietrzny. W takiej scenerii nietrudno byłoby

sobie wyobrazić, że za murami Orlego Gniazda mieszka straszliwy czarownik Merlin, za bramą czyhają na przybysza jadowite smoki, a w podziemiach zamku jęczy uwięziona dziewczica precudnej urody. Tylko że ani ciotka Eveline, ani ja nie wyglądaliśmy na bohaterów opowieści o królu Arturze.

Lśniaca od deszczu, czarna asfaltowa szosa, prowadząca do ogromnej bramy zamkowej, wiała się po pochyłości wzgórza. Gdzieś w połowie jego wysokości, środkiem drogi, jechała do zamku dwukółka z jarzynami, ciągniona przez osiołka.

Dałem raz i drugi sygnał klaksonem, aby dwukółka ustąpiła mi z drogi. Lecz osiołek, jak to osiołek, okazał się uparty i ani myślał ustąpić. Kierowała dwukółką dziewczyna okutana szczelnie płachtą przeciwdeszczową. Nie miała chyba żadnego autorytetu u osiołka, bo choć szarpała lejcami i wymachiwała batem nad łbem z długimi uszami, osioł wciąż dreptał środkiem szosy.

- Caramba, porca miseria! - zawołała madame Eveline, wychylając się przez okno wehikułu. - Czy panienska nie może przemówić do rozumu temu zwierzęciu? Czy osła nie obowiązują przepisy drogowe?

Ale z osłem, jak wiadomo, nie warto wdawać się w dysputy, a tym bardziej wymyślać mu. Więc choć szosa była wąska, zjechałem wehikułem na jej skraj i ocierając się o kolczasty żywopłot, wyprzedziłem w końcu dwukółkę. W ten sposób podjechałem pod bramy zamku pana Marchanta.

Zatrąbiłem bardzo głośno. Czekaliśmy z pięć minut, aż ogromna brama nieco się uchyliła. Na tyle tylko, aby przez szpary przecisnął się potężny mężczyzna z ogromnym czerwonym nosem.

Nosacz żując gumę popatrzył na nas niechętnie.

- Do kogo, hę? - zapytał grubym głosem. - Turystów się tu nie wpuszcza.

Madame Eveline wyjrzała przez okno wehikułu.

- Jestem Eveline Brion. Proszę zameldować panu Marchantowi, że przybyłam na jego zaproszenie, aby obejrzeć Orle Gniazdo.

Nosacz wzruszył ramionami i powiedział nie przestając żuć gumy:

- Tu nie ma nic do oglądania. Nie słyszałem o żadnym zaproszeniu.

Bardzo podejrzliwie spoglądał na mój wehikuł.

- Ma się ten kuloodporny wozik, co? - mrugnął do mnie porozumiewawczo. - I myślicie, że ja się dam nabrać? Eveline Brion, co? Zna się to fałszywe nazwisko. Czuję, że jesteście z jakiejś francuskiej bandy. Jazda stąd, pókim dobry.

Wziął nas za francuskich gangsterów i chyba podejrzewał, że wieziemy w wehikule ładunek dynamitu.

A madame Eveline aż zaniemówiła na chwilę ze zgrozy i oburzenia.

- Caramba, porca miseria! - zawołała wyskakując z wozu. - Co pan powiedział? Eveline Brion to fałszywe nazwisko? Jestem z jakiejś bandy? Boże drogi, gdyby to słyszał mój mąż, najszlachetniejszy bankier francuski. Eveline Brion z bandy? Ja pana wsadzę do kryminału! - wrzasnęła.

Myśl o kryminale, zdaje się, bardzo ubawiła nosacza. Uśmiechnął się od ucha do ucha. Przypomniał sobie jednak nazwisko Brion.

- Brion? - zastanawiał się, obserwując bacznie madame Eveline. - Coś sobie przypominam. Niezły mająteczek miał ten facet. Pani jest jego małżonką? A te perełki są prawdziwe czy fałszywe?

I wyciągnął łapę w kierunku koliai, którą ciotka Eveline miała na szyi.

- Precz z łapami! - wrzasnęła madame Eveline. - Moje perełki są fałszywe? Człowieku, opamiętaj się, bo cię wsadzę do kryminału. Za te perełki mogłabym kupić tę waszą starą budę Orle Gniazdo i trzech takich dozorców jak pan.

Tym razem ona dotknęła nosacza. Wypluł gumę do zucia, wyprostował się dumnie.

- Nie jestem dozorcą - stwierdził ponuro. - Zaliczam się do przyjaciół pana Marchanta. I niepotrzebnie unosi się pani gniewem, madame. O waszym przyjeździe zawiadomię pana Marchanta.

Zerknął na perły ciotki Eveline i dodał z błyskiem chciwości w oczach:

- A te perełki, coś mi się widzi, są najprawdziwsze w świecie. Bardzo ładne sztuki.

To mówiąc otworzył szeroko bramę zamku. Wjechaliśmy najpierw do nisko sklepionej ogromnej sieni, a potem na szeroki podwórzec, otoczony murami.

Usłyszeliśmy, jak za naszymi plecami z głuchym łoskotem zawarły się potężne odrzwia. Ten łoskot wydał mi się złowróźbny i aż dreszcz przeszedł mi po plecach. Nie uległo bowiem żadnej wątpliwości, że znaleźliśmy się nie tyle w Orlim Gnieździe, co w gnieździe gangsterów.

ROZDZIAŁ XIII

**• Tajemnica Orlego Gniazda • Dwuznaczna rozmowa z Marchantem •
Ryzykowny pomysł Yvonne • Kim okazał się murarz • Kłopot ze starą damą •
W lochach starej baszty • Pogróżki Fantomasa • Demaskując tajnego
korespondenta • Katastrofa kolejowa**

Za bramą Orlego Gniazda krył się uroczy, niemal rajski zakątek. Oto w dużym czworoboku wysokich średniowiecznych murów, w sąsiedztwie ponurego donżonu, stała nowoczesna willa w stylu mauretańskim, tak biała, że na tle brunatnych murów raziła oczy.

U stóp willi rozciągał się szmaragdowy, starannie utrzymany trawnik i połyskiwał basen wyłożony błękitnymi kafelkami. Za basenem znajdował się miniaturowy ogródek, pełen rozkwitłych różanych krzewów, wydzielających upajający zapach. Wszędzie - od bramy do willi, od willi do basenu i poprzez maleńki ogród - prowadziły betonowe ścieżki. Nieco szersza dróżka wiodła do budynku gospodarczego z garażami i kominem centralnego ogrzewania.

Na środku dziedzińca cichutko szemrała duża fontanna.

- Tak, tam proszę pojechać - rozkazał nam nosacz, wskazując niewielki parking w sąsiedztwie budynku gospodarczego.

A gdy wysiedliśmy z wehikułu, nosacz zaprowadził nas do ogrodu, do małej altany ze szklanym dachem, do ścian której tuliły się róże o barwie czerwonej, żółtej, kremowej, a nawet czarnej.

Usiedliśmy wygodnie w bujanych fotelach, a nosacz pośpieszył do willi, aby panu Marchantowi zaanonsować nasze przybycie.

- Caramba, porca miseria - mruknęła madame Eveline. - Pięknie sobie mieszka ten handlarz win. Gdy podjeżdża się do Orlego Gniazda, wydaje się, że to kupa gruzów i tchnących wilgocią starych murów. A tymczasem tutaj jest wprost cudownie. On musi mieć kupę forsy.

- Pani zna go od dawna? - zapytałem.

- Poznałam go na wyścigach samochodowych. Już to chyba mówiłam. Miałam wtedy po raz pierwszy przepiękny naszyjnik z diamentów...

- I po raz ostatni, prawda?

- Tak, a skąd pan o tym wie? - zdziwiła się madame Eveline. - Właśnie tej nocy w hotelu, w którym się zatrzymałam, skradziono mi naszyjnik. Oczywiście, był dobrze ubezpieczony i nic na tym nie straciłam. Ale naszyjnik przepadł. Czyżby pan sądził?... - domyśliła się, jakie miałem podejrzenia.

- Tak - kiwnąłem głową. - Sądzę, że właściciel tego zamku, nie tyle z potrzeby, ile dla samej przyjemności, lubi od czasu do czasu zakraść się do hotelu po jakiś piękny przedmiot.

- O Boże! - ciotka Eveline dotknęła kolii z pereł. - Uciekajmy stąd. Ja mam na sobie drogocenne perły.

- W tym zamku nic pani nie grozi - uśmiechnąłem się.

- Ma pan rację - mruknęła madame Eveline. - On sprawia wrażenie dżentelmena. Ale ten jego sługus to gangster. Czy pan zauważył, jak on chciwie wpatrywał się w moją kolie? Może lepiej zrobimy uciekając stąd? A właściwie po co tu przyjechaliśmy? Pana naprawdę interesuje architektura tego zamku?

- Ach, nie, madame. Chciałem bliżej poznać Pierre Marchanta. Pani nazywa go handlarzem win. A skąd pani wie, że on się tym zajmował?

- Sam mi to powiedział - odrzekła. - Przedstawił mi się jako handlarz win, który wycofał się z interesów. Czyżby pan sądził, że to nieprawda? A skąd miałby pieniądze na utrzymanie tak wspaniałego zakątka?

- Nie wiem, madame - znowu uśmiechnąłem się pod nosem. Naiwność ciotki Eveline była rozbijająca. Jeśli Pierre Marchant miał coś wspólnego z Johnem Blackiem, to raczej było wątpliwe, aby kiedykolwiek zajmował się handlem win. Prawdą było tylko, że miał duży majątek, zdobyty dzięki włamaniom do banków i napadom na kasy z pieniędzmi. „Napad stulecia” przyniósł mu ogromną fortunę. Ale, jak można było przypuszczać, Mózg chyba nie lubił wypoczywać. Być może bezczynne korzystanie z owoców przestępstwa wydawało mu się czymś nad wyraz nudnym. Pewnego dnia zapragnął swą willę w stylu mauretańskim ozdobić wspaniałymi obrazami. A że kupowanie rzeczy drogocennych było mu obce, a może nawet wstrętne, wymyślił sobie „metodę Fantomasa”, jak nazwałem sposób kradzieży obrazów z galerii w zamkach nad Loarą.

„Te obrazy gdzieś tutaj muszą być” - rozmyślałem gorączkowo.

Czy jednak nie ponosiła mnie fantazja? Czy Pierre Marchant był naprawdę Johnem Blackiem, poszukiwanym przez policje angielską słynnym Mózgiem?

„Pigeon wpadł na jakiś trop. I wpadł na niego wówczas, gdy zajął się osobą Marchanta. Przecież niedwuznacznie wynikało to z naszej wczorajszej rozmowy” - medytowałem.

Tymczasem na betonowej ścieżce ukazał się inwalidzki fotel, popychany przez nosacza. Na fotelu, z nogami okrytymi szkockim pledem, siedział Pierre Marchant. Miał na sobie ciepłą bonzurkę, a pod szyją czerwony jedwabny fular.

Gdy zbliżał się do nas i patrzyłem na jego gładko wygoloną twarz, jasne, starannie przyczesane włosy, nie mogłem nie pomyśleć, że być może jest to tylko jedno z licznych wcieleń Mózgu. Te włosy były może peruką, a regularne rysy w każdej chwili mogły ulec zniekształceniu. Istniały przecież sposoby, aby wypchnąć policzki i twarz uczynić puciołowatą. Ozdobiona gęstym zarostem, w niczym nie przypominałaby tej, którą teraz oglądaliśmy.

Jak naprawdę wyglądał John Black? Ile było rysopisów tego człowieka?

Policji nie udało się nigdy uzyskać odcisków jego palców. A twarz? Nikt nie widział

nigdy prawdziwego oblicza tego człowieka.

Oto teraz podjeżdżał do nas na swoim inwalidzkim fotelu. Na kolanach trzymał gazetę.

- Witam państwa - skłonił się lekko i coś w rodzaju ironicznego uśmiešku przemknęło po jego ustach. - Cieszę się, że madame dotrzymała obietnicy i raczyła okazać zainteresowanie dla mojego zamku.

Ciotka Eveline, jak zwykle, zaczęła od przekleństw:

- Caramba, porca miseria! - zawołała. - Pięknie się pan tu urządził, szkoda gadać. Nigdy bym nie przypuszczała, że za tymi ponurymi murami jest tak cudnie.

Pierre Marchant z zadowoleniem słuchał jej zachwyty.

- Owszem, madame, zrobiłem wiele dla tego zakątka. Ale pogoda w tych stronach nie bywa tak wspaniała, jak na południu. Nie tak dawno nabyłem małą posiadłość w jednym z krajów arabskich, gdzie niebo niemal zawsze jest bezchmurne. Urządziłem tam duży ogród i wybudowałem obszerną willę, obszerniejszą niż ta. W jednym z naszych portów oczekuje mnie w każdej chwili mój jacht motorowy. Jeśli w dalszym ciągu będzie tu siał deszcz, wyjadę stąd.

- Ach, szczęśliwa Arabia... - westchnęła ciotka Eveline. - Ja mam willę na Riwierze. Pogoda bywa tam dość znośna.

- Ale za dużo ludzi - odparł pan Marchant. - A ja nie lubię obnosić się ze swoim inwalidztwem i raczej szukam samotności.

Dopiero teraz Marchant skierował przenikliwy wzrok na moją osobę.

- Miło mi pana powitać - rzekł, biorąc do ręki gazetę. - To pan jest, jeśli się nie mylę, owym słynnym Panem Samochodzikiem?

- Tak mnie nazywają.

- Dzisiejsza prasa wiele pisze o panu. Podobno udało się panu przechytryć Fantomasa i uniemożliwić kradzież obrazu Van Gogha. Piszą, że wykrył pan „metodę Fantomasa” i od tej

chwili nie ma on już żadnych możliwości działania.

- Tak, to prawda. Wykryłem „metodę Fantomasa” i nie ukradnie on już żadnego obrazu z zamków nad Loarą.

- Czy jest pan może też na tropie samego Fantomasa?

- Mam nadzieję, że uda mi się go schwytać - kiwnąłem głową.

Marchant popatrzył na mnie uważnie, jakby chciał tym spojrzeniem wedrzeć mi się pod czaszkę i poznać moje myśli. Uśmiechnął się jednak i stwierdził:

- Z ogromnym zainteresowaniem śledziłem wiadomości w prasie o pańskiej walce z Fantomasem. Wydaje mi się, że Fantomasa zgubiła nadmierna pewność siebie. Nie docenił pana, panie...

- Mam na imię Tomasz - wtrąciłem szybko - nie lubię bowiem, gdy nazywają mnie Panem Samochodzikiem. Brzmi to przecież dość śmiesznie.

- A więc on chyba pana nie docenił - rzekł Marchant. - Ale zapewne zgodzi się pan ze mną, że i Fantomas nie jest człowiekiem przeciętnym.

- Tak - przytaknąłem. - To umysł niezwykły. Wymyślenie tak prostej, a jednocześnie skutecznej metody kradzieży obrazów uważam za prawdziwy majstersztyk. Ale to człowiek niezwykle niebezpieczny. Dlatego tym większą mam ochotę spowodować, by go aresztowano.

- Och, to chyba nie będzie takie proste - ironiczny uśmiezek pojawił się znowu na jego ustach. - O ile dobrze zrozumiałem wiadomości zamieszczone w prasie, dotąd nie schwytano nikogo z jego ludzi. A więc trop urwał się. W jaki sposób chce pan trafić do Fantomasa?

- Muszę odzyskać skradzione przez niego obrazy - powiedziałem stanowczo. - I nie spocznę, dopóki tego nie dokonam.

Marchant zastanowił się chwilę, a potem rzekł z obojętną miną, jakby rozważał jakąś teoretyczną kwestię:

- A gdyby Fantomas zaproponował panu zwrot skradzionych obrazów w zamian za pozo-

stawienie go w spokoju?

Tym razem ja spojrziałem na niego bardzo uważnie i powiedziałem z naciskiem:

- Oddałby mi taką propozycją niezwykle przysługę. Miałbym pewność, że posiada te obrazy, to znaczy, nie sprzedał ich i nie powędrowały one w świat. A tym samym zachęciłby mnie do walki. Nie spocznę, dopóki ten człowiek nie znajdzie się za kratkami.

Jakby chmura przeleciała mu przez twarz i zmiotła uśmiešek.

- Tym razem wydaje mi się, że pan nie docenia Fantomasa. Wątpię, aby udało się panu zaprowadzić go za kratki, jak to pan określa. Pan nie zna Fantomasa. On bardzo kocha niebezpieczeństwo. Gdy znajduje się w trudnej sytuacji, dopiero wtedy jest w swoim żywiole.

- Pan za to bardzo dobrze go zna - stwierdziłem z przekąsem.

- Wyrobiłem sobie o nim zdanie na podstawie jego wyczynów - odrzekł. I znowu się uśmiechnął.

To było oczywiste, że on domyślał się, że ja wiem, kim jest Fantomas. I dlatego nasza rozmowa była taka zabawna.

- Ale nie przyjechał pan chyba do Orlego Gniazda, aby szukać tutaj Fantomasa - z tym samym uśmieżkiem powiedział Marchant. - Jest pan cudzoziemcem, którego interesuje stara architektura zamków nad Loarą. Bardzo chętnie oprowadzę pana po swoim zamku. Drogi Arturze - zwrócił się do nosacza, który wciąż stał za jego plecami - pozostaw nas samych. Ja sam popchnę fotel.

Nosacz skłonił się Marchantowi i odszedł w stronę bramy zamkowej. A Marchant chwycił dłońmi za szprychy kół swego fotela i pojechał w głąb ogrodu.

- Caramba, porca miseria - burknęła ciotka Eveline. - Nareszcie skończyliście, panowie, rozmowę o Fantomasie. Wyznaję, że mam już dosyć tego człowieka. Słuchanie o nim staje się nudne.

- Ma pani rację, madame - roześmiał się Marchant. - Proszę więc oglądać moje róże.

I oglądaliśmy wspaniale rozkwitłe pąki róż, wdychaliśmy ich subtelny, mocny zapach.

- Ten zamek, gdy go nabyłem przed pięcioma laty - opowiadał Marchant - był niemal kompletną ruiną. Kazałem naprawić mury obronne i zbudowałem willę. Potem kazałem zrobić basen i ogród z altaną.

- Po co panu basen? zdziwiła się ciotka Eveline ze swoją szorstką bezceremonialnością. - Przecież pan jest inwalidą i nie może pan korzystać z basenu.

- Ach, madame, to przykro słuchać o kalectwie - westchnął pan Marchant. - Leczę się u najlepszych lekarzy i mam nadzieję odzyskać kiedyś władzę w nogach. Wówczas będę korzystał z pływackiego basenu.

- Przepraszam pana, panie Marchant - zawstydzila się ciotka Eveline. - Oczywiście, odzyska pan władzę w nogach i będzie pan korzystał ze swojego wspaniałego basenu.

Marchant wyjechał na fotelu z ogrodu i skierował się ku starej baszcie obronnej, którą chciał mi pokazać nieco dokładniej. Gdy mijaliśmy bramę wjazdową, zobaczyliśmy wózek z osiołkiem stojący obok budynku gospodarczego. Deszcz przestał właśnie padać, więc dziewczynka, która popędzała osiołka, zrzuciła z siebie brezentową płachtę.

- Yvonne? - wyrwało się ciotce Eveline. - Caramba, porca miseria, co ta dziewczyna tu robi?

W tym momencie chwyciłem kościstą rękę starszej pani i ścisnąłem ją tak mocno, że niemal krzyknęła z bólu.

- Yvonne? - zainteresował się Marchant i rozejrzał się na wszystkie strony. - O kim pani mówi, madame?

Ciotka Eveline chyba zrozumiała mój silny uścisk, bo zaczęła dość mętnie wyjaśniać:

- Ach, to nic ważnego, proszę pana. Przypomniałam sobie o mojej bratanicy. Ta dziewczyna nigdy mnie nie słucha i korzystając z mojej nieobecności może zechce przejechać się moim wozem. A to bardzo szybki samochód.

- Sądziłem, że pani samochód jest zepsuty - odparł pan Marchant. - Tak pisali w gazetach - dodał.

- Już go naprawiono - skłaniała ciotka Eveline.

- Ach, tak - kiwnął głową Marchant.

I skierował swój fotel w stronę baszty. A ja dyskretnie obejrzałem się do tyłu. Tak, nie ulegało wątpliwości, że dziewczynką, która przywiozła jarzyny do Orlego Gniazda, była Yvonne. Tak więc wyjaśniła się jej poranna nieobecność w Zamku Sześciu Dam. Robert miał w pobliskiej wiosce jakieś znajomości, dziewczynce udało się namówić albo przekupić właściciela wózka z osiołkiem i ten pozwolił jej zawieźć jarzyny do Orlego Gniazda. Pilnującemu bramy gangsterowi w Orlim Gnieździe zapewne wyjaśniła, że właściciel wózka zachorował, a ona jest jego córką i zastępuje ojca. W ten sposób Yvonne dostała się za bramę zamku.

„Naraża się na poważne niebezpieczeństwo - pomyślałem z obawą. - Co będzie, jeśli złooczyńcy domyśla się, że przybyła tutaj na przeszpiegi?”

Nie dałem jednak nic po sobie poznać i okazywałem ogromne zainteresowanie potężną, starą basztą.

W ścianie donżonu wykuto drzwi. Były otwarte na oścież, wewnątrz pracowała grupka robotników.

- Jak państwo widzą - objaśniał Marchant - kończą się roboty murarskie. Donżon miał dawniej drewniane schody. Kazałem zrobić murowane i wyremontować wszystkie cztery kondygnacje wieży. Zamierzam dach donżonu pokryć szkłem, a we wnętrzu baszty urządzić galerię obrazów.

Na kamiennej posadzce donżonu leżały kupy gruzu i cegieł, zagradzały drogę worki z cementem. Trzech robotników w poplamionych ubraniach zamurowywało przewody elektryczne w ścianach.

- Taki tu bałagan, że nie zapraszam państwa na zwiedzanie baszty - powiedział pan Marchant. - Jeśli jednak państwo mają ochotę proszę zajrzeć do lochu. O tam, w lewym rogu wi-dać kręcone schodki w dół. W dawnych wiekach panowie tego zamku więzili tam swoich wrogów. Pana to powinno zainteresować.

Kiwnąłem głową, że wszystko pojałem. Chciał mi dać do zrozumienia, że jeśli będę w dalszym ciągu deptał Fantomasowi po piętach, znajdę się w lochu pod basztą.

- Do licha! - zawołała ciotka Eveline. - Muszę zobaczyć podziemne więzienie. Fantomasa by w nim zamknąć, w dybach osadzić, na tortury skazać!

Marchant uśmiechnął się wyrozumiale. Pomyślałem, że nasza wizyta setnie go bawi. Miałem na końcu języka uwagę, która być może zepsułaby mu dobry humor, ale madame Eveline już przedzierała się przez sterty gruzu i desek do widocznego w kamiennej posadzce dużego otworu ze schodami w dół.

Nagle stanęła jak wryta.

- Pigeon? Caramba, porca miseria, czyżbym miała halucynacje? - mruknęła dość głośno.

Jej spojrzenie skierowane było na robotnika zajętego zamurowywaniem przewodów elektrycznych w ścianie. Ubranie robocze tego człowieka było bardziej niż innych pochłapane wapnem i uwijał się przy robocie gorliwiej niż pozostali.

Tak, to był Pigeon. Detektyw Agencji Ubezpieczeniowej. I on także zdecydował się zabrać do Orlego Gniazda. Zapewne obserwując wczoraj zamek Marchanta, zauważył wychodzących stąd robotników, dowiedział się od nich o przeprowadzanych przez Marchanta robotach w starej baszcie, wkupił się w łaski murarzy i dziś rano wraz z nimi znalazł się w Orlim Gnieździe. A więc nie omyliły mnie przeczucia. Pigeon podejrzewał, że Marchant jest słynnym Johnem Blackiem.

Nie wiem, czy Marchant usłyszał głośne przecież mruknięcie ciotki Eveline i zauważył jej ogromnie zdziwioną minę. Aby powstrzymać madame przed dalszymi wyrazami zdumie-

nia, chwyciłem ją mocno za ramię i wołając: „Do więzienia, do lochu!”, pociągnąłem ją w dół.

- Caramba, porca miseria! - wołała ciotka Eveline. - Co pan wyprawia, Panie Samochodzik? Przecież ja nogi połamię. I w ogóle, co to wszystko ma znaczyć? Yvonne na wózku z jarzynami, Pigeon jako murarz? Czy ja zwariowałam?

Gdy znaleźliśmy się w ciemnym, wilgotnym lochu, położyłem palec na ustach, dając znak, aby milczała.

- Później pani wszystko wyjaśnię. Po prostu Marchant to podejrzany osobnik. Pigeon go śledzi, pani rozumie?

- Ale Yvonne, caramba...

- Ciszej - syknąłem. - Musimy uważać. Jeśli Marchant zorientuje się, że jest śledzony, może to się źle skończyć dla Pigeona i Yvonne.

- Niech tylko spróbuje zrobić krzywdę mojej bratanicy - burknęła groźnie madame Eveline. - Nie radzę mu mieć ze mną do czynienia.

- Cichooo! - syczałem jak wąż.

- I po co pan tak syczy? - wzruszyła ramionami. - Nie jestem taka głupia, jak pan myśli.

Usłyszeliśmy na schodach czyjeś kroki. Zrobiwszy więc najbardziej obojętne miny, zaczęliśmy z ogromną uwagą oglądać podziemie.

Była to duża, okrągła cela, przegrodzona w połowie żelazną kratą. To tam, za kratą, przykuwano więźnia do ściany. Jeszcze widać było kilka łańcuchów uczepionych do potężnych haków, wmurowanych w ściany. Światło słoneczne spływało tutaj wąziutką strużką przez maleńkie okienko od strony podwórza zamkowego. Jeśli naprawdę trzymano tu kiedyś więźniów, to należało współczuć ich doli. Za posłanie mieli wiązkę wilgotnej słomy. Zimno, brak ruchu i świeżego powietrza szybko podkopywały ich zdrowie.

- Brr! - aż wstrząsnąłem się na myśl o udrękach więźniów Orlego Gniazda.

Do podziemi zszedł ochlapany wapnem robotnik, był to Pigeon. Udając, że ogląda ślady po zamurowanych przewodach elektrycznych, zbliżył się do nas i szepnął:

- Będę potrzebował pańskiej pomocy. Proszę przyjść dziś wieczorem, o siódmej, do gospody „Pod Trzema Psami” w tutejszej wiosce.

To powiedziawszy Pigeon, pogwizdując przez zęby jakąś niewyraźną melodię, znowu wyszedł na górę.

- Ja też. Ja też przyjdę do gospody - mruknęła ciotka Eveline. - Coś mi się widzi, że szykuje się jakaś niezwykła sprawa. Może dostarczy mi więcej emocji niż jazda szybkim samochodem?

- Nie, nie - zaprotestowałem gorąco. - To nie jest sprawa dla kobiety.

- A Yvonne? Ją dopuściliście do tajemnicy? - madame wzięła się pod boki i spojrzała na mnie zaczepnie. - A może uważacie, że ja jestem za stara, hę?

- Ależ nic podobnego, madame - wykręcałem się. - Pigeon jednak tylko mnie zaprosił do gospody.

- Uważam, że postąpił nietaktownie i wyjaśnię mu to dziś wieczorem - burknęła.

Trochę za długo siedzieliśmy w podziemiu. Mogło to obudzić podejrzenia Marchanta.

Wyszliśmy więc na górę. Marchant tkwił wciąż na swoim inwalidzkim fotelu. Palił chesterfielda i czytał gazetę.

- No i co? - zapytał nas, podnosząc głowę znad gazety. - Jak prezentuje się moje więzienie? Cha, cha, cha! - nagle roześmiał się. - Na górnych piętrach wspaniała galeria obrazów, a na dole więzienie dla wrogów. Zamierzam, proszę państwa, kupić kilka szcurków i zamknę je w lochu dla towarzystwa tych, którzy się tam znajdują.

- Prywatne więzienie? I do tego cięższe niż Bastylia! - oburzyła się stara dama. - Ależ, drogi panie Marchant, coś takiego jest zakazane przez prawo.

Marchant dodał uspokajająco:

- Przecież ja tylko żartowałem, madame. Nie mam wrogów, z którymi musiałbym aż tak okrutnie postępować. Prawda, że nie mam wrogów? - pytanie to skierował do mnie.

- Jakich wrogów może mieć były handlarz win? - odpowiedziałem pytaniem.

Ocecił zręczność mojej odpowiedzi. Z uznaniem pokiwał głową, a potem powiedział:

- Pokażę państwu jeszcze jedną małą sztuczkę dla ciekawskich. Może państwo jeszcze raz wejść do donżonu? - zaproponował.

Madame Eveline, która była z natury bardzo ciekawa, natychmiast pośpieszyła z powrotem do wieży. Ja jednak pozostałem obok Marchanta.

- A pan? - zagadnął mnie.

- Nigdy nie należałem do ludzi ciekawych - odparłem.

- Sądziłem, że Pan Samochodzik to osoba nader ciekawska i wścibska - stwierdził Marchant.

- Nie rozwiązuję zagadek i nie tropię przestępców przez ciekawość i wścibstwo - rzekłem. - Po prostu lubię przygody. Czy to panu wyjaśnia motywy mojego postępowania?

- Owszem - przytaknął.

Podjechał do ściany donżonu na swoim fotelu i przycisnął niewielki guziczek, który zauważyłem dopiero, gdy go dotknął palcami.

W tym momencie w drzwiach donżona opadła z góry żelazna krata. Ciotka Eveline i pracujący w donżonie robotnicy zostali uwięzieni.

- Caramba, porca miseria! - zawołała madame Eveline. - Co pan wyprawia, panie Marchant! Czy zamierza mnie pan uwięzić i zażądać okupu?

Marchant roześmiał się głośno.

- Ależ nie, madame. Po prostu chciałem pani zademonstrować tę małą sztuczkę przygotowaną dla tych, którzy chcieliby w przyszłości bez mojej zgody obejrzeć galerię obrazów.

To mówiąc Marchant znowu przycisnął guziczek i krata podniosła się do góry.

- Kilka takich guziczków zostało zainstalowanych w różnych miejscach mojego domu - wyjaśnił, szerokim gestem wskazując willę. I dodał: - Czy mogę zaprosić państwa na obiad? Wydaje mi się, że pora po temu jest jak najbardziej stosowna.

- Nie, dziękujemy serdecznie - odrzekła madame Eveline. - Z przyjemnością zjedlibyśmy obiad w pana towarzystwie, ale mamy do załatwienia jeszcze kilka pilnych spraw. W Zamku Sześciu Dam oczekują nas również goście i musimy być obecni na obiedzie. A może pan, panie Marchant, zechciałby nam towarzyszyć do Zamku Sześciu Dam? Jest to obiekt bardzo interesujący. Poza tym nie wiem, czy pan słyszał, że mój brat, baron de Saint-Gatien ma wspaniałą galerię obrazów sztuki nowoczesnej. Warto ją obejrzeć.

- O tak, naturalnie. Ale pani rozumie, że kalece trudno się ruszać. Oczywiście, w przyszłości skorzystam z zaproszenia.

Byłem trochę niezadowolony, że madame Eveline odrzuciła zaproszenie na obiad. Może przy tej okazji mógłbym rozejrzeć się po willi i zobaczyć, czy nie ma w niej ukrytych skradzionych obrazów. Ale chyba Marchant nie był tak głupi, żeby te obrazy trzymać na widocznym miejscu. Domyślałem się zresztą, dlaczego ciotka Eveline odrzuciła zaproszenie. Stara pani niepokoiła się o Yvonne i chciała się upewnić, czy dziewczynka, po wyładowaniu jarzyn z wózka, bezpiecznie znalazła się za bramą Orlego Gniazda.

Marchant wyjął gwizdek z kieszeni. Zaraz też od strony budynku gospodarczego nadbiegł nosacz.

- Zaprowadź państwa do ich samochodu i otwórz bramę - rozkazał.

Na pożegnanie wyciągnął rękę do madame, a następnie uściśnął moją dłoń.

- Nie mówię panu: do zobaczenia - rzekł mi na pożegnanie - gdyż, jak panu mówiłem, zamierzam wyjechać z Orlego Gniazda.

„Wyfrunąć” - dodałem w myślach. A głośno powiedziałem:

- Ja też wkrótce wracam do Polski. Oczywiście, po schwytaniu Fantomasa.

Skłoniłem mu się i wraz z ciotką Eveline skierowałem się do wehikułu. Przechodząc przez podwórzec nie zauważyliśmy już Yvonne. Zobaczyliśmy ją na szosie u podnóża zamku. Osiołek dreptał szybko z górki, a dziewczynka z bardzo zadowoloną miną siedziała na koźle dwukółki.

Wyprzedziłem wózek i zatrzymałem wehikuł dopiero na skraju wioski, za wysokimi krzakami. Nie chciałem, aby z murów zamku dostrzeżono nasze zainteresowanie dziewczynką na wózku.

Czekaliśmy na Yvonne dość długo, bo osiołek był uparty i gdy tylko wózek stoczył się z góry zamkowej, nie było siły, aby przyśpieszył kroku.

- Caramba, porca miseria! - zawołała ciotka Eveline, gdy wreszcie pojawiła się Yvonne. - Co ty wyprawiasz, dziewczyno? Co ma znaczyć ta maskarada?

Yvonne nie przestawała się uśmiechać od ucha do ucha.

- A co? Świetnie to urządziłam, prawda? Tym bandzirom z Orlego Gniazda nawet przez myśl nie przeszło, że ja to jestem ja.

- Po co się narażasz na niebezpieczeństwo? - jęknęła ciotka.

- A sto tysięcy franków nagrody za Fantomasa? Byłam w Orlim Gnieździe i jestem pewna, że Marchant to Fantomas.

- Skąd ta pewność? - zapytałem.

- Widziałam coś takiego, czego nikt z was nie mógł widzieć - triumfująco oświadczyła dziewczynka. - Gdy wy zniknęliście w baszcie, a Marchant został w fotelu na zewnątrz, w pewnej chwili wstał i zrobił kilka kroków dla rozprostowania nóg. On nie jest kaleką. Chodzi jak każdy z nas. Jeśli więc udaje kalekę, to tylko dlatego, że chce uchodzić za kogoś innego, niż jest w rzeczywistości. To Fantomas.

- Pigeon też to chyba zauważył - rzekła madame Eveline.

- Pigeon? - zdziwiła się dziewczynka.

- No, tak. Przecież jest jednym z murarzy, którzy pracują na baszcie.

- Fiuuu! - gwizdnęła Yvonne. - Coś mi się widzi, że on chce mi sprzed nosa sprzątnąć nagrodę za Fantomasa.

- Zdaje mi się, że zaklepałaś sobie tę sprawę u komisarza policji. Niepotrzebnie się narażasz - przypomniałem jej.

Dziewczynka spojrzała na mnie z powagą.

- Pan chyba nie sądzi, że ja to robię dla zdobycia pieniędzy, choć przyznaję, że przydałyby się nam bardzo. Ale przecież musimy odzyskać skradzione obrazy.

- Tak - zgodziłem się z nią.

- Caramba, porca miseria! - zawołała madame Eveline. - Pozwólcie, że ja tę sprawę wezmę w swoje ręce. Marchant wygląda na dżentelmena. Spróbuję się z nim dogadać. Powiem mu, że wiemy, kim jest i jeśli nie zwróci obrazów, wydamy go w ręce policji.

Wzruszyłem ramionami.

- Przede wszystkim wyśmieję panią i zapyta, jakie ma pani dowody na to, że on jest Fantomasem.

- Udaje inwalidę... - odrzekła ciotka.

- To żaden dowód.

- Drapie się za lewym uchem - dorzuciła Yvonne.

- To również żaden dowód. Komisarz policji wyśmiał cię, Yvonne - przypomniałem jej. - A poza tym Marchant powiedział, że wkrótce opuszcza Francję. Zapewne spróbuje uciec z obrazami. I szukaj wiatru w polu.

Yvonne tupnęła nogą.

- Więc trzeba działać! Już! Natychmiast! Panie Samochodzik, co się z panem dzieje?

- Nie lubię, kiedy się mnie nazywa Panem Samochodzikiem - burknąłem. - Jestem poważną osobą, historykiem sztuki na stanowisku w ministerstwie.

I tak, trochę żartując, odprowadziliśmy Yvonne do zagrody właściciela wózka i osiołka. Czekał tam na dziewczynkę Robert, zagniewany, że Yvonne, a nie on, odbyła podróż do Orlego Gniazda. Wyobrażałem sobie dyskusję między nimi, kto ma wyruszyć na niebezpieczną wyprawę.

Odciągnąłem ich nieco na bok, aby nas madame Eveline nie słyszała, i zapytałem Roberta:

- Co masz zamiar robić w przyszłości, chłopcze?

Zdumiało go to nieoczekiwane pytanie.

- Będę studiował historię - powiedział.

- A ty, Yvonne?

- Jeszcze nie wiem, proszę pana. A dlaczego pan o to pyta?

Zrobiłem bardzo poważną minę, chociaż chciało mi się śmiać.

- Uważam, Yvonne, że powinnaś studiować dziennikarstwo. Piszesz bardzo ładne wzmianki do gazet.

- Co takiego? - nie zdołała opanować rumieńców, które ukazały się na jej policzkach.

- Przecież to ty jesteś tym tajemniczym korespondentem, informującym prasę o wydarzeniach w Zamku Sześciu Dam - stwierdziłem.

Robert patrzył zdumiony na dziewczynkę.

- To ty, Yvonne? Naprawdę?

- Tak, ja - przyznała się. - A co w tym złego? Jako korespondentka zarabiam trochę pieniędzy. Dzięki tym zarobkom kupiłam maszynę do strzyżenia trawników. A i stryjowi pożyczę na drobne wydatki, żeby nie musiał sprzedawać swoich kolejek. Oni dobrze mi płacą za korespondencję o Panu Samochodzik i Fantomasie.

- Na litość boską, Yvonne, oszczędź moją biedną osobę - roześmiałem się i poszedłem do madame Eveline.

Yvonne i Robert wrócili do zamku na rowerach, my znaleźliśmy się w domu o wiele wcześniej. Po obiedzie baron de Saint-Gatien zaprosił mnie na kawę do zamkowej biblioteki.

Było to dość duże pomieszczenie, o ścianach od góry do dołu zastawionych starymi książkami. Stały tu setki książek oprawnych w świńską skórę. Istny raj dla ludzi rozmiłowanych w literaturze i historii. Usiedliśmy przy niskim stoliku, w głębokich fotelach. Filip przyniósł nam pachnącą kawę w złożonych filizankach z sewerskiej porcelany.

- Chciałbym panu wyznać pewną tajemnicę - ostrożnie odezwał się baron.

- Słucham uprzejmie. Tajemnica zostanie przy mnie - zapewniłem barona.

Nabrał w płuca dużo powietrza, jakby zdradzenie tajemnicy było ogromnym wysiłkiem.

- Drogi panie - zaczął. - Muszę panu wyznać, że i ja, podobnie jak nie znany mi z nazwiska pana przyjaciel, jestem wielbicielem miniaturowego kolejnictwa.

- Ach, tak?

- Mało tego - zniżył głos do szeptu. - Obawa przed śmiesznością, a szczególnie lęk przed drwinami ze strony mojej siostry Eveline spowodowały, że swoje zainteresowania zmuszony jestem okrywać tajemnicą...

Znowu nabrał w płuca potężny łyk powietrza i wyrzucił jednym tchem:

- Mam dwie miniaturowe stacje i kilkaset metrów torów kolejowych. Czy chce się pan ze mną pobawić kolejkami?

Udałem ogromną radość.

- Ależ to wspaniała propozycja! Jestem panu niezmiernie zobowiązany! - zawołałem.

- Ciszej... - baron przyłożył palec do ust i bacznie rozejrzał się na wszystkie strony. - A więc idziemy, drogi panie. Zaprowadzę pana do swej pracowni.

Do biblioteki zamkowej przylegał jego gabinet, w którym odkryłem przepiękne stare meble.

- Tu urzędował król Franciszek I - wyjaśnił mi z dumą baron. - A w sąsiednich pokojach

mieszkało pięć królewien: córki Katarzyny Medycejskiej i jej pasierbice. Z dalszymi pokojami sąsiadują komnaty księcia Vendôme i Gabrieli d'Estrees.

To mówiąc przycisnął jakiś mechanizm, ukryty obok szafy bibliotecznej w gabinecie. Szafa obróciła się bezszelestnie i zobaczyłem malutkie drzwi w ścianie. Za drzwiami znajdowały się kręcone schody, zbudowane jakby w ogromnym kominie. Baron przekreślił kontakt elektryczny i schody rozbłysły światłem. Prowadzony przez barona, dość długo schodziłem w dół.

- Tu były kiedyś podziemia starego młyna - wyjaśnił mi. - Potem na ruinach młyna wzniesiono zamek.

Ujrzałem dwa duże podziemne pomieszczenia bez okien. Lecz nie czuło się tu wilgoci, działała bowiem klimatyzacja.

Baron przekreślił kontakt elektryczny i aż zaniemówiłem z zachwytu.

Obydwie salki wypełniała niemal całkowicie zbudowana o metr nad podłogą ogromna mapa plastyczna jakiejś okolicy. Z masy plastycznej zrobiono pagórki, doliny, góry, rzeki. Okolicę pokrywały lasy, gdzieniegdzie lśniły jeziora wykonane z luster. Wszędzie rozciągnięto setki metrów maluteńkich szyn. Widziałem wiadukty, mosty, tunele podziemne i oczywiście dwie ogromne stacje kolejowe, na których stały dziesiątki pociągów.

Na dwóch końcach mapy plastycznej znajdowały się pulpity do sterowania pociągami.

- Ja będę puszczał pociągi w pana kierunku, a pan w moim - objaśnił baron. - Zabawa polega na tym, aby pan przyjmował moje pociągi i kierował je na wolne tory i bocznice oraz puszczał pociągi w moim kierunku. Za spowodowanie katastrofy każdy z nas wpłaca do tej skarbonki jednego franka. Czy przystaje pan na te warunki?

- Oczywiście - zgodziłem się. - Tylko muszę nauczyć się manipulować zwrotnicami.

Baron dość długo mi objaśniał, jak należy sterować pociągami za pomocą pokręteł na pulpicie. Lokomotywy miały elektryczne silniczki, szyny były przewodami, po których biegł

prąd. Poszczególne odcinki szyn miały specjalne podłączenia sprzężone z pokrętłami. Wystarczyło na jednym z odcinków wyłączyć prąd albo zmniejszyć jego napięcie, a pociąg stawał albo zwalniał. Podobnie zdalnie sterowane były zwrotnice. Opanowanie tego skomplikowanego systemu wymagało sporo czasu i zapłaciłem chyba z pięć franków kary, zanim jako tako nauczyłem się obsługiwać swoją stację i wysyłać pociągi w kierunku barona. Z jego stacji co pół minuty, albo i częściej, wybiegał w moim kierunku jakiś pociąg. Z trudem nadążałem z lokowaniem ich na bocznicach lub znajdowaniem wolnych torów, po których odsyłałem je w stronę przeciwnika.

Była to wspaniała zabawa. Malutkie pociągi z cichym szmerem biegły po setkach metrów torów, znikwały w tunelach, mknęły po wiaduktach i mostach, wiły się wśród lasów, omijały pagórki. Mieliśmy do dyspozycji pociągi osobowe, towarowe, cysterny z paliwem, lory z drewnem. Jednym słowem, wszystko urządzone było tak, jak na prawdziwych torach kolejowych i na prawdziwych stacjach.

Wkrótce i baron dwukrotnie zapłacił karę za spowodowanie zderzenia ekspresów. Zażądałem od barona, aby uiścił podwójną karę, ponieważ do zderzenia doszło w miejscu niezwykle niebezpiecznym, a mianowicie na wysokim wiadukcie. Lokomotywy i wagony spadły z szyn i zsunęły się po nasypie na lustrzaną tafłę rzeki. Była to więc katastrofa na wielką skalę.

I właśnie gdy usuwaliśmy skutki katastrofy i stawialiśmy lokomotywy i wagony na torach, otworzyły się nagle drzwi do podziemi i stanęła w nich madame Eveline.

- O Boże... - szepnął skonfundowany baron de Saint-Gatien.

Ale ciotka Eveline nie wyglądała na zdumioną czy zaskoczoną widokiem miniaturowych kolejek.

- Panie Samochodzik - zwróciła się do mnie z wyrzutem. - Pan, zdaje się, zapomniał, że jesteśmy umówieni z Pigeonem?

- Ach, tak... Rzeczywiście - spojrzałem na zegarek i porzuciłem pulpit sterowniczy.
Baron bacznie spojrzał na swoją siostrę.

- Eveline - rzekł. - Coś mi się wydaje, że ty już kiedyś oglądałaś te kolejki?

- Caramba, porca miseria! - zawołała stara dama. - Naprawdę sądziłeś, że w tym zamku coś się przede mną ukryje? Ale co do mnie, to wolę szybkie samochody od najszybszych kolejek elektrycznych.

ROZDZIAŁ XIV

• W gospodzie „Pod Trzema Psami” • Plon niebezpiecznej wyprawy • Przez chaszczę i wądoły • Wspinaczka po linie • W wieży • Co zobaczyliśmy na zamkowym dziedzińcu • John Black obiecuje pognębić Pana Samochodzika • Tajemnicza koperta • Czy jestem tchórzem • W pułapce • Na ratunek

Gospoda „Pod Trzema Psami” mieściła się w grocie na wzgórzu, na którym dumnie i nieprzystępnie wznosiło się Orle Gniazdo. Znajdowała się ona na skraju wsi ciągnącej się wzdłuż drogi u podnóża zamku. Wieś wyglądała ładnie ze swymi białymi domami, wtopionymi w zieleń drzew. Przy domach znajdowały się starannie uprawiane ogródki z mnóstwem różnokolorowych kwiatów.

Nie wiem, czy grotę, w której urządzono gospodę, była naturalna, czy też wykuta ręką człowieka. Stok wzgórza był w tym miejscu prostopadle obcięty i postawiono tu ścianę z grubych bali, z miejscem na okno i szerokie odrzwia. Komin z czerwonej cegły, wyrastający ze stoku, świadczył, że i zimą do gospody zaglądali okoliczni mieszkańcy.

Teren przed wejściem był starannie wyrównany i znajdowało się tam coś w rodzaju parkingu, obrośniętego żywopłotem. Długi stojak na rowery świadczył, że przeważnie parkowały tutaj pojazdy jednośladowe. Spostrzegłem jednak ukrytego za żywopłotem czarnego humbera pana Pigeona.

Sala w gospodzie była obszerna, z lukowato sklepionym sufitem, poczerniałym od starości. Połowę sali zajmowały drewniane stoły z ławami i małymi antałkami zamiast stoliaków. W drugiej części, odgródzonej niewysoką balustradą, stało kilka beczek z winem. Wyposażenie gospody uzupełniał szynkwaz, za którym urzędował grubasek w białym fartuchu i

cyklistówce na głowie. Palił fajkę o długim cybuchu i był pochłonięty jakimiś rachunkami, bo o tej porze goście jeszcze nie zaczęli się schodzić. Klientami gospody byli przeważnie okoliczni rolnicy, którzy korzystając z długiego letniego dnia pracowali w polu.

Mimo ciepłej pory właściciel gospody rozpałił ogień w kominku. Pigeon w swoim murarskim stroju siedział odwrócony do nas plecami, wpatrując się w chybotliwy blask płomieni. Dopiero gdy stanęliśmy obok i chrząknąłem na przywitanie, odwrócił głowę.

Na widok madame Eveline trochę się zdziwił.

- Madame - powiedział, śmiesznie poruszając wąsikami - czy nie lepiej było zostać w zamku? Bardzo sobie cenię pani udział w walce z Fantomasem, obawiam się jednak, że nie wyszedł na korzyść sprawie.

- Caramba, porca miseria, ma pan na myśli Robinoux? - zapytała stara dama. - Przyznaję, że to był głupi pomysł. Ale kto mógł przypuszczać, że on jest pomocnikiem Fantomasa? Coś mi się widzi, że szykuje się tu jakaś znakomita historia, znacznie bardziej emocjonująca niż wyścigi samochodowe. Zdecydowałam się wziąć w niej udział.

To mówiąc ciotka Eveline stuknęła się dłonią w blaszany hełm, który miała na głowie. Bo trzeba nadmienić, że wybierając się na spotkanie z Pigeonem i oczekując jakichś niezwykłych wydarzeń, tym razem zrezygnowała z kapelusza, a na głowę wdziała stary hełm rycerski, zapewne znaleziony w rupieciarni zamkowej. Hełm był pordzewiały i przypominał stary garnek. Odradzałem go ciotce Eveline, bo kobieta w takim hełmie na głowie musiała zwracać ogólną uwagę. Ale stara dama uważała, że hełm przypomina kask motocyklowy. A poza tym twierdziła, że obecnie cokolwiek się nosi na sobie, nie budzi niczyjego zdumienia, ludzie bowiem przyzwyczaili się do największych dziwactw współczesnej mody.

Tak więc madame Eveline przybyła do winiarni w hełmie rycerskim co, rzecz jasna, nie zachwyciło detektywa Agencji Ubezpieczeniowej.

Pigeon jęknął z rozpacz.

- Madame, to niebezpieczna zabawa. Rozumiem, że pani chce wziąć w niej udział. Ale czemu wciągnęła pani w sprawę tę młodą panienkę i chłopaka?

- Yvonne i Roberta?

- A tak. Przyjechali tu na rowerach przed pół godziną i oświadczyli, że to oni mają największe prawa do schwytania Fantomasa. Tak jakby Fantomas był jakimś rzadkim, okazem motyla, którego można złapać w siatkę. A szczególnie ta panienka miała pretensję, że wchodzi jej w paradę.

- Tak, tak, właśnie taka jest nasza Yvonne - z prawdziwą dumą przytaknęła ciotka Eveline.

- Madame, to chyba pani powiedziała jej o naszym tu spotkaniu - z pretensją rzekł detektyw.

Stara dama wzruszyła ramionami.

- Yvonne zapytała mnie, o której mamy się spotkać z panem Pigeonem. Więc myślałam, że ona wie o tym spotkaniu. Wymieniłam miejsce i godzinę spotkania. Czy pan sądzi, że ona mnie nabrała?

Pigeon machnął ręką. Naiwność madame Eveline przekraczała wszelkie granice.

- A gdzie są teraz Yvonne i Robert? - zapytałem detektywa.

- Poszli na przeszpiegi pod zamek. Podobno Marchant poinformował pana, że zamierza wyjechać. Oni obawiają się, że może umknąć, uwożąc obrazy. Zaczaili się przy drodze do Orlego Gniazda i obserwują bramę zamkową.

Madame Eveline usiadła na ławie i uderzyła pięścią w drewniany stół.

- Caramba, porca miseria! - wrzasnęła w stronę szynkwasu tak groźnie, że właścicielowi wypadła z ust fajka. - Poproszę o coś mocnego.

Właściciel gospody, zajęty rachunkami, dopiero w tym momencie uświadomił sobie obecność damy w hełmie na głowie. Chwycił leżącą na szynkwasiości ściereczkę i truchtem

przybiegł do naszego stołu. Gorliwie zaczął ścierać nie istniejący kurz.

- Tak jest, madame. Co pani sobie życzy? - pytał z odrobiną strachu w głosie.
- Przecież powiedziałam: coś mocnego - huknęła madame. - Wino! Jakiś stary rocznik.
- Tak jest madame. Najstarszy - kiwnął głową i pobiegł w najciemniejszy kąt gospody.

A ciotka Eveline, wielce zadowolona z przerażenia jakie wzbudziła we właścicielu gospody, spojrziała na nas triumfująco.

- No, a teraz do rzeczy, panie Pigeon. Jakiej pomocy pan od nas oczekuje? Wał pan śmiało. Może pan na mnie liczyć.

Pigeon ciężko westchnął. Potem jednak rozpoczął wyjaśnienia:

- Jak pan wie, cudzoziemcze - zwrócił się do mnie - osoba Marchanta wzbudziła moje zainteresowanie. Przy pomocy przyjaciół z przeróżnych agencji detektywistycznych w Paryżu próbowałem telefonicznie dowiedzieć się, kim on właściwie jest i skąd wzięł pieniądze na odbudowę i wyposażenie starego zamku. Niestety, osobę pana Marchanta otacza, mówiąc ogólnie, „mrok tajemnicy”. Zastanawia również fakt, że Marchant tak odseparował się od świata oraz to, że ten były handlarz win ma dziwną skłonność do zatrudniania u siebie ludzi o podejrzanym wyglądzie.

- Jestem zdania, że to gangsterzy - zgodziła się z Pigeonem ciotka Eveline.

- Wszedłem w komitywę z murarzami remontującymi donżon w Orlim Gnieździe i tak oto, jako murarz, znalazłem się w zamku. W tym czasie wykrył pan, w jaki sposób Fantomas dokonywał kradzieży obrazów. A był to sposób nad wyraz sprytny. No cóż, rejestr bardzo inteligentnych przestępców nie jest znów aż tak wielki. Na pierwszy plan wysunął się John Black, słynny Mózg z „napadu stulecia”.

- Czy porozumiał się pan w tej sprawie z komisarzem policji? - zapytałem.

Pigeon pogładził swoje wąsiki.

- Nie. I proszę, aby pan również tego nie czynił.

- Dlaczego?

- Rozumiem pańskie zdumienie - wyjaśnił. - W waszym kraju nie ma detektywów prywatnych, nie ma detektywów agencji ubezpieczeniowych, nie ma detektywów w służbie instytucji czy poszczególnych branży społecznych. A u nas każdy wielki dom towarowy, niemal każdy wielki hotel zatrudnia własnych detektywów. Podobnie każda wielka fabryka przy pomocy detektywów chroni swoje tajemnice produkcyjne. Za schwytanie Johna Blacka wyznaczono ogromną nagrodę. Jeśli o swoich podejrzeniach poinformuje pan komisarza i on poprowadzi dalej śledztwo, to jemu przypadnie splendor i nagroda. Oczywiście zdaje sobie sprawę, że we dwójkę, a nawet we trójkę, licząc też panią Brion - tu Pigeon skłonił się ciotce Eveline - nie zdołamy schwycić Blacka. Ale przynajmniej uzyskamy pewność, że Pierre Marchant to John Black. Napiszę raport do komisarza, tak że pozostanie mu tylko sam akt aresztowania przestępcy. Wówczas otrzymam nagrodę. Pan rozumie?

- Owszem. Ale...

- Nie ma żadnego „ale” - zachnął się Pigeon. - Musi pan zrozumieć, że między detektywami prywatnymi a policjantami nie zawsze dobrze układa się współpraca. Istnieje między nami wiele antagonizmów, drogi panie. Z prawdziwą satysfakcją utrę nosa policji.

- To też rozumiem. Ale...

- Nie ma żadnego „ale”. Chce mi pan pomóc?

- Owszem. Zależy mi na odzyskaniu obrazów barona, a także, oczywiście, zrobię wszystko, aby niebezpieczny przestępca otrzymał zasłużoną karę.

Pigeon zatarł z radości ręce.

- To wspaniale, Panie Samochodzik.

- Nie lubię, gdy nazywa się mnie Samochodzikiem - burknąłem. - Na imię mi Tomasz.

- Więc do dzieła, panie Tomaszu - powiedział Pigeon i odczekawszy, aż odszedł od naszego stolika właściciel gospody, który przyniósł ciotce Eveline sporych rozmiarów gliniany

kubek z winem, zniżył głos do szeptu: - Podczas bytności w Orlim Gnieździe udało mi się niepostrzeżenie przywiązać długą linę do małego okienka w baszcie. Okienko jest na wysokości piętnastu metrów od ziemi. Ani Fantomasowi, ani nikomu z jego otoczenia nie przyjdzie na myśl, że od strony donżonu może im grozić niebezpieczeństwo. Tylko mucha mogłaby wleźć po stromej, wysokiej ścianie. Otóż dzisiejszej nocy pan i ja zakradniemy się do Orlego Gniazda i postaramy przedostać się do willi. Innymi słowy, przeprowadzimy mały rekonesans w mieszkaniu Marchanta. Może uda się znaleźć dowody, że Marchant to w jednej osobie John Black i Fantomas.

- Może również odnajdziemy skradzione obrazy - przytaknęła ciotka Eveline.

Pigeon poruszył się niespokojnie.

- Chyba pani, madame, nie zamierza wspinać się po linie?

- Caramba, porca miseria, oczywiście że tego nie zrobię, bo nie jest to zajęcie stosowne dla kobiety. Ale będę czuwać pod wieżą. I gdyby wam coś się stało w zamku, już ja będę wiedziała, co robić.

- Wtedy musi pani zawiadomić policję - powiedział Pigeon.

I rozpoczęliśmy omawianie szczegółów wyprawy do Orlego Gniazda.

Zapadł już mrok, a my wciąż jeszcze odbywaliśmy naradę. Pigeon, który jako murarz kręcił się po zamku i zdołał zapoznać się z sytuacją, naszkicował plan wnętrza Orlego Gniazda. Dzięki temu wiedzieliśmy, gdzie należało spodziewać się strażników i którędy trzeba było przedostać się do mauretańskiej willi. Rozkładu pokoi Pigeon nie znał, bo w willi, niestety, nie był.

- Czy jesteście uzbrojeni? - zapytała madame Eveline. Pigeon spojrzał na nią z przestraszeniem.

- Broń palna, madame? Ależ dziś już nikt szanujący się czegoś takiego nie używa! - niemal ze wstrętem odniósł się do myśli o posiadaniu broni palnej. - Sadzę, że i John Black

obywa się bez pistoletu. Oczywiście nie mogą ręczyć za jego gangsterów, ale cóż, nie ma sukcesów bez ryzyka.

Gdy tak rozmawialiśmy, za oknami gospody zapadła noc. Salę wypełnili rolnicy z wioski. Pili wino, grali w karty i zachowywali się dość hałaśliwie, co było nam na rękę, ponieważ mogliśmy nadal swobodnie rozmawiać. Nikt na nas nie zwracał uwagi. Ciotka Eveline, na szczęścia, zdjęła swój straszliwy hełm, wyglądaliśmy więc na turystów, którzy zasiedzieli się nieco dłużej w wiejskiej gospodzie.

Do winiarni wrócili Yvonne i Robert. Ukryci w przydrożnych krzakach, obserwowali drogę i bramę Orlego Gniazda. Ale przez cały czas nikt do zamku nie przyszedł ani nie przyjechał. I nikt go nie opuścił.

Pigeon spojrzał na zegarek. Zbliżała się dziesiąta.

- Idziemy - zdecydował. - Jeśli wyruszymy zbyt późno, mieszkańcy Orlego Gniazda udadzą się na spoczynek i być może drzwi mauretańskiej willi zastaniemy zamknięte. Kto wie, czy Marchant nie zainstalował tam systemu alarmowego. Najlepiej będzie przedostać się do zamku w porze, gdy jego mieszkańcy jeszcze kręcą się po pomieszczeniach. Zwiększa to wprawdzie niebezpieczeństwo, ale ułatwia poruszanie się po zamku, ponieważ poszczególne pomieszczenia nie są zamknięte.

Wtajemniczyliśmy Yvonne i Roberta w plan Pigeona. Rzecz jasna, chcieli wziąć udział w naszej wyprawie. Z trudem im to wyperswadowałem. Zapewniłem ich, że bardziej będą nam pomocni pozostając na dole, niż drapiąc się po linie do Orlego Gniazda.

Stara dama miała czuwać pod donżonem u zwisającego luźno końca liny, a Yvonne i Robertowi powierzyliśmy zadanie, które wykonywali przedtem, a mianowicie obserwację drogi i bramy zamkowej.

Punktualnie o dziesiątej wieczorem opuściliśmy gospodę. Madame Eveline wdziała swój hełm rycerski, Pigeon zabrał z humbera latarkę elektryczną.

Noc była ciepła, widna, księżycowa. Chmury, które w ciągu dnia zasnuwały nieboskłon, rozwiały się bez śladu.

Okrągła baszta donżonu znajdowała się trochę na lewo od drogi. A ponieważ w drodze do zamku mogliśmy zostać zauważeni przez obserwatora ukrytego na murach, zdecydowaliśmy wspinać się na przełaj - przez krzaki i chaszczę.

Yvonne i Robert pozostali w krzakach przy drodze, nasza trójka: ciotka Eveline, Pigeon i ja, rozpoczęła wspinaczkę. Wędrowaliśmy wolno i ostrożnie, bo zagradzały nam drogę gęste zarośla, a zbyt szybkie przedzieranie się przez nie mogło wywołać nadmierny szelest. Wokół nas bowiem zalegała noc cicha, bezwietrzna, w której najmniejszy szmer rozchodził się daleko. Idąc słyszeliśmy szczekanie psów w wiosce. W krzakach i w trawie porastającej stok wzgórza głośno cykały świerszcze. Tylko ponure zamczysko przed nami spoczywało w zupełnej ciszy. Nie dochodził stamtąd żaden dźwięk.

Stok wzgórza zryty był przez dzikie króliki i żyjące w ich sąsiedztwie lisy. Krzaki i wysokie trawy tonęły w mroku nocy, toteż co chwila wpadaliśmy w nory i niejedno z nas wywinęło kozia. Niemal co kilka minut słyszałem ciche pomrukiwanie starej damy.

- Caramba, porca miseria, znowu jakiś dół?... To wzgórze przypomina ser szwajcarski. Caramba, czy to się nigdy nie skończy?

Wszystko jednakże ma swój kres. Dobrnęliśmy wreszcie do baszty, której potężna sylweta górowała nad murami zamku i okolicą.

- Pst! - syknął Pigeon.

Zatrzymaliśmy się u stóp wysokiej, prostopadłej ściany. Długą chwilę nasłuchiwaliśmy. Ale ani ze szczytu baszty, ani z murów zamkowych nie dochodził nawet najcichszy szelest. Tylko w zaroślach za naszymi plecami grały świerszcze i koniki polne.

Gaspard Pigeon niemal po omacku odszukał na murze donżonu grubą linę z węzłami związającą z góry, z niewidocznego dla nas małego okienka. Potem mocno nią szarpnął raz i

drugi, aby upewnić się, czy jest dobrze przywiązana i czy utrzyma ciężar ludzkiego ciała.

- No i co? Wspinamy się? - spytał mnie szeptem, zawieszając na szyi latarkę elektryczną.

- Tak - mruknąłem.

Wyznaję, że Pigeon zaimponował mi. Był pyszałkiem i zarozumiałcem, lecz nie brakowało mu odwagi. Może wizja ogromnej fortuny, którą ofiarowywano za schwytanie Mózgu, dodawała mu odwagi? Jakie by jednak nie kierowały nim motywy, okazały się bardzo śmiały. Uzbrojonny w latarkę elektryczną szedł „w paszczę lwa”.

- Czy umie pani gwizdać, madame? - zwrócił się do ciotki Eveline. - Gdyby pani dostrzegła grożące niebezpieczeństwo, należy nas jakoś uprzedzić.

- Gwizdać? Caramba, porca miseria, naturalnie że umiem gwizdać. Jak paryski ulicznik - to mówiąc ciotka Eveline włożyła dwa palce do ust i już zamierzała dmuchnąć z całej siły, lecz Pigeon chwycił ją za rękę.

- Nie teraz, madame. Tylko w wypadku niebezpieczeństwa.

- No, dobra, włączcie już na górę, bo tracę cierpliwość - odrzekła poprawiając na głowie swój stary hełm.

Pigeon ruszył pierwszy. Chwycił linę, podciągnął się na niej, a później, wspierając się nogami o cegły w ścianie, zaczął wolno, ale wytrwale piąć się ku górze. Po jakimś czasie zniknął nam z oczu i nie widzieliśmy, czy dotarł do okienka, czy też jeszcze wisi na stromej ścianie. Wreszcie poczułem szarpnięcie liny, znak dla mnie, że na górze wszystko w porządku. Teraz przyszła kolej na mnie.

Nigdy nie uprawiałem alpinistyki. Ale należą do mężczyzn wysportowanych, zręcznych, o dość silnych rękach. Wspinanie się po linie sprawiało mi jednak sporo trudności, choć co pół metra trafiałem na gruby węzeł i mogłem się go dobrze uchwycić dłońmi. Buty moje miały gumowe podeszwy i łatwo przylegały do porowatej ściany, dając mi oparcie.

Piętnaście metrów wspinaczki po linie to dużo czy mało? Jak Wam się wydaje, drodzy

Czytelnicy?

Piętnaście metrów - to nie brzmi zbyt efektownie. Ale przecież było to mniej więcej tyle. ile sobie liczy czteropiętrowy blok mieszkalny. Już na wysokości drugiego piętra czułem, że ręce mi cierpną, krew z nich odpływa, a moje ciało zaczyna ważyć coraz więcej i więcej. Na wysokości trzeciego piętra pot zrosił mi czoło.

Tylko raz zerknąłem w dół. I aż mi się w głowie zakręciło. Odniosłem wrażenie, że patrzę w czarna czeluść bez dna.

Wspinaczka wydawała się nie mieć końca. Otaczała mnie ciemność nocy, tym gęstsza, że na tę stronę baszty nie padał blask księżyca. Pigeon przezornie przywiązał linę do okienka pozostającego w największym mroku, aby utrudnić odkrycie liny. Ale ciemność uniemożliwiała zobaczenie okienka, trudno więc było podczas wspinaczki obliczyć odległość. Odniosłem wrażenie, że wciąż wiszę między niebem i ziemią. A sił ubywało.

- Prędejj, prędejj! - usłyszałem przynaglający szept Pigeona, dochodzący mnie z góry, z odległości nie większej niż dwa metry.

Wzmogłem wysiłek. Po chwili wyczułem dłonią ostrą krawędź niewielkiego okienka w murze. Pigeon chwycił mnie za rękę i pomógł mi przecisnąć się przez okno. Jeszcze chwila i oto, ciężko oddychając, stanąłem na twardym gruncie.

Pigeon zapalił latarkę i osłonił ją dłońmi. Znajdowaliśmy się na szerokim podeście wewnątrz baszty. W dół biegly kręcone schody z niewysoką balustradą. Ściany donżonu były świeżo otynkowane, schody nowe, pod nogami chrzęścił drobny gruz. Jak wiemy, Marchant rozkazał wyremontować donżon, aby w przyszłości urządzić w nim galerię obrazów. Jakich obrazów? Oczywiście, skradzionych. Co do tego nie miałem żadnych wątpliwości.

- Schody nie skrzypią - szepnął mi do ucha Pigeon - ale musimy schodzić ostrożnie, bo wszędzie tutaj leżą kawałki desek.

Chwyciłem dłonią balustradę. Pigeon zgasił latarkę i w zupełnych ciemnościach, po

omacku, zaczęliśmy wolno schodzić w dół.

Znowu odniosłem wrażenie, że nasza wędrówka trwa wieczność. W rzeczywistości jednak schodziliśmy chyba dość szybko. Pamiętam, że minęliśmy dwa podesty, zanim znaleźliśmy się w dolnym pomieszczeniu, w tym samym miejscu, skąd zszedłem do podziemnego lochu.

Odrzwia baszty zastaliśmy trochę uchylone. Zapewne tak je pozostawili odchodzący stąd murarze, a raczej to Pigeon zadbał o to, aby je tak pozostawić.

Ostrożnie wystawiliśmy głowy z donżonu. I oto co ukazało się naszym oczom.

Wnętrze Orlego Gniazda oświetlało kilka elektrycznych latarni. Ich blask padał na ogród różany, altanę, basen kąpielowy, drogę od bramy do willi mauretańskiej. Jasno oświetlony był także dziedziniec przy bramie zamkowej i budynek gospodarczy.

Zobaczyliśmy, że drzwi garażu są otwarte, a na środku dziedzińca stoi mały furgonik, podobny do tego, którego Fantomas używał do swoich złodziejskich eskapad. Na dziedzińcu przy otwartej drewnianej skrzyni kręcili się grubas i gangster, którego nazywaliśmy „facetem z trzcinką”. Obydwaj wynosili z willi obrazy owinięte starannie w papier. Układali je w drewnianej skrzyni.

- Coś mi się widzi, że ptaszki zamierzają ulotnić się wraz z łupem - szepnął zaniepokojony Pigeon.

Tak chyba było w istocie. Marchant zwietrzył niebezpieczeństwo i postanowił umknąć z zamku, wywołując z sobą skradzione obrazy. Ale co wprawiło go w taką panikę? Czyżby moja dzisiejsza wizyta?

Przyłożyłem usta do ucha Pigeona i powiedziałem szeptem:

- Powinniśmy jak najszybciej wycofać się i zawiadomić policję.

- Ma pan rację - odpowiedział - ale może wpierw zorientujemy się, dokąd oni zamierzają uciec. To bardzo ważne, byśmy wiedzieli, gdzie Black ma jeszcze jedna kryjówkę.

Dopisywało nam szczęście. Drzwi willi mauretańskiej otworzyły się i sprężystym krokiem wyszedł z niej... Marchant. Rzecz jasna, obywatel się doskonale bez inwalidzkiego fotela. Marchantowi towarzyszył nosacz i jakiś wysoki, chudy mężczyzna.

- A to łajdak! - mruknął Pigeon.

Teraz i ja rozpoznałem chudego mężczyznę. Był nim Robinoux. Usłyszeliśmy głos Marchanta, który mówił do grubasa i gangstera z trzcinką:

- Jestem przekonany, że najdalej jutro zechce tutaj wtargnąć policja. Podobno w pobliżu gospody widziano samochód Pigeona. Ta dzisiejsza wizyta Samochodzika też nie jest bez przyczyny. Najlepiej zrobimy ulatniając się stąd na jakiś czas.

Robinoux zapytał Marchanta:

- A co z Samochodzikiem, bosie? Czy zostawimy go bez żadnej nauczki? To przecież przez niego nie mogliśmy zabrać obrazu Van Gogha. On pokrzyżował wszystkie nasze plany.

- Tak, tak, szefie. Trzeba mu dać nauczkę - zawołali niemal chórem.

- Pigeona też trzeba by załatwić - dorzucił Robinoux. - Ten stary dureń strasznie mi grał na nerwach.

Marchant rzekł z dumą:

- Spokojnie, chłopcy. Wasz szef pomyślał i o tym. Pigeon i Samochodzik to ludzie wścibscy i ciekawi, a na takich prędzej czy później znajdzie się sposób. Teraz nie zaprzatajcie sobie tym głowy, weźcie się za robotę.

Wyjął z kieszeni dużą kopertę i podał ją grubasowi.

- Schowaj ją na dnie skrzynki. Nikt nie ma prawa znaleźć jej przy którymś z nas. Gdyby coś nam groziło trzeba tę kopertę zniszczyć zrozumiano?

- No pewnie, szefie - kiwnął głową grubas. - W tej kopercie kryje się nasza największa tajemnica.

- A teraz chodźcie po resztę obrazów - rozkazał Marchant.

Grubas położył kopertę na dnie skrzyni i całą gromadą udali się do willi.

Pigeon trącił mnie łokciem.

- Słyszał pan? Musimy zdobyć tę kopertę. Kryje się w niej ich największa tajemnica.

- Trzeba dać znać policji. Złapią ich i tajemnica się wyjaśni - odpowiedziałem szeptem.

Ale detektyw pokręcił głową.

- Słyszał pan, co mówili? Jeśli będzie im zagrażało jakieś niebezpieczeństwo, to zniszczą kopertę. Teraz jest szansa, aby ją zdobyć. No co? Skoczymy?

A mnie nagle ogarnął niepokój. Nie było to jakieś irracjonalne poczucie niebezpieczeństwa. Po prostu sytuacja, w jakiej znajdowaliśmy się, i niedawne słowa Marchanta kojarzyły mi się z czymś niepokojącym, co nakazywało zdwojenie ostrożności.

- Niech pan da spokój - powiedziałem kładąc dłoń na ramieniu Pigeona.

- Pan jest tchórz. Lęka się pan ryzyka! - burknął detektyw i wyrwał ramię z mojego uścisku.

Nie czekając na mnie, ogromnymi susami zaczął biec w kierunku otwartej skrzyni, gdzie leżała tajemnicza koperta.

W blasku lamp widziałem dokładnie każdy ruch Pigeona. Oto dopadł skrzyni. Pochylił się nad nią i zanurzył w nią rękę. Oto wyjął kopertę i triumfująco zerknął w moim kierunku.

Tylko kilkanaście kroków dzieliło go od donżonu. Stałem w drzwiach baszty i obserwując Pigeona bezwiednie wychyliłem głowę na dziedziniec.

I nagle...

Usłyszałem nad sobą cichy szmer. Instynktownie cofnąłem się do wnętrza baszty. W tym momencie gruba krata niemal otarła się o mnie, opadając w dół. Ja pozostałem w wieży, a Pigeon na dziedzińcu.

W mauretańskiej willi otworzyło się okno i rozległ się śmiech Marchanta:

- A mówił pan, że nie jest pan ciekawy. Panie Samochodzik! - zawołał sądząc widzieć, że wraz z Pigeonem pobiegłem do otwartej skrzyni po kopertę.

Pigeon dopadł kraty w drzwiach donżonu i chwycił ją kurczowo.

- Co się stało? Kto opuścił kratę? - zaczął się gorączkować.

- To oni. Ostrzegałem pana - zawołałem.

- Niech pan ją otworzy!

- Niestety, to nie jest w mojej mocy. Mogę tylko umknąć stąd jak najszybciej i sprowadzić policję.

To mówiąc co sił w nogach pobiegłem schodami na górę, do okienka, gdzie wisiała zbiwna lina.

ROZDZIAŁ XV

- **Ucieczka przed złoczyńcami • Dramatyczne chwile • Niespodziewany ratunek**
- **Aresztowanie złoczyńców • Zdobywamy Orle Gniazdo • Gdzie jest Fantomas**
- **Odnalezienie Pigeona • Kto siedział na dachu • I znów fałszywy Pigeon •
Odzyskanie straconych obrazów**

Przecisnąłem się przez okienko, chwyciłem linę i zacząłem się po niej spuszczać. Byłem świadomy, że złoczyńcy lada chwila przekonają się, iż tylko Pigeona udało im się schwytać w pułapkę. I wówczas zrobią wszystko, aby i mnie dostać w swoje łapy. Moja ucieczka z zamku groziła im największym niebezpieczeństwem. Wiedzieli, że dopadnę najbliższego telefonu i powiadomię policję.

Dopiero teraz pojąłem, że przez cały czas nie doceniałem sprytu Marchanta. Nie wiem, czy rozpoznał on Yvonne w przebraniu dostawczym jarzyn. Ale byłem pewny, że albo on sam, albo któryś z jego gangsterów rozpoznał Pigeona w przebraniu robotnika murarskiego. I zapewne domyślił się, że Pigeon nie tylko w dzień, ale i w nocy będzie usiłował śledzić, co dzieje się w Orlim Gnieździe. Ba! mógł się spodziewać, że do tej akcji wciągnie nie komisarza policji, ale właśnie mnie. A Marchant postanowił schwytać nas obu.

Teraz było dla mnie również oczywiste, że wiedział o linie, którą uczepił w oknie Pigeon. I Marchant wraz ze swoimi zbójami czekał na nas w zamku. Nawet rozmowa, którą słyszeliśmy wychylając głowy z donżonu, była przeznaczona dla naszych uszu. Koperta zaś, którą Marchant włożył do otwartej skrzyni, nie kryła żadnej tajemnicy. Była to po prostu pułapka zastawiona na mnie i na Pigeona.

Mając do czynienia z tak niezwykle sprytnym przestępcą, trudno było przewidzieć jego

dalsze zamiary. Co robi, gdy odkryje, że schwycił tylko Pigeona?

Jedno wydawało mi się pewne: jeśli chcę odzyskać skradzione obrazy, to muszę się spieszyć.

Zsuwałem się po linie tak szybko, że prawa dłoń obtarłem sobie do krwi.

Wreszcie zeskoczyłem na ziemię i stanąłem obok ciotki Eveline.

- Co się stało? - zapytała, słysząc mój przyspieszony oddech.

- Odkryli nas. Schwytali Pigeona. Zaraz i nas zaczną ścigać. A więc w nogi! - wyjaśniłem urwanym głosem.

Chwyciłem za rękę starszą damę i zacząłem się z nią przedzierać przez krzaki.

Raptem na murach zamku coś błysnęło. To był silny reflektor. Jego długi, jasny ośroł wolno pełznął po porośniętym krzakami wzgórzu, zapewne poszukując mojej osoby. Jednocześnie w nocnej ciszy usłyszałem skrzypnięcie bramy zamkowej. Domyśliłem się, że to opryszki wybiegli z zamku, aby mnie schwycić. Reflektor miał im wskazać, gdzie się skryłem.

- Padnij! - zawołałem do ciotki Eveline.

Oślepiający jeźor reflektora sunął tuż obok nas, oświetlając krzaki i wądoły, królicze i lisie nory. A tam gdzie sięgnął, robiło się jasno jak w dzień.

Promień minął nas szczęśliwie, oddalony o dwa metry. Odetchnąłem z ulgą i podniosłem głowę. To samo zrobiła madame Eveline. W tym momencie jednak ukryty na murach zamkowych złoczyńca gwałtownie poruszył reflektorem. Cofnął go i promień światła padł wprost na nas.

- Są! - usłyszałem triumfujący głos, dobiegający do nas gdzieś z góry. - Szukajcie ich tam na prawo, w krzakach.

Chwyciłem madame Eveline za rękę i pociągnąłem za sobą.

- W nogi! Ile sił! - powtarzałem.

Ale madame Eveline, mimo drżącego w niej potężnego ładunku energii, była już kobietą sędziwą. Trudno wymagać od staruszki, aby biegła po wykrotach jak zając czy młoda panienka. Ani przez chwilę nie udawało nam się uciec spoza zasięgu reflektora. Widział nas wciąż złoczyńca na murach, zapewne sam Marchant. Widzieli nas także jego pomocnicy, zbiegający ze stoku wzgórze. Słyszeliśmy za sobą trzask łamanych gałęzi i głośne nawoływania.

Nagle madame Eveline przystanęła łapiąc oddech.

- Nie mam już sił - wyszeptała. - Niech pan sam ucieka. Ja tylko utrudniam panu ucieczkę.

Zawahałem się. Było oczywiste, że Marchantowi nie zależało na madame Eveline, tylko na mnie. Nie sądziłem także, aby wyrządzili jej jakakolwiek krzywdę. Lecz mimo to pozostawienie staruszki na pastwę złoczyńców wydawało mi się czynem niegodnym dżentelmena.

- Niech pan ucieka - powtarzała madame Eveline.

Ja jednak wciąż stałem obok niej, zupełnie niezdecydowany. A pogoń znajdowała się coraz bliżej i bliżej.

Zastanawiałem się, jak daleko jest jeszcze do szosy i do gospody, w której był telefon. Otaczające nas ciemności utrudniały ocenę sytuacji. Znajdowaliśmy się w kręgu światła reflektora, co jeszcze bardziej pogłębiało wrażenie mroku otaczającego nas zewsząd.

- Mamy ich! Są! - usłyszałem radosny wrzask grubasa. Tylko kilka kroków dzieliło nas od faceta z trzcinka. Po chwili, gdy i oni wpadli w krąg światła, dojrzałem, że jest ich czterech: grubas, facet z trzcinka, Robinoux i nosacz.

„No, przeciw tej czwórce sam nic nie poradzę” - pomyślałem. I w tym momencie zdecydowałem się dać drapak, pozostawiając ciotkę Eveline. Albowiem najważniejsze było, aby powiadomić policję o przygotowywanej przez Marchanta ucieczce.

Nagle, tuż za plecami, usłyszałem gwizd. I zaraz takie same gwizdy rozległy się ze wszystkich stron.

Tak, to były policyjne gwizdki. Wzgórze zamkowe otoczone było przez policję.

Zrozumiał to i Marchant. Błyskawicznie zgasił reflektor, który od tej chwili mógł utrudniać położenie jego ludziom. A czterej złoczyńcy rzucili się do ucieczki w stronę bramy zamkowej. W ślad za nimi, porozumiewając się gwizdkami i świecąc latarkami elektrycznymi, szeroka ławą biegli policjanci.

Nad zamkiem zaczął krążyć policyjny helikopter.

Z ciemności nocnych wyłonił się łysy komisarz policji.

W krótkich słowach wyjaśniłem mu sytuację. Wspomniałem też o uwięzieniu Pigeona i przygotowywanej ucieczce Marchanta.

- Pigeon siedzi w lochu? - niemal ucieszył się komisarz. - Dobrze mu tak. Nie chciał ze mną współpracować. W ogóle mogliście zepsuć całą sprawę. O mały figiel nie spłoszyliście Marchanta.

- Caramba, porca miseria! - zawołała ciotka Eveline. - To takie podziękowanie otrzymuje się za udział w akcji przeciw Fantomasowi?

- Madame - odrzekł grzecznie komisarz. - Czy nie sadyzi pani, że w pani wieku nie jest czymś stosownym uganiać się po wykrotach?

Stara dama chciała coś odpowiedzieć, ale obok nas pojawiła się Yvonne. Jak się okazało, przybyli pod zamkowe wzgórze policjanci natknęli się na pozostawioną na straży dziewczynkę i chłopca. Komisarz dowiedział się od nich o naszej wyprawie do zamku i wyraził swoje niezadowolenie. Gdy złoczyńcy rzucili się za nami w pogoń, komisarz i jego ludzie przez cały czas obserwowali pościg. Czekali cierpliwie, aż ścigający nas złoczyńcy wpadną im prosto w ręce. Niestety, któregoś z policjantów poniosły nerwy, zbyt wcześnie skorzystał z policyjnego gwizdka. Złoczyńcy rzucili się do ucieczki.

Teraz, w ślad za policjantami, zaczęliśmy znowu wspinać się na zamkowe wzgórze. Schwywanie złoczyńców wydawało się już proste i łatwe.

Przez całą drogę komisarz nie przestawał pomrukiwać gniewnie:

- Będę miał wielką satysfakcję, uwalniając z lochu Pigeona. Obiecał informować mnie o wszystkich swoich planach i podejrzeniach, a postąpił zupełnie inaczej. Dlaczego? Przecież to oczywiste, że nagroda za Fantomasa przypadnie w udziale tej pani - wskazał Yvonne.

- To ona pierwsza zwróciła uwagę policji na osobę Marchanta. Zbadaliśmy przeszłość tego pana i okazało się, że Pierre Marchant, handlarz win, nie żyje od kilku lat. Wdowa po prawdziwym Marchancie otrzymała dużo pieniędzy za milczenie i oto Pierre Marchant zmarł - wstał jako Fantomas. Ciekaw jestem, jak on się nazywa naprawdę?

Roześmiałem się cichutko.

- Z czego pan się śmieje? - burknął komisarz. - Cóż w tym wesołego?

- Wiem, dlaczego Pigeon wołał pana nie informować o swoich planach. On zrezygnował z nagrody za Fantomasa.

- A czemuż to? - zdziwił się komisarz.

- Bo on chce otrzymać nagrodę za schwywanie Johna Blacka.

- Co takiego? - komisarz wpadł do wykrotu, nie zauważywszy go w ciemnościach. Grał z niego, jeszcze przez chwilę nie mógł opanować zdumienia.

- A więc to tak! - powtarzał. I ostro gwizdnął.

- Panowie! - krzyknął tubalnie do policjantów. - Ruszajcie się zwawiej. Czy wiecie, kto na nas czeka w Orlim Gnieździe? John Black.

Sam dźwięk tego nazwiska wystarczył, aby tyraliera policjantów przyspieszyła kroku. Było oczywiste, że nawet mysz się nie prześlizgnie przez policyjny kordon. Schwywanie złoczyńców pozostawało kwestią minut.

Jednakże, wbrew logicznym przewidywaniom, bieg wydarzeń wkrótce się skomplikował

i wcale nie nastąpił po myśli komisarza.

Złoczyńcy uciekli pod bramę zamkowa, którą Marchant... zamknął im przed nosem. „Zdradził ich w trudnej chwili - pomyślałem. - Sam zabarykadował się w Orlim Gnieździe, a ich pozostawił na pastwę losu”.

Jakoż policjanci otoczyli opryszków pod zamkniętą bramą.

- Stój! Stój! Poddać się! Ręce do góry! - wołali mierząc do nich z pistoletów.

Nadjechały policyjne samochody, ich reflektory oświetliły bramę. W blasku światła czterech złoczyńcy stali nad wyraz spokojnie, opierając się plecami o odrzwia bramy.

Wreszcie, gdy pojawił się łysy komisarz policji, zabrał głos Robinoux:

- Co się tu dzieje, u licha, panie komisarzu? Chyba nie mnie panowie szukają?

- Nie, nie pana - odparł komisarz i zaraz się poprawił: - To znaczy nie tylko pana, przede wszystkim Marchanta. Mam nakaz aresztowania.

- O Boże! - udał zdumienie Robinoux. - A za co, drogi komisarzu? Jakież to on popełnił przestępstwo?

Komisarz policji wyrzekł z ogromną godnością:

- Pierre Marchant jest poszukiwanym przez nas Fantomasem alias Johnem Blackiem.

- O rany! Naprawdę? - znowu udał zdumienie Robinoux. - A ja nic o tym nie wiedziałem.

Ten pan wynajął mnie do wykonania pewnego detektywistycznego zadania. Nie miałem pojęcia, że to aż tak niebezpieczna figura.

Odezwał się grubas:

- Mnie przyjął do popychania swego inwalidzkiego fotela...

- A ja byłem dozorcą zamkowym - powiedział facet z trzcinką.

Komisarz tupnął nogą.

- Nie zgrywajcie się tu przede mną. Braliście udział w kradzieży obrazów.

Robinoux ze smutkiem pokiwał głową.

- To poważny zarzut, komisarzu. Trzeba go udowodnić.

Pomyślałem, że komisarzowi wcale nie będzie łatwo udowodnić tym opryszkom udział w akcjach Fantomasa. Należało się spodziewać, że banda Marchanta była dość liczna, a ci, którzy brali udział w kradzieżach, być może nawet nie kontaktowali się z jego „domownikami” w Orlim Gnieździe, służącymi mu jako ochrona. Marchant postarał się chyba o to, aby pozostawali poza wszelkimi podejrzeniami.

- Panie Robinoux - rozłościł się komisarz. - Pański udział w usiłowaniu kradzieży obrazu Van Gogha był oczywisty. Uciekł pan, gdy ścigaliśmy ludzi Fantomasa.

Robinoux przecząco pokręcił głową.

- Nie uciekałem, panie komisarzu. Ścisłejsze będzie określenie: tak mi się zrobiło wstyd, że gotów byłem zapaść się pod ziemię. Odszedłem zawstydzony, że nie umiałem upilnować obrazu.

Komisarza dławiła wściekłość.

- Zakuć ich w kajdanki! - krzyknął do policjantów. - Wozami policyjnymi odwieźć ich do Tours! I zaczniście wyważać tę bramę. W Orlim Gnieździe są Marchant i Pigeon.

Czterej złoczyńcy z ogromnym spokojem pozwolili sobie zatrzasać kajdanki na rękach. Potem z takim samym spokojem pomaszrowali do policyjnego samochodu. Byli przekonani, że komisarz niczego im nie udowodni i wkrótce znajdą się na wolności.

Tak, Marchant to był nie lada spryciarz. Teraz dopiero zrozumiałem, dlaczego od tyłu lat policja polowała na niego bezskutecznie. Tylko że w tej chwili znajdował się w nie byle jakich opałach.

- Jak pan sędzi, czy z zamku jest drugie wyjście? - spytał mnie szeptem komisarz.

- Wydaje mi się, że nie ma - odparłem bez przekonania. Albowiem po takim lisie jak Marchant można się było spodziewać, że posiada kilka wyjść ze swej nory.

Komisarz na wszelki wypadek kazał znowu otoczyć zamek kordonem policjantów. Po

chwili pod bramę podłożono kilka petard i nastąpił wybuch. Jedno skrzydło bramy wypadło z zawiasów.

Wbiegliśmy na zamkowy dziedziniec.

Był jasno oświetlony, jak wówczas, gdy oglądałem go z Pigeonem. W tej chwili jednak nie było tutaj żywej duszy. Otwarta skrzynia z obrazami stała na środku dziedzińca.

Doskoczyłem do skrzyni i zacząłem w niej szperać.

- Są! są! - krzyknąłem radośnie. - Zdaje mi się, że są tutaj wszystkie skradzione obrazy. I obraz Memlinga, i Watteau, i wszystkie płótna skradzione z Zamku Sześciu Dam!

Komisarz zdjął z głowy swoje policyjne kepi i starannie otarł pot z łysej czaszki.

- No, w każdym razie odnieśliśmy jakiś sukces - mruknął.

Policjanci myszkowali w zakamarkach zamkowego dziedzińca, wpadli do mauretańskiej willi, zajrzeli do donżonu.

Willi okazała się pusta. Natomiast w podziemiach donżonu, za żelazna kratą, miotał się Pigeon.

- Wypuście mnie! Na litość boska wypuście mnie! - błagalnie krzyknął na nasz widok bohaterski detektyw Agencji Ubezpieczeniowej.

- Gdzie jest Marchant? - zawołał komisarz. - Czy nie wie pan, dokąd zwiął ten łajdak?

- Wypuście mnie! - wołał Pigeon. - Domyślam się, gdzie on się ukrył. Ale najpierw musicie mnie wypuścić, to wam wszystko powiem. Ja tu nie chce być ani chwili dłużej. Tu są szczury! Chciały mnie pożreć.

Któryś z policjantów miał przy sobie pęk uniwersalnych kluczy i z ich pomocą uporał się z potężną kłódką, zamykająca kratę lochu. Zataczając się jak pijany, Pigeon wybiegł na dziedziniec.

- O Boże - jęknął. - W tym lochu szczury są wielkie jak koty!

- Gdzie jest Marchant! - niecierpliwził się komisarz. Pigeon wskazał szczyt baszty.

- Tam. Widziałem go, jak tam uciekał. Na górę. Zapewne chce skorzystać z mojej liny i spuścić się z okna.

- Nie ucieknie - mruknął radośnie komisarz. - Pod basztą są moi ludzie.

Rzuciliśmy się wszyscy na schody w donżonie. Pierwszy biegł komisarz, ja sadziłem za nim, a za nami tłoczyli się policjanci, wśród których byli ciotka Eveline, Yvonne i Robert. Każdy chciał być świadkiem schwywania Fantomasa.

Potykaliśmy się na kupach gruzu pozostawionego na schodach, przewracaliśmy się o kawałki desek, lecz biegliśmy wytrwale. Widok złooczyńcy miał nam wynagrodzić wszystkie trudy.

Oto zobaczyłem podest i okno z liną, zwisającą po drugiej stronie. To tędy dostałem się do zamku wraz z Pigeonem. I tędy uciekłem, gdy go schwytano.

Komisarz wsadził głowę w małe okienko i wychyliwszy się krzyknął:

- Nie próbował tędy uciekać?

- Nie, panie komisarzu! - odkrzyknął z dołu policjant.

- A więc musi być na górze - stwierdził komisarz.

Tylko kilkanaście stopni dzieliło nas od wejścia na okrągłą platformę, stanowiącą razem dach donżonu. Świecąc latarkami, popędziliśmy na górę.

Na dachu ujrzałem człowieka. Ktoś odwrócony do nas plecami siedział nieruchomo na krześle.

- Ręce do góry! Poddaj się, Marchant! - krzyknął komisarz. Osobnik na krześle poruszył się niemrawo. Zobaczyliśmy, że jest przywiązany do oparcia, a usta ma zakneblowane.

- Kto to? Kto to? - powtarzał zdumiony komisarz.

A był to Pigeon. Prawdziwy Pigeon.

Pierre Marchant, ucharakteryzowany na Pigeona, przeszedł swobodnie przez kordon policji i przepadł w ciemnościach nocy. Komisarz policji wykrzykiwał coś o tym, że zapewne

zdołają go schwytać, bo chyba nie uciekł daleko. Ale ja już w to nie wierzyłem. Nie bez kozery Marchant nazywał siebie Fantomasem.

ZAKOŃCZENIE

Sopakowałem walizkę i opuściłem swój pokój w Zamku Sześciu Dam.

W hallu spotkałem barona de Saint-Gatien. Długo i wylewnie dziękował mi za pomoc przy odzyskaniu obrazów skradzionych z jego galerii, gorąco namawiał mnie, abym gościł w jego zamku, jak długo zechcę. Lecz dla mnie sprawa Fantomasa była już zakończona.

Pobyty we Francji postanowiłem wykorzystać dla zwiedzenia wspaniałych muzeów tego kraju. Czy mogłem nie obejrzeć Luwru i zgromadzonych w nim dzieł sztuki?

Postanowiłem wyjechać do Paryża.

Francuska prasa bulwarowa szeroko rozpisywała się o naszych przygodach w Orlim Gnieździe. Mnie i Pigeona sławiono pod niebiosa, oberwało się jedynie tysemu komisarzowi policji, którego oskarżono o nieudolność, ponieważ dał się Marchantowi wywieść w pole. Wydaje mi się, że oskarżenia te były niesprawiedliwe. Dzięki akcji policji odebrano zło- czyncom obrazy skradzione z zamku barona, z Amboise, Angers i Chambord. Dla komisarza policji sprawa Fantomasa nie została zresztą jeszcze zakończona, wciąż miał on nadzieję, że uda mu się wydobyć adres Marchanta od opryszków, których nadal trzymano w areszcie. Co do mnie, to byłem przekonany, że Marchant opuścił Francję. Pod nowym nazwiskiem i w nowym wcieleniu pojawi się wkrótce w jakimś innym kraju.

Pożegnawszy barona de Saint-Gatien, pozostawiłem w hallu swoją walizkę i jeszcze na chwilę zajrzałem do galerii zamkowej. Kustosz, pan Armand Durant, rozwieszał odzyskane obrazy. Towarzyszył mu Pigeon, wciąż niesyty komplementów, jakich mu nie szczędził brodaty kustosz.

- Niestety, nie otrzymam nagrody za Johna Blacka - powiedział mi Pigeon. - Komisarz poszkapił sprawę i pozwolił Marchantowi uciec. Ale dzwonił do mnie prezes Agencji

Ubezpieczeniowej i powiedział, że za odzyskanie obrazów dostanę wysoka premię. Mam trochę oszczędności, więc być może kupię sobie mały domek na południu Francji i będę hodował róże...

- To nie zamierza pan walczyć z przestępcami? - zdumiałem się.

Pigeon pogładził śmieszne wąsiki.

- Sądzi pan, że kiedy pójdę na emeryturę, przestępcy zaczną się panoszyć? Prezes mi mówił, że chcą powierzyć mi słynną sprawę kradzieży ubezpieczonych w naszej Agencji bezcennych starych obrazów z katedry w Kolonii. Zastanawiam się jednak. To bardzo trudna sprawa.

- Pan chyba lubi trudne sprawy?

- O, tak. Musi pan przyznać, że sprawa Fantomasa była niezwykle trudna. Miałem dużo szczęścia, że udało mi się ją rozwikłać.

Zupełnie zapomniał o moim udziale. No cóż, nie był to skromny człowiek, ten Pigeon.

- A co pan zamierza? - zapytał.

- Jadę do Paryża, aby zwiedzić Luwr, a potem wracam do Polski.

- Nie interesuje pana historia obrazów skradzionych w Kolonii? Chętnie przyjąłbym pana jako swego pomocnika - powiedział Pigeon. - Wydaje mi się, że ma pan żyłkę detektywistyczną. Brakuje panu tylko wprawy.

Przecząco pokręciłem głową.

- Niestety, i tym razem muszę panu odmówić. W Polsce też jest wiele ciekawych spraw do rozwiązania. Prasa doniosła właśnie o „zagadkach Fromborka”. Może nawet skrócę swój urlop, bo czuję, że jestem potrzebny swojemu Ministerstwu.

Pigeon wzruszył ramionami.

- No cóż, zrobi pan, jak pan uważa. Ale przyzna pan chyba, że u nas więcej można nauczyć się w rzemiośle detektywistycznym niż u was. Nie bywają u was przestępcy podobni

do Fantomasa, a i detektywów podobnych do mnie wielu się nie spotka, prawda?

W tym momencie wtrącił się kustosz Durant, który przez cały czas przysłuchiwał się naszej rozmowie.

- Panie Pigeon - powiedział - pan chyba zapomniał, że właśnie pan Tomasz rozszyfrował zagadkę kradzieży obrazów w galerii. Pan, jeśli się nie mylę, podejrzewał przede wszystkim barona de Saint-Gatien.

Pigeon zakłopotał się. Na krótko zresztą. Po chwili już odzyskał pewność siebie.

- No cóż, wyznaję, że pan Tomasz bardzo zręcznie wpadł na trop zagadki Fantomasa. Dopomógł mu w tym jednak przypadek.

Machnąłem ręką i opuściłem galerię. Doszedłem do wniosku, że Pigeon, bez względu na okoliczności, pozostanie na zawsze pyszałkiem.

Na dziedzińcu natknąłem się na Yvonne i Roberta. Majstrowali coś przy przerzutce u roweru Yvonne.

- A co z nagrodą za wskazanie Fantomasa? - zapytałem dziewczynkę.

Westchnęła.

- Coś mi się zdaje, że nagroda przejdzie mi koło nosa. Panowie z Agencji Ubezpieczeniowej twierdzą, że nagroda dotyczyła osoby, której informacja dopomoże do schwytania Fantomasa. A jak pan wie, Fantomas uciekł z Orlego Gniazda. Więc zaczęli kręcić z wypłatą nagrody. Ale nie martwię się tym. Historia z odzyskaniem obrazów przysporzyła nam sporo reklamy w prasie. Otrzymaliśmy zapowiedź mnóstwa wycieczek. Zarobimy sporo franków.

Przyklęknałem przy rowerze Yvonne.

- Gdy tu przyjechałem, pytałaś mnie, czy potrafię zreperować przerzutkę. Dziś wyjeżdżam. No cóż, spróbuję ją naprawić.

Robert roześmiał się.

- Właśnie przed chwilą ją zreperowałem. Myślę, że teraz już nie będzie kłopotów z

przerzucaniem „biegów”.

Robert urwał i w niemym zdumieniu patrzył w stronę mostu zwodzonego. Nasze spojrzenia również pobiegły w tym kierunku. I oto co ujrzeliśmy: przez most zwodzony do zamku jechała na rowerze madame Eveline.

Aż oczy przetarłem, bo wydało mi się, że ulegam złudzeniu. Lecz tak. Była to rzeczywistość. Madame Eveline siedziała na rowerze.

- Caramba, porca miseria! - zawołała zeskakując z roweru. - Odebrałam w Orleanie zreperowane alpine renault. Jechałam na nim jak szatan, dwieście kilometrów na godzinę. Ale na pięć kilometrów przed zamkiem znowu się zepsuł. Tak mnie to zirykowało, że pozostawiłam go na szosie, pożyczyłam rower od jakiegoś wieśniaka i oto jestem.

- I jak się cioci jechało? - zapytała Yvonne.

Stara dama poprawiła na głowie kapelusz ozdobiony listkami sałaty.

- Rower, który pożyczyłam, to stary grat. Wszystko w nim skrzypi i dzwoni. Ale czuje, że gdybym kupiła jakiś nowoczesny wyścigowy rower z przerzutką, to pokazałabym, jak się jeździ. - I dodała: - Zdaje mi się, że kupię rower. Samochody zaczynają mi brzydnąć...

